

P. 9786 Chw. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania
PARYŻ Nr 7/562-8/563 1994



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

- A. POSPIESZALSKI: **SZEMRANIA**
W KATEDRZE
- J. POMIANOWSKI: **RUSKI MIESIĄC**
- T. TORAŃSKA: **CZY MY TO ONI?**
- Z. KUDELSKI: **SPOTKANIA Z „KULTURĄ”**
- J. TUROWICZ: **W SPRAWIE**
„DOKTRYNY ODTRĄCENIA”

SPIS RZECZY

Antoni Pospieszalski:	<i>Szemrania w katedrze czyli gdzie się podziła dusza?</i>	3
Jerzy Pomianowski:	<i>Ruski miesiąc</i>	12
Andrzej Nowak:	<i>Tradycje polskiej polityki wschodniej</i>	26
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Głęboki cień</i>	36
WIERSZE		
Wacław Iwaniuk:	<i>Podróż do konsulatu polskiego w Kurytybie</i>	54
Krzysztof Jeżewski:	<i>Europa</i>	55
Stanisława Saloni:	<i>1939</i>	56
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Krzysztof Wolicki:	<i>Wejście smoka</i>	57
Bohdan Skaradziński:	<i>Przegrywamy razem z Ukraińcami czy każdy sobie?</i>	64
—	<i>Konferencja polsko-ukraińska</i>	69
KRAJ		
Teresa Torańska:	<i>Czy MY to ONI?</i>	75
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	78
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	88
SPRAWY I TROSKI		
Stanisław Polaczek:	<i>Komentarze do czarno-białej historii</i>	93
Anna Supruniuk i Mirosław A. Supruniuk:	<i>Pisarze emigracyjni w pracach doktorskich i magisterskich w Polsce</i>	101
—	<i>Polska orderomania</i>	113
Zbigniew Byrski:	<i>O spinaniu i wspinaniu</i>	114
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	115
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina na lewym torze</i>	121
Leszek Szaruga:	<i>Problem mniejszości niemieckiej</i>	126
Andrzej Stach:	<i>Kronika niemiecka</i>	130
KRONIKA KULTURALNA		
Krzysztof Pomian:	<i>Europa, Europa</i>	135
Bolesław Taborski:	<i>Kontakt 94</i>	139
Janusz Maciejewski:	<i>Ignis ardens</i>	144
Barbara Majewska:	<i>Tak, i co dalej?</i>	147
—	<i>Stulecie Polskiej Stacji Naukowej w Paryżu</i>	149
KOMUNIKATY		
—	<i>Fundusz Jordanowski</i>	151
—	<i>Wschodnia Szkoła Letnia — Sesja III</i>	151
—	<i>Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie</i>	152
—	<i>Nagroda im. Romerów</i>	153
NOTATKI REDAKTORA	154

Ciąg dalszy na stronie 207

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień - Juillet/Août 1994

INSTYTUT



LITERACKI

Nr 7/12
8

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

C. Czuchwicy, Panorama, SA (Australia) po raz 22-gi	F.	270,00
Dla uczczenia pamięci Ignacego gen. Kruszeńskiego (1799-1879), powstańca listopadowego, w 185-tą rocznicę Jego urodzin i 115-tą śmierci — Mirosława Kruszeńska, Houston, TX (USA) — Dol.c. 50,00 (nadesłane w dwóch ratach: w lutym i obecnie)	F.	215,00
Małgorzata Jabłońska, Chicago IL (USA) — dla uczczenia pamięci ukochanego śp. Ojca, artysty malarza Wincentego Gawrona — Dol. 100,00	F.	545,00
Zofia Jordanowska, Nowy Jork (USA) — Dol. 50,00	F.	273,00
Zofia Koper, Arlington, VA (USA) — w 4-tą rocznicę śmierci mego Męża Stefana Kopera — Dol. 100,00	F.	545,00
Ted de Laurent, Bielefeld (Niemcy) — DM 50,00	F.	200,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja), po raz 9-ty	F.	100,00
Zbigniew Okołowicz, Millerton, NY (USA), po raz 8-my — Dol. 76,00	F.	415,00
Romuald A. Quas de Penno, Hockessin, DE (USA) — zamiast kwiatów na grób dr.med. Józefa Jaremy Antepowicza, zmarłego w Warszawie 7 czerwca 1994r. — Dol. 25,00	F.	136,00
W. Rzeszot, Mundelstrup (Dania)	F.	70,00
Longin E. Sztachański, Saint Petersburg, Fl (USA): — na Fundusz „Kultury” — po raz 35-ty — Dol. 20,00	F.	109,00
— na pomoc Polakom w Rosji — Dol. 20,00	F.	109,00
Tadeusz Wyrwa, Paryż — w 24-tą rocznicę śmierci śp. Ojca Józefa Wyrwy — pseudonimy „Furgalski”, „Stary” — jednego z najbliższych współpracowników Hubala, później dowódcy samodzielnego oddziału partyzanckiego i następnie dowódcy 2-go batalionu 25-go pp. A.K.	F.	400,00
•		
Jan Weiss, Jackson Heights, NY (USA) — na szkoły polskie na Wschodzie (poza granicami dzisiejszej Polski) — Dol. 57,00	F.	310,00
Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) — na pomoc Polakom w Rosji — £ stg. 20,00	F.	168,00

DZIEKUJEMY

Szemrania w katedrze czyli gdzie się podziela dusza?

1.

Pierwszy z dwóch tytułów zapożyczyłem z recenzji, która ukazała się już pięć lat temu w bardzo szacownym londyńskim tygodniku *Times Literary Supplement*. Odgrzebałem go z niepamięci, w jaką z natury rzeczy popada każda bieżąca recenzja, gdyż oddaje ona bardzo dobrze atmosferę i sens wielkiej debaty, której ta recenzja była częścią i która do dziś nadal jest nie mniej aktualna niż była wtedy¹. Jest to batalia, w której stają naprzeciw siebie dwie koncepcje inteligencji: normalna ludzka inteligencja, której wyłącznym dysponentem jest człowiek i tzw. sztuczna inteligencja (ang. *Artificial Intelligence*, w skrócie *A.I.*), która jest udziałem nowoczesnych komputerów. Zwolennicy *A.I.* utrzymują całym sercem, że na dobrą sprawę nie ma między nimi większej różnicy, poza tym że w przypadku komputera miejsce mózgu i tkanki nerwowej zajmuje tzw. *hardware* czyli skomplikowany zespół krzemów i tranzystorów. Z tym że zaawansowany komputer jest bez porównania bardziej sprawny niż człowiek. Niewielu ludzi potrafi wygrać partię szachów z odpowiednio zaprogramowanym komputerem. Zachęcenii takimi sukcesami radykalni rzecznicy *A.I.* twierdzą ni mniej ni więcej, że prędzej czy później da się skonstruować superinteligentnego robota, który będzie nie tylko myślał, ale również czuł i działał jak człowiek. Ścisłe mówiąc z tym czu-

1. Daniel C. Dennett: „Murmurs in the Cathedral”. *Times Literary Supplement* Sept. 28 - Oct. 5, 1989.



P. 978 G Chw. Arch

ciem i działaniem sprawa nie jest całkiem jasna i nawet według najbardziej zagorzałych radykałów nie grozi jeszcze wyparcie prawdziwej ludzkości przez wyprodukowane przez nas samych roboty. Ale też nie o to batalia się toczy. Istotne jest, że korelatem radykalnego programu *A.I.* jest zredukowanie człowieka do statusu jako tako sprawnego komputera. Jeśli komputer może być naprawdę inteligentnym mechanizmem, to także człowiek może być tylko inteligentnym mechanizmem. W tym kierunku idzie też myśl tak wybitnych uczonych jak słynny neurolog Gerald Edelman i współodkrywca struktury DNA Francis Crick, obaj laureaci Nobla. Obaj stwierdzają, z mieszaniną entuzjazmu i rezygnacji, że na terenie nauki nie ma już obrony przed atakami radykałów *A.I.* i że trzeba się pożegnać z myślą o istnieniu niezależnej od materii ludzkiej psyche, której system nerwowy jest tylko służką, a więc także pojęciem niematerialnej ludzkiej duszy. Ale nie wszyscy są o tym całkiem przekonani. Na przeciwnym szanću stoją równie wybitni ludzie, jak amerykański filozof John Searle, a zwłaszcza może brytyjski matematyk i fizyk Roger Penrose, autor niezwyklego *bestsellera* „The Emperor's New Mind”². Ironiczny tytuł sugeruje, że komputerowy umysł (*Mind*), który lansują zwolennicy *A.I.*, jest równie nierealny jak nowe szaty cesarza i autor, jak owo dziecko z bajki, ma odwagę powiedzieć, że cesarz jest nagi.

To tę książkę omawia Daniel Dennett we wspomnianej recenzji. Ale myliłby się kto by przypuszczał, że Dennetta tytułowe „szemrania w katedrze” oznaczają pomruki bezbożnych likwidatorów ludzkiej duszy. Wprost przeciwnie, Dennett jest bezkompromisowym rzecznikiem sztucznej inteligencji i piętnuje heretyckie knowania Rogera Penrose, usiłującego jakoby podważyć materialistyczną ortodoksję obowiązującą w Katedrze Nauki. Zacząłem od tego paradoksu, by wypuklić fakt, że to właśnie rzecznik *A.I.* głosi swoją ortodoksję ze zgoła religijnym ferworem, podczas gdy Penrose robi wrażenie sceptyka, który chciałby dać się przekonać, ale nie waha się dawać wyraz swym wątpliwościom. Dennett od czasu ukazania się książki Penrose'a (i swojej recenzji) napisał własny *bestseller* pod obiecującym tytułem „Consciousness Explained”³.

2. Roger Penrose: „The Emperor's New Mind, concerning computers, minds, and the laws of physics”. Oxford University Press, 1989, str. 466.

3. Daniel C. Dennett: „Consciousness Explained”. Allen Lane. The Penguin Press. London-New York 1992, str. 511.

Jak wynika z tytułu, Dennett jest przekonany, że materialistyczna ortodoksja (*nota bene* określenie Dennetta) zgłębiła do reszty tajemnicę ludzkiej świadomości i umysłu ludzkiego (jak i umysłów komputerów) i tajemnica tym samym przestała istnieć. Mamy więc dwóch autorów reprezentujących dwie skrajnie przeciwstawne tezy. Argumentacji obu protagonistów warto się bliżej przyjrzeć.

2.

Dennett, jak się rzekło, jest bezkompromisowym materialistą (choć jego materializm nie ma nic wspólnego z marksizmem). Głównym nurtem jego książki jest systematyczne demolowanie kartezjańskiego dualizmu czyli podziału człowieka na materialne ciało i niematerialną duszę, w terminologii Kartezjusza *res extensa* i *res cogitans*. Ten dualizm ma oczywiście za sobą znacznie starszą tradycję, wywodzącą się głównie z Platona i w zasadniczo platońskiej formie ugruntowaną w chrześcijaństwie. Kartezjusz niejako nobilitował tę doktrynę na gruncie rodzącej się w jego czasach nowoczesnej nauki, która się z nią od tego czasu w jej kartezjańskiej formie boryka. Królową nauk od tego czasu jest fizyka, która ma bardzo dużo do powiedzenia o materii, ale duszę oczywiście z natury swej ignoruje. Sukcesy fizyki zrodziły naturalną tendencję do naśladowania jej metod na terenie innych nauk, głównie w biologii i psychologii, ale również, dajmy na to, w ekonomii, nie bez powodzenia, ale zwykle ze szkodą dla specyfiki tych nauk. Dennett jest skrajnym przykładem tego tak zwanego redukcjonizmu czy (to chyba ściślej określenie) fizykalizmu. I tu — właśnie w dziedzinie *A.I.* — sukcesy fizykalizmu są oczywiste, choć również oczywiste są jego niepowodzenia. I tak Dennett jest zmuszony negować realność cech wtórnych przedmiotów, takich jak na przykład tylko subiektywnie postrzegane kolory (co w żargonie naukowym przyjęło się określać mianem jakości — *qualia*). Dla konsekwentnie materialistycznej nauki *qualia* są nierealne, gdyż nie pozostawiają żadnego śladu w fizycznej rzeczywistości i nie są mierzalne. Ale tym samym świadomość, którą Dennett obiecał nam wytłumaczyć, zostaje radykalnie okaleczona. Nie istnieją w niej ludzkie przyjemności i nie istnieje także ból i cierpienie⁴.

4. Rewelacyjny pod tym względem jest tytuł eseju Dennetta „Why Can't you Make a Computer that Feels Pain” w tomie „Brainstorms” (1978) str. 190.

Nie ma zatem w tej świadomości miejsca na sztukę, moralność, odpowiedzialność, religię itd. Dennett mimochodem porusza te sprawy w kilku zdaniach, ale jest wobec nich oczywiście bezradny.

W odróżnieniu od nader pewnego siebie Dennetta, Roger Penrose jest bardzo ostrożny. Nie feruje prawd oczywistych i niepodważalnych lecz wyraża tylko swoje opinie. Istotne jest, że swą opozycję przeciw rzecznikom sztucznej inteligencji rzuca na niezwykle szerokie tło stanu współczesnej nauki: matematyki, fizyki mikro i makro, łącznie z mechaniką kwantową oraz kosmologii i neurologii. We wszystkich tych dziedzinach (z wyjątkiem neurologii) Penrose jest uznanym ekspertem⁵. Dennett w swej recenzji kwestionuje zasadność tak szerokiego tła, zapewne nie bez pewnej racji, bo główne obiekcje Rogera Penrose przeciw teozom rzeczników *A.I.* sprowadzają się do dwóch, obu z dziedziny matematyki. Ale tym samym Penrose uderza w najczulszy ich punkt, bo inteligencja komputerów (jeśli można ją tak nazwać) koncentruje się prawie wyłącznie w sferze szeroko pojętej matematyki. Pierwszy zarzut opiera się na twierdzeniu Goedla, niemieckiego matematyka, który w roku 1931 wykazał zasadniczą niemożność istnienia formalnego systemu dedukcji matematycznej, który byłby równocześnie kompletny i niesprzeczny w sobie. A funkcjonowanie komputerów właśnie na takich systemach formalnych się opiera. Jeśli jednak istnieją prawdziwe twierdzenia arytmetyki (Goedel ograniczył swój wywód do arytmetyki), które nie dadzą się w ramach określonego systemu formalnie (czyli mechanicznie) udowodnić, to komputer nigdy nie będzie w stanie tej przeszkody przeskoczyć. Natomiast umysł ludzki może ją pokonać drogą intuicyjnego rozumowania. Przykładem takiego rozumowania jest choćby właśnie dowód twierdzenia Goedla, którego od z górą sześćdziesięciu lat nikt nie zdołał obalić.

Z tym wiąże się druga obiekcja. Czy matematyka jest kwestią twórczej ludzkiej manipulacji (mechanicznej albo nie-mechanicznej) czy odkrywaniem prawd czy relacji istniejących niezależnie od człowieka? Penrose skłania się do tej drugiej alternatywy. Jest to alternatywa, którą prawie dwa i pół tysiąca lat temu wybrał Platon i Penrose zatem deklaruje się

5. Oficjalnie Penrose jest profesorem matematyki w Oxfordzie, ale jest autorem szeregu prac we wszystkich tych dziedzinach. Między innymi, wraz ze swoim kolegą z Cambridge Stephenem Hawkingiem, położył podwaliny pod fizykę tzw. czarnych dziur (*black holes*).

jako platonista. Znaczy to, że akceptuje on istnienie rzeczywistości zasadniczo różnej od rzeczywistości fizycznej, ale tak samo jak świat fizyczny obiektywnej czyli istniejącej niezależnie od świadomości ludzkiej. Rzeczywistość matematyczna zdaje się być niezależna także od rzeczywistości fizycznej, bo istnieją obszary matematyki, które nie mają żadnego zastosowania w fizyce. Dlatego Penrose uważa za rzecz zdumiewającą, że matematyka jest tak doskonałym narzędziem do porządkowania rzeczywistości fizycznej, jako że prawa fizyki znajdują swój najdoskonalszy wyraz właśnie w języku matematyki. Istnieją też obszary matematyki, których istnienia do niedawna nikt nawet nie podejrzewał, jak na przykład cała matematyka chaosu, a które właśnie dzięki istnieniu komputerów zostały ostatnio odkryte. Wygląda to na paradoks. Ale nie komputery je odkryły, lecz człowiek, który tylko wyyskałał nadzwyczajną szybkość działania komputerów do wykonywania obliczeń (potencjalnie nieskończonych ciągów tych samych algorytmów), do których bez komputerów życia by mu nie starczyło. Do tej tajemniczej rzeczywistości matematycznej należy także kwantowa funkcja falowa, w której różne stany fizyczne mogą ze sobą w różnych stopniach prawdopodobieństwa harmonijnie współistnieć, dopóki brutalna ingerencja makrofizycznego przyrządu pomiarowego nie zredukuje jej do tylko jednego stanu, unicestwiając wszystkie inne. O ile mi wiadomo, rzeczywistość pakietu falowego przed redukcją jest dla komputera tak samo niedostępna jak dla każdego elementu makro-świata, łącznie ze świadomością ludzkiego obserwatora. Ale Penrose najwyraźniej liczy na dalszy rozwój mechaniki kwantowej jako drogi do rozwiązania zagadki ludzkiej świadomości.

I to jest charakterystyczne. Penrose, podobnie jak inni uczeni i filozofowie (z wyjątkiem może Johna Searle'a?) też nie wyklucza możliwości znalezienia zadowalającego rozwiązania tajemnicy świadomości na gruncie nauki (i to w zawężonym znaczeniu *science*). Jego niecierpliwy krytyk, Daniel Dennett poczytuje mu za zasługę, że uniknął pułapki kartezyjskiego dualizmu i nie posunął się w swym szemraniu w Katedrze Nauki do ostatecznego bluźnierstwa. Ale nie wygląda mi na to, by Penrose na tę szczególną pochwałę zasłużył. Jego platońska interpretacja rzeczywistości matematycznej ma posmak wyraźnie niematerialistyczny. Poza tym w sprawie kartezyjskiego dualizmu Penrose postanowił się nie wypowiadać. Natomiast zwraca uwagę, że radykalni rzecznicy *A.I.* sami są w niebezpieczeństwie popadnięcia w dualistyczną

herezję, którą tak namiętnie zwalczają. Twierdzą bowiem, że sztuczna inteligencja jest niezależna od materiału, w którym funkcjonuje: może to być krzemowo-tranzystorowy *hardware* równie dobrze jak żywa tkanka nerwowa. Bo istotą jej jest całkowicie abstrakcyjny system formalnej dedukcji, istniejący niezależnie od materii. Ale to jest przecież forma dualizmu. Wynika z tego przynajmniej, że sprawa kartezjańskiego czy post-kartezjańskiego dualizmu nie jest taka prosta; istnieją różne jego odmiany, a przynajmniej możliwe są takie czy inne jego modyfikacje. Do sprawy dualizmu powrócę jeszcze w następnej części artykułu.

Wspomniany Gerald Edelman też jest przeciwnikiem mechanicznego zrównania naturalnej ludzkiej inteligencji z komputerem i argumentacja jego idzie z grubsza po tej samej linii co argumentacja Penrose'a. Edelman, jeden z najwybitniejszych dzisiaj przedstawicieli neurobiologii, zbyt jest świadom zgoła niewyobrażalnej subtelności mózgu i systemu nerwowego, by mógł uznać problem świadomości za tak łatwo rozwiązalny i bez mała oczywisty jak to czyni Dennett. A świadomość to coś więcej niż matematyczna inteligencja. Niemniej Edelman nie wyklucza możliwości, że uda się nam kiedyś skonstruować sztuczną inteligencję — przypuszczalnie z miękkiego materiału tkanki nerwowej — choć jest to jego zdaniem kwestia dalekiej przyszłości. Edelman też jest materialistą, ale bardziej subtelnego chowu niż Dennett, też hołduje redukcjonizmowi, choć według niego nie każdy redukcjonizm jest naukowo uzasadniony. Jego świat materialny to nie tylko fizyka, ale także biologia, zwłaszcza neurobiologia, i ewolucja, zwłaszcza jego własna wersja neodarwinizmu, którą określa mianem darwinizmu neuronowego (*neural Darwinism*). Materializm jest dla niego w gruncie rzeczy synonimem naukowości oczywiście w sensie *science*. Ale w tym materializmie jest miejsce na jakąś autonomię człowieka, na życie wewnętrzne (choćby w sensie *qualiów*), na wartości życia społecznego i na moralność. Powiedziałbym, bez obawy popadnięcia w dualizm, że jest w nim miejsce na sprawy ducha. Wiadomo, że uczeni też potrafią kochać, odczuwać cześć i zachwyt dla cudów, które im ich nauka odkrywa. Główne dzieło Edelmana, bardzo czytelne ale nie nader popularne, nosi tytuł „Bright Air, Splendid Fire” (motto pochodzące ponoć od Empedoklesa, nie bardzo wiem, jak to przetłumaczyć)⁶. A

6. Gerald Edelman: „Bright Air, Splendid Fire”. Allen Lane. The Penguin Press. London-New York 1992.

jednak jest to przesycony duchem pewnej rezygnacji materializm. Dla Edelmana głównym problemem ludzkości w obliczu nieodwracalnego triumfu nauki-*science* (znacznie ważniejszym niż wyprodukowanie sztucznej inteligencji) jest kwestia, jak jest możliwa moralność w warunkach nie osłodzonej żadną nadzieją śmiertelności człowieka. Czyli wobec faktu nieistnienia duszy. Ale Edelman poprzestaje na sformułowaniu problemu i nie zajmuje się nim, bo to oznaczałoby wyjście poza ramy nauki. A w katedrze nauki żadne duchowe szemrania nie są dozwolone.

3.

Wobec tego musimy szemrać nienaukowo. Nie chciałbym w tym iść w ślady Williama Blake'a czy Swedenborga, ani w ślady Miłosza z „Ziemi Ulro”. W odróżnieniu od Miłosza i jego duchowych protoplastów nie uważam, by rewolucja naukowa XVII wieku i wszystko, co potem nastąpiło, było katastrofą dla świata ducha. Nie należy z jednej skrajności popadać w drugą. Dlatego w moim szemraniu przeciw materializmowi Dennettów i Edelmanów chciałbym jednak pozostać z nimi w kontakcie. Nie tylko dlatego, że z tą ich nauką musimy żyć na co dzień i żyjemy z nią na co dzień od blisko czterystu lat. Także dlatego, że ta nauka jest także, wbrew jej ciasnym ortodoksom, wielkim triumfem świata ducha. Moim zdaniem zarówno naukowci ortodoksi jak i masy postronnych konsumentów nauki za mało doceniają fakt, że od czasów Newtona tamten jego bezduszny świat, z którego człowiek był absolutnie wyobcowany, stał się (by tak powiedzieć) bez porównania bardziej człeko-przyjazny, zwłaszcza na obu krańcach jego fizycznej skali, w kosmologii i mikrofizyce cząstek elementarnych. Ale także w samym środku tej skali, w biologii i neurobiologii. A więc nie bójmy się ani skrajnych ortodoksów naukowych ani proroków antynaukowej duchowości. Świat jest jeden i istnieje ciągle łagodnie przejsia od materii do ducha i na powrót.

A więc dualizm jest nam niepotrzebny. Oczywiście, jeśli ducha czy duszę ludzką identyfikujemy ze świadomością człowieka, to śmierć ciała musi również być śmiercią duszy. Bo bez mózgu nie ma świadomości. Ale to nic nowego, o tym zawsze wiedzieliśmy, na długo przed Kartezjuszem i nawet przed Platonem. I jeśli Platon mimo to wierzył w nieśmiertelność duszy, to widocznie coś innego miał na myśli,

nie pozagrobowe trwanie naszej ziemskiej świadomości. To raczej Kartezjusz tak myślał i stąd specyficzna forma kartezjańskiego dualizmu. A jeśli chrześcijaństwo potocznie mówi o nieśmiertelności duszy, to raczej pod wpływem filozofów niż z objawienia Bożego. Bo w Biblii o nieśmiertelności duszy *sensu stricto* nie ma właściwie mowy. Biblia mówi natomiast o nieśmiertelności całego człowieka, o zmartwychwstaniu ciała i życiu wiecznym. A to całkiem co innego. Tu nie ma żadnego dualizmu, bo też nie ma żadnej filozofii i naukowości. Jest tak chyba dlatego, że funkcją religii nie jest opis otaczającej nas rzeczywistości (co jest funkcją nauki), ale przezwyciężenie tej rzeczywistości. Inaczej mówiąc, treścią religii są nie fakty, lecz wartości. Wiara religijna w istocie swej nie jest afirmacją takiej czy innej doktryny, czyli intelektualnych twierdzeń, równoległych czy konkurencyjnych z bieżącymi twierdzeniami nauki czy filozofii. Istotą wiary jest afirmacja wartości, i to wartości maksymalnych, wychodzących poza wartości odziedziczone z ewolucji gatunku ludzkiego, którymi żyjemy na co dzień, bo kierują one naszą walką o byt. (Tymi wartościami zajmuje się *explicite* Edelman). O tyle religia jest dalszym ciągiem naturalnej ewolucji, innymi „nadnaturalnymi środkami”. Tak jak i kultura jest kontynuacją ewolucji innymi środkami. Tylko w religii nie nazywamy już tego ewolucją, bo jest ona świadomym dążeniem. W chrześcijaństwie to dążenie nazywa się miłością Boga, bo Bóg jest wartością wszystkich wartości.

Ale jak to się ma do życia wiecznego (całego człowieka, nie tylko „duszy”) i do zmartwychwstania ciała? Chrześcijaństwo, jak każda religia, posługuje się do wyrażenia swej wiary (czyli systemu wartości) kategoriami ontologicznymi czyli pewną metafizyką, zaczerpniętą z przednaukowego czy nawet też naukowego widzenia świata. Ale w gruncie rzeczy są to tylko środki wyrazu i nie należy ich rozumieć dosłownie. Każda taka kategoria jest w chrześcijaństwie zawsze opatrzona pieczęcią tajemnicy, która służy jako pewnego rodzaju tablica ostrzegawcza. Życie wieczne w każdym razie nie znaczy nieograniczonego trwania w czasie i zmartwychwstanie ciała też nie jest kategorią mieszczącą się w naszym pojęciu czaso-przestrzeni. O tym jaka jest ontologiczna sytuacja człowieka po śmierci nie wiemy nic, absolutnie nic. Jest to swoisty chrześcijański agnostycyzm. *Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce ludzkie nie wstąpiło, co Bóg zgotował tym, którzy go miłują*. Obie kategorie służą tylko jako afirmacja wartości, absolutnej wartości i godności każdego po-

jedynczego człowieka. Na tym polega wiara, na absolutnym zaufaniu Bogu.

Odbiegliśmy daleko od sztucznej inteligencji, od naturalnej inteligencji, od fizycznego mózgu i systemu nerwowego, od naukowej neurologii i neuro-darwinizmu. A jednak mówimy o tym samym człowieku, czy takich samych ludziach. Z tym że neurologia mówi o ludzkich faktach (o pewnych ludzkich faktach), a religia mówi o ludzkich wartościach (tych najwyższych). Widzieliśmy, że religia, mówiąc o wartościach, zdaje się jednak czasami mówić językiem faktów, że pewne rzeczy mają się tak a tak, nawet jeśli kwalifikuje te „fakty”, opatrując je mianem tajemnicy. W poprzednich częściach tego artykułu widzieliśmy też że uczeni, relacjonując swoje naukowe fakty, mówią czasami językiem wartości. Nic dziwnego. Mówią przecież o człowieku i mówią jako ludzie. Wprawdzie nauka na ogół wystrzega się sądów wartościujących (słusznie), ale nie jest to zawsze możliwe, zwłaszcza w nauce o człowieku. Religia zaś powinna się wystrzegać ferowania orzeczeń, że rzeczy mają się tak a tak, bo to jest rzeczą nauki, ale też nie może tego całkiem unikać.

Stop. Wprowadziłem tu nowy dualizm — faktów i wartości — ale okazuje się, że nie da go się konsekwentnie stosować. Chyba z każdym dualizmem jest kłopot. Bo dualizmy nagminnie się mnożą w ludzkim myśleniu i jest ich wiele: materia i duch, ciało i dusza, dobro i zło, prawda i fałsz, religia i nauka, prawica i lewica. Z każdym z tych dualizmów trzeba być ostrożnym. Uczeni, zwłaszcza co bardziej redukcjonistycznego chowu, bardzo lubią operować dualizmem: *nauka — nie-nauka*, relegując wszystko co nienaukowe do sfery mitów i przesądów. Należy do nich Dennett a także poniekąd Edelman; nie należy do nich, jak mi się wydaje, Penrose. Z tym też trzeba być ostrożnym, bo prowadzi to do pewnego bałwochwalstwa nauki-*science*. W każdym razie zdemolowanie kartezjańskiego dualizmu na pewno nie oznacza, by na placu została tylko sama materia.

Antoni POSPIESZALSKI

Ruski miesiąc

Hotel, w którym niegdyś tu kwaterowałem, zwał się „Jewropa”, później, w trybie walki z kosmopolityzmem zmieniono mu nazwę na „Armenia”. Dziś znalazłem na Nieglinnej tylko płytki wykop, ogrodzony zmurszałym już płotem. Za rogiem jest Sownarkom i przysadzisty gmach dawnej resursy szlacheckiej, Dom Związków, który gościł na katafalku Lenina, Żdanowa, Stalina. Byłem w tej samej sali owego wieczoru, kiedy Anna Achmatowa mówiła swoje wiersze. W czarnej sukni i białym, dzierganym szalu, smukła jeszcze, pokłoniła się, muskając frędzlami chusty deski sceny, kiedy cała widownia wstała z miejsca po jej recytacji. Chwila ciszy bez tchu poprzedziła owację. To za te oklaski Żdanow w *Prawdzie* odsądził poetkę od czci, wiary i prawa do chleba. Klaskali skrzywdzeni; każdy prawie miał — jak ta kobieta — kogoś bliskiego wśród rozstrzelanych i uwięzionych. Obok klaskali inni, poniżeni lokajskimi nagrodami. Wszyscy razem chcieli teraz pokazać, że wiedzą gdzie jest prawda i powód do podziwu.

To była elita gatunku, nazwanego później przez Aleksandra Zinowiewa *homo sovieticus*. W Rosji używane jest swojskie słówko „sowek”. Sołżenicyn tę śmietankę przezwał z pogardą „wykształceńcy”. Żyli w strachu, spokorniali, odcięci od świata, we wszystkim zależni od władzy. Mieli jeden tylko wybór — albo pod magiel, albo do szarpani. Lęk o życie i groźba niedostatku nie dawały im spokoju. Ten byt miał przekreślić ich świadomość. Istotnie, gotowi byli do wszelkich „kłamstw, niedomówień i wykrętów” powiada Martynow w „Łańcuchu”. Ale w godzinie prawdy, takiej właśnie, zdawali sobie sprawę, że żyją wśród fałszu i dzięki temu

żyją, iż są potrzebni do jego konstrukcji. Jest to uczucie trudne do zniesienia, chociaż dla poddanych despoty może stanowić pewną pociechę: póki kłamie, to mu zależy. Kłamie, więc się boi. Boi się, że w sposobnej chwili podniosą łeb nawet potulni. Boi się i dlatego trzyma cenzorów i Urbanów.

Sołżenicyn (w nie wygłoszonym przemówieniu z okazji nagrody Nobla) powiada: „Każdy, kto przyjął przemoc jako swoją metodę, skazany jest nieuchronnie na to, aby przyjąć kłamstwo jako swoją zasadę... Przemoc nie zawsze już dobiera się ludziom wprost do gardła, częściej teraz żąda od poddanych tylko świętej zgody na fałsz, tylko uczestnictwa w kłamstwie”.

Dawniej było jednak łatwiej: taki Dzyngis Chan jakoś obchodził się bez rzecznika i nie wmawiał mieszkańcom zdobytych ziem, że im przynosi mniejsze zło; bez żenady wyrzynał wszystkich. Prócz fachowców. Pewne minimum poddanych, zwłaszcza sprawnych, niezbędne jest każdej władzy, bo i nad kim tu panować?

Unikam powieści, w których na pierwszych już stronach nie wyjaśnia się z czego żyje bohater i czy stać go na chleb z masłem. W Moskwie kilo chleba kosztuje koło 1000 rubli; nawet w peryferyjnych piekarniach są 3-4 rodzaje pieczywa. Kilo masła — 6000 rubli, tj. nieco ponad 3 dolary. Zebraków proszących chleba jakby nie widać, ale przecież magistrat (o zbytkowej nazwie: *Prawicielstwo Goroda Moskwy*) wysiedlił niedawno wszystkich „czarnych”, tj. śniadych i żółtoliczych obywateli Południa i Wschodu.

W prywatnym sklepie na Bronnej sprzedają ormiańską basturmę, najlepszą wędlinę świata, po 12000 rubli kilo, bez kolejki. Kolejka jest tylko po tańsze gatunki wędlin i mięsa. Nikt nie kupuje na zapas, nie starcza pensji. Profesor uniwersytetu zarabia od 100 do 300 tysięcy rubli miesięcznie, to jest około 150 dolarów. Pracownicy instytutów badawczych — połowę tego, co jest wytłumaczeniem panującego w USA przekonania, że dla kariery uniwersyteckiej wystarczy być fizykiem i mówić z rosyjskim akcentem. Nie więcej, ale też nie mniej zarabiają robotnicy — także tych fabryk, których nie zamyka się wyłącznie z tzw. względów socjalnych. Przyczyną paraliżu reform nie tyle jest konserwatyzm ekipy rządzącej, ile lęk przed wybuchem bezrobocia. Tylko że prawie 70% przemysłu w państwie to oboronka.

Igor Szafarewicz twierdzi, że inteligenci oderwali się od rosyjskich korzeni i są w istocie dokuczliwą mniejszością narodową. Widzę tu, że oderwali się nie bardziej, niż inne warstwy. Wszyscy mieli kolektywne mieszkania zamiast rodzinnego domu, *krasnyj ugołok* zamiast cerkwi, „Bieriozkę” zamiast tradycji, grypsę zamiast folkloru. Inteligencja uratowała przynajmniej jeden z tych korzeni — książkę, literaturę. Nie dało się wykarzczać go całkiem: cenzura nie mogła skreślić z lektury Puszkina, Tołstoja, Czechowa, a nawet całego Dostojewskiego. Literatura w sowieckiej Rosji pełniła obowiązki pamięci historycznej, tradycji, mitologii narodowej. Była ostatnim włóknem osnowy, łączącej we wspólną całość społeczeństwo, posiekane na ludzkie atomy. Dlatego będę tu szukał teraz *czytelników*.

W co drugim inteligenckim domu mogłem być znaleźć książki bez okładki, z wyrwanymi stronami: tytułową, 17-ą, 35-ą i tak dalej, słowem — z każdym śladem nazwiska autora. To były dzieła pisarzy represjonowanych, w tych domach mieszkali czytelnicy zakazanych książek, zeszmaceni, ale chociaż wiedzący o tym.

Aktor Mark Bernes spalił po aresztowaniu Babla manuskrypt opowiadania „Moje pierwsze honorarium”, подарowany mu przez autora. Niemniej, dwadzieścia lat później, w Warszawie, wyrecytował mi z pamięci cały długi tekst bez zająknięcia. Dzięki temu polski przekład ukazał się drukiem w *Świecie*, nim jeszcze wolno go było przeczytać Rosjanom.

Ulica jak z filmu „Mad Max”; akcja jego toczy się wśród resztek cywilizacji, protagonistami są ci, którzy przeżyli Trzecią Wojnę. Moskwa jest zaniedbana. Jezdnie są pełne dziur, chodniki garbów. Tylko w centrum — na Mochowej, Herzena, na Placu Manieźnym wyją koparki i walce drogowe. Stepowy pył kłębi się jak spod tatarskich kopyt. Miasto wiruje wokół Kremla z wysiłkiem i skrzypem. Gdyby nie metro, Moskwa stanęłaby raz na zawsze, jak jej rzeka, kiedy zetnie ją nagły mróz. Metro jest przeciążone, często się psuje, nowych wagonów nie widać. Ale tylko metro nie jeździ po wybojach i wszędzie dociera.

Wśród obłupanych jak platan kamienic rzadko widać rusztowania, tylko Biały Dom pięknie lśni, jakby nigdy nie było sławetnej pieriestrojki. Tyle, że otoczony jest nowym, gęstym parkanem; tu już nie będzie demonstracji. I

chyba wszystkie cerkwie już odbudowane, także te na Zaria-diu, odkopane spod rumowisk. Tu dopiero widać, że złożone kopułki ich dzwonnice to nie żadne cebule, tylko płomienie świateł. Są zresztą pustawe te cerkwie. Religia ledwie na chwilę przestała być podnóżkiem polityki, „najmitą kazonnym”, jak pisał Klujew. Obok soboru, tam gdzie była Brama Iwerska, sprzedają pisemko *Czornaja sotnia*, pierwszą stronę zdobi portret ojca Joana Kronsztadzkiego, kaznodziei dworu Mikołaja II-go. Obok formuje się pochód; leniwy wiatr rozwiewa czerwone sztandary z sierpem, młotem i wizerunkiem Zbawiciela. Paru milicjantów bez pośpiechu ustawia szlabany; nie puszczają manifestacji pod Mauzoleum.

Korytarze metra pełne są sprzedawców gazet i książek, ale kto chce mieć wybór, jedzie w sobotę na kniżnyj razwał.

Na śródmiejskim wygwizdowie, w krytej hali olimpijskiej tłumy przepychają się wśród dobrego tysiąca połowych łóżek, kreślarskich stołów i stołków zawalonych książkami. Są i przekupnie, i drobni wydawcy. Jedna z niewielu to dziedzina prywatnej produkcji, która ruszyła z kopyta; prawie cała inicjatywa idzie jeszcze w handlowy gwizdek. Jak w Polsce parę lat temu — przeważa sensacja w szpetnych, kolorowych okładkach z tłoczonymi, złożonymi literami. Mnóstwo astrologii i parapsychologii, magii, podręczników karate. Ale jest też Karamzin i Kluczewski. Rosjanie odkrywają własne dzieje. Jest nawet Pipes. Znajduję kilka publikacji Lwa Gumilowa, historyka z przeblaskami geniuszu, syna poety Mikołaja i Anny Achmatowej. Sporo broszur o sekretach epoki. Jest znakomita monografia Waksberga „Inkwizytor”, to o Andrzeju Wyszyńskim. Są pamiętniki sekretarza Rasputina, jest parę książek o zamordowaniu ostatniego cara. Obok — książeczka Wolinej o najśłynniejszym w dziejach fałszerstwie — „Protokołach mędrców Syjonu” i rosyjskim ich autorze, Siergieju Niłusie. Na kopy liczą się wspomnienia byłych generałów KGB i wywiadu. Słowem, jak w domu.

Z nowych nazwisk tylko dwa migają wśród stosów świeżych staroci: Limonow, pociotek Brychta, tyle że zachował szarpacką sprawność — i Siergiej Dowłatow, niedawno zmarły; oplakują go tak niemal, jak przed laty Wysockiego.

Alarm: nie widać tłumaczeń z polskiego. Z ledwością dokopuję się do nowel Lema. W podziemiach znajduję używany „Inny świat” Herlinga.

Książek antykwarycznych tak, jakby nie było. Nie ma i już. Łatwiej było dostać Szestowa i Cwietajewą od Aloszy Kruczonycha, który za moich czasów urzędował na Kuznieckim przed księgarnią literacką i sprzedawał chyłkiem rzadkie publikacje spod poły paltocika. Paltocik pamiętał jeszcze te lata, kiedy Kruczonych z Kamieńskim, Burliukiem i Majakowskim robił w futuryzmie.

Ale nie widać też książek, które jeszcze niewiele lat temu uchodziły za alibi rosyjskiej literatury. Ani Siniawskiego, ani Maksimowa, ani Jerofiejewa, ani nawet Aleszkowskiego. Ba, Sołżenicyna znalazłem z trudem: trzeci tom „Archipelagu”, to wszystko. Siergiej Dubow, mój znajomy, wydał 3 lata temu, to znaczy bardzo dawno, 2 miliony egzemplarzy tej książki. Dubowa niedawno zastrzelono w biały dzień przed drzwiami wydawnictwa, pół roku wcześniej tak samo zabito mu syna. I nie ma kto rzucić na rynek dodruku, chociaż Sołżenicyn za chwilę będzie w Moskwie.

Wolno przypuszczać, że brak tych książek jeszcze inne ma przyczyny. Nie o to nawet chodzi, że dla młodych Szalamow i Dante są pono rówieśnikami. Oto zniknął z rynku czytelnik dysydenckiej literatury protestu. Schował się w mysią norę. Wydaje się, że inteligencja nie kupuje już książek, nie chodzi do teatrów. Ot, rozpadł się nawet Teatr na Tagance. W innych grają sztuki rozrywkowe i kobyły patriotyczne: Brecht nazywał taki repertuar kulinarnym.

Stella Dmitriewna, wyborna tłumaczka z polskiego, tłumaczy, że inteligencja sparzyła się. Po pierwszej epoce euforii przyszła apatia z powodu zawału reform i ogólnej niemożności. Istotnie, protagoniści okresu burzy i naporu zniknęli nie tylko z publicznych stanowisk, lecz także z nagłówek gazet.

Profesor Kara-Murza powie, że to, co nazywa świadomością społeczną, kształtują teraz inni, na przykład nuworysze w kaszmirowych marynarkach, okularnicy zaś dąsają się i wyjeżdżają za granicę.

W *Izwiestiach* 19 maja tego roku przeczytam list czytelnika z prowincji: „nienawidzimy waszej gazety, bo była w pierwszym szeregu tych, którzy zburzyli nasz ustrój... Nie mieliśmy żadnego majątku, ale była wolność od prywatnej własności... Owszem, były kolejki! Ale to dowód, jak wielkie fundusze na zakupy były w ręku ludności... Historia wykaże jak doszło do tej ogromnej tragedii — rozkładu potężnego, wielkiego państwa”. Czytelnik jest przekonany, że stało się to nieszczęście za sprawą „garści demokratów”, dziennikarzy, inteligentkiej, antypartyjnej zgrai.

Moja przyjaciółka, pisarka, sławna ongiś aktorka, jest przez córkę karmiona ziemniakami i szpinakiem przez okrągły rok. O cielęcinie mowy nie ma, za droga; może być kurczak, ale przecież ona tylko leży i czyta, po co tu marnować kalorie.

Niedaleko jest kawiarnia, rzecz jasna — bez kawy, za to z kaukaską kuchnią. Na widok mojej towarzyszki gospodarz zastawia bez słowa stół przysmakami i obraża się, gdy chce płacić.

Kawiarnia „Aist” jest zatem jednym z tych miejsc, gdzie pamięta się jeszcze o nieoficjalnej tabeli rang. Górne stopnie tej drabiny zajmowali artyści, poeci, muzycy i, oczywiście, sportowcy. Zwłaszcza kobiety wiedziały, o co chodzi. Przez dziesiątki lat niebezpiecznie było wiązać się z dygnitarzami; najczęstszym finałem kariery była niełaska i aresztowanie; z reguły deportowano potem rodzinę. Statystycznie biorąc, miłość w ZSSR była bezinteresowna. Rosyjski romans miał zawsze odcień desperacji; w tej epoce stał się ponadto ostatnim schronieniem, azylem, jedynym bodaj niepodległym obszarem prywatnego życia. Nakazy i kontrole są na tym obszarze, jak wiadomo, mało skuteczne.

Od samego dworca, hen, wzdłuż Wału Gruzinińskiego stoją w dwóch rzędach przybysze z Białorusi. Sprzedają z worka paczkowany twaróg, kielbasę, konserwy, wódkę, rąbanekę. Wszystko nieco tańsze, niż w sklepie. Potrzebne im są ruble. Generał Ruckoj jest w błędzie: rubel nie jest tylko papierkiem od zjedzonego dawno cukierka.

Białoruś przystępuje do strefy rublowej i niedługo już Rosja za swoją ropę, gaz i maszyny dostanie z Mińska nie dolary i nie białoruskie towary, tylko własne rublowe papierki. Postawi w zamian rosyjskie dywizje nad Bugiem.

Nie trzeba pytać Rosjan, czy to lubią, a jeśli który odpowie, że tak, nie warto mieć pretensji. Warto pytać natomiast, czy to się im opłaca.

Odpowiedzi większości moich rozmówców były zaskakujące: przeważnie sądzili, że im się to nie opłaca.

Z bardzo sumiennej ankiety instytutu badania opinii publicznej FOM wynika, że:

— 56% zapytanych Rosjan uważa za pożyteczne zjednoczenie z Białorusią, ale pod warunkiem, że Rosja na tym coś zyska;

— 18% w ogóle zjednoczenia nie chce;
— tylko 9% chce zjednoczenia za wszelką cenę, nawet, jeśli Rosja na tym straci.

Test uważam za znamienity. Podważa potoczne opinie o zaborczych instynktach przeciętnych Rosjan. A także — o ślepotcie czarnego luda. Chodzi nadto o Białoruś; nie o Kirgizję, tylko o Białoruś, kraj domowy, bezbronny, przez który najłatwiej dojechać na Zachód, kraj zapomniany przez ten Zachód i — niestety — przez Polskę.

Co do czarnego luda, to stojąc 70 lat w kolejkach sły-
szał i powtarzał, że chwilowy brak masła, mięsa, chleba tym
głównie się tłumaczy, że Rosja musi nie tylko wspierać jego
groszem odległe rewolucje, ale też karmić jego chlebem i
mięsem wszystkie kraje Obozu, wyniszczone wszak wieko-
wym, kapitalistycznym wyzyskiem, jak również zasilać, tak
jest, biedne, nieurodzajne republiki związkowe, od poleskich
błot do mongolskich piasków.

Przekonanie takie zrodziło znany odruch zaborczej
zawiści wobec Zachodu („dlaczego tylko nam ma być tak
źle?” — odpowiadali czolgiści Czechom na ich żale w sierp-
niu 68 roku). Z drugiej strony, Rosjanie, nawet nie starzy,
pamiętają, że długość kolejek po masło była wprost propor-
cjonalna do wydatków na zbrojenia. Tak, są jeszcze ważne
imponderabilia: poczucie utraty, urażonej dumy, zawiedzio-
nych nadziei imperialnych. Ale tu warto wiedzieć, kto tymi
emocjami się rządzi, kto je podsycy, kto zaś chce dobra
Rosji bez krzywdy innych narodów.

Profesor Giuseppe Samonà z uniwersytetu w Pescarze
odwiedził ZSSR w epoce częściowo minionej. Profesor nale-
żał do skrajnej lewicy. Twierdzi, że ze wszystkich rozmów,
jakie prowadził, najbardziej go oświeciła krótka wymiana zdań
z pewnym starym nacmenem. Miała miejsce na moskiew-
skiej *tołkuczce* w Łużnikach. Wśród tłumu sprzedających sie-
dział na ziemi starzec w stębnowanym chałacie i filcowym
nakryciu głowy, przypominającym stosowny kapelus. Samonà
spytał go przez tłumaczkę, skąd pochodzi. — Z Kirgizji —
odparł starzec — a ty? Ja z Italii — wyjaśnił Samonà. —
Italia? Gdzie to jest? — Nad Morzem Śródziemnym. Mię-
dzy Hiszpanią a Grecją. Rozumiecie?

Stary nie rozumiał. Po chwili namysłu spytał:

— U was ruski jest?

— Niet — powiedział Samonà bez pomocy tłumaczki.
— A u nas da! — powiedział Kirgiz.

Prócz kilku niewyblakłych jeszcze wspomnień i niechęci
do uogólnień, przywoziłem tu hipotezę roboczą, w myśl któ-
rej nie warto dzielić Rosjan wedle ich stosunku do takiej czy
owakiej partii, teorii, religii, wedle ich poglądów na własną
przeszość, czy nawet na demokrację. Są to wszystko ich
sprawy, ich wewnętrzne troski i wara nam wtrącać się do
tego, udzielać rad, wypominać Rosjanom zaszłości. Zostawi-
łem w domu de Custine'a, Kucharzewskiego i nawet Ustę-
p Części Trzeciej „Dziadów”. Niczego tak nie cierpią Rosjanie,
z najzacniejszych demokratami włącznie, jak dowodzenia im,
że komunizm był naturalnym owocem ich gleby historycznej.
W polityce te wywody są zresztą jałowe. O wiele przydat-
niejszy wydał mi się podział na tych, którzy są za Rosją i
tych, którzy są za Związkiem Sowieckim. Elementarne to
kryterium prawie zaraz okazało się użyteczne. Więcej,
poważę się twierdzić, że stosowanie tego rozróżnienia jest
konieczną przesłanką polityki wschodniej Polski.

„Rosja, w analogii do innych mocarstw, przestanie być
imperialistyczna, gdy straci imperium” pisał Juliusz Miero-
szewski. Rzecz się pono stała, ale czy ją kto w Polsce
zauważył? Nie przypominałbym tego zdania właśnie na tych
łamach, gdyby nie okoliczność zdumiewająca, godna zająć
osobne miejsce w dziejach głupoty w Polsce. W ciągu czte-
rech lat niezwykłej koniunktury politycznej, gdy Polska miała
spokój i od Zachodu, i od Wschodu, nikt w Polsce nie sko-
rzytał z gotowego programu wypracowanego w *Kulturze*.
Zdawało się, że stanowi gwarancję trwałej niepodległości, bo
usuwa pretensje terytorialne i przeszkody z drogi do przyja-
znego i równoprawnego partnerstwa z suwerenną Ukrainą,
Białorusią i Litwą, Rosji zaś pozwala wreszcie nie widzieć w
Polsce zuchwałego konkurenta do panowania nad tymi kra-
jami. Toż to był wstęp i powód do wiekowych walk, nie-
znośnej dominacji i zapiekłej wrogości, z którą za wszelką
cenę trzeba skończyć.

Nie trzeba było długich biesiad, abym przekonał się w
Moskwie, że Polska nie obchodzi w istocie polityków rosyj-
skich. Polskę mają z głowy. Mogą teraz mówić spokojnie o
strefach wpływów. Polska spełniła zawczasu zalecenie Żyry-
nowskiego: nie interesować się Najbliższym Wschodem i potaki-

wać planom restauracji Imperium. Może wtedy przesunięty zostanie termin podzielenia się Rosji z Niemcami polskim terytorium.

Konstanty Zatulin, nie demagog, lecz prezes komisji Dumy d/s Krajów Bliskiej Zagranicy oznajmił: „Imperium to pojęcie pozytywne: oznacza pokój i równe traktowanie wszystkich obywateli”. Ani słowa, 77 lat historii ZSSR są tego równego traktowania dowodem. Profesor Bugaj dał mi całą bibliotekę swoich prac o deportacji „występných narodów”.

O ile ci, którzy chcą praw dla Rosji i nietykalności Rosji, winni liczyć na wszelkie poparcie Polaków, o tyle ci, którzy chcą restauracji Imperium nie powinni spodziewać się zrozumienia i poparcia ze strony Polski. I nie trzeba tego owijać w bawełnę. Rosjanie mają uraz na punkcie sławetnej polskiej obłudy.

Kioski pełne są soków z owoców egzotycznych. Trochę kartonów z „Hortexu”, ale więcej z Finlandii. W Finlandii te owoce wcale nie rosną. Finów szanują z dawna, przynajmniej od czasów wojny. Finlandia ma 5 mln ludności, nie należy do NATO, graniczy z Rosją, ma za plecami morze. Jest zaś głównym oparciem dla Estonii i reszty Bałtów. Wzmogła z nimi komunikację, handel, wymianę programów TV, studentów i fachowców. Robi to, wcale nie brzękając szabelką, bez ostentacji, ale serio, bo Finowie uważają, że wcale nie wtrącają się do wewnętrznych spraw Rosji. Przecież chodzi o byłe kraje Związku, nie zaś Rosyjskiej Federacji.

Co zrobiła Polska dla Ukrainy?

Z moim ogarkiem Diogenesa szukam więc ludzi, gotowych uznać, że Imperium było kulą u nogi Rosji. Znałem już takiego — jest nim Aleksander Sołżenicyn i trzeba przypominać o tym przy każdej okazji, bez żadnego względu na jego poglądy w sprawie prawosławia, gnuśnego Zachodu i grzechów rosyjskiej inteligencji. A także bez względu na drugorzędne zastrzeżenia, którymi pisarz opatruje swoją tezę. Bo kwestia jest kluczowa dla Polski. Tak, jeszcze przed przyjazdem wypowiadał się w sprawie rosyjskiej większości na Krymie i w północnym Kazachstanie. Kwestia do dyskusji, ale dotyczy tylko konfiguracji granic i zasady nie zmienia. Rad by

mieszkać z Ukraińcami i Białorusinami w jednym domu, ale wyraźnie pisze, że ich także nie wolno do tego zmuszać, tym bardziej siłą. Odciął się z odrazą od Żyrynowskiego, bo to imperialista. Ten pisarz uważa Związek za Wielką Zonę, a ustrój komunistyczny za maszynę do wymóżdżenia całych ludów, przede wszystkim Rosjan, po to, aby zrobić z nich twór sztuczny, bez świadomości, sumienia i poczucia tożsamości — człowieka sowieckiego.

Otóż ludzi, którzy tak sądzą, znalazłem więcej. Nadto dowiedziałem się jaką ewolucję przebył człowiek sowiecki, jak udała się jego hodowla i gdzie szuka przytułku.

Obok wytwórni zabawek i ogródka jordanowskiego, w niepozornym budynku przy bocznej ulicy mieści się najpoważniejszy ośrodek, badający poglądy i tendencje obywateli rosyjskiej federacji — Fond „Obszczestwiennoje mnenije”, a także redakcja znakomitego dwumiesięcznika *Polis*. Z bocznej, zagraconej komputerami salki wychodzi szef zespołu analiz Igor Klamkin, uczony średnich lat, bez krawata, w podniszczzonej marynarce. Wcześniejsza lektura niektórych jego prac dawała już do zrozumienia, że stosują tu nieszablonowe metody badań społeczeństwa, wyłaniającego się załedwie z rozbitej skorupy i na dobrą sprawę nie znanego socjologom. Jedynym rodzajem skrupulatnych dociekań w tej dziedzinie długo była analiza podsłuchów i donosów w komórkach KGB, reszta służyła do pokazuchy. Już po godzinie wiedziałem się, że mój rozmówca to umysł pierwszorzędny, wolny od uprzedzeń i zdolny do jasnej syntezy.

Jeszcze niedawno, powiada Klamkin, nie było właściwie potrzeby zagładania w głąb społeczeństwa, bo nic się tam nie działo. Wystarczyło porównać to, co powiedział Gorbaczow z tym, co mu odpowiedział Ligaczow. Ale od chwili, gdy wstrząsu doznał nie tylko system ideologicznych stereotypów, lecz sam sposób bycia milionów ludzi, bardzo wiele zaczęło zależeć od ich sposobu myślenia. Grudniowe wybory to wykazały.

Klamkin zna odpowiedź na kwestię, która mnie muli: Imperium kosztowało rocznie 50 miliardów dolarów, wliczając już kolonialne zyski.

I oto 66 % Rosjan wciąż nie może się pogodzić z likwidacją ZSSR, ale tylko 16-20 % chce restauracji Imperium.

Mam w ręku spis 38 terminów, które zespół psycholo-

gów FOM uznał za ważne dla życia społecznego. Respondenci umieścili słowo „reforma” na 6-tym miejscu od końca. W tym samym ogonie znalazły się terminy „rynek”, „demokracja”, „własność”. Pierwsze miejsca zajmuje „rodzina”, „praworządność”, „dostatek”, „uczciwość”; trochę niżej jest „stabilizacja” i „pokój”.

Idealem działacza politycznego jest Andropow. Drugie miejsce zajmuje pani Thatcher. Co czwarty Rosjanin wolałby żyć w epoce Breżniewa. Aktualne kłopoty 38% respondentów przypisuje czyjejs kreciej robocie. Wśród wymagań, jakie indagowani stawiają politykom, na pierwszym miejscu jest podniesienie stopy życiowej obywateli, ale zapewnienie warunków rozwoju prywatnej przedsiębiorczości jest dopiero na 21 miejscu. Na ostatnim, 33-cim miejscu jest hasło „wstrzymać finansowanie nierentownych przedsiębiorstw”. Żądanie, by zezwolić na swobodny zakup i sprzedaż gruntów rolnych zajmuje 30 miejsce. Hasło „przywrócić Rosji potęgę” jest na czwartym szczeblu od góry.

Klamkin wymawia epitet „ideolog” z akcentem pogardy. W jego ankietach partie wymieniane są nie wedle ich własnych nazw i haseł, tylko łączone w grupy, zależnie od ich stosunku do podstawowych problemów społecznych: prywatyzacji, podziału władz, reform gospodarczych, restauracji imperium. Jest ostrożny w prognozach, bo się sparzył; nie przewidział nagłego rozrostu partii Żyrynowskiego. Można jednak wywnioskować, że uważa za już nieuchronną reintegrację tego, co nazywa jądrem dawnego ZSSR, tj. Rosji z bliską „zagranicą”. Widzi tu dwa scenariusze. Jeden — cywilizowany, jak go nazywa, tj. sposobem kompromisów i uzgodnień, gwarantujących równowagę między władzą centralną, a regionalną, peryferyjną; toć tu było zarzewie konfliktu między Gorbaczowem a Jelcynem. Drugi scenariusz jest krwawy, siłowy, wymagający mobilizacji mas pod jedynym, możliwym tu, sztandarem szowinizmu. Ideologia narodowa w Rosji nieuchronnie przybiera imperialny charakter, powiada Klamkin; niezupełnie się z tym zgadzam, ale słucham pilnie. Co prawda — dodaje profesor — przy takim obrocie sprawy nie uda się odtworzenie imperium; dojdzie co najwyżej do powiększenia terytorium Rosji kosztem Ukrainy i Kazachstanu.

Wolno traktować prognozy socjologów *cum grano salis*,

ale nie można ignorować znanych im konkretów.

Cytowany tu scenariusz wchodzi do planów obozu, zwanego w papierach FOM po prostu imper-socialistycznym, tyle, że plan ma być realizowany drogą gwałtu dozowanego: przez twardą politykę Rosji wobec republik dawniej związkowych, prowokowanie wewnętrznych secesji, a przede wszystkim przez odcięcie ich od dwóch warunków przetrwania — sojuszów i paliw. Ma to dać w efekcie rezygnację z niepodległości. Trzon tego obozu stanowi partia Żyrynowskiego. Podobne cele mają komuniści (600.000 członków, płacących składki).

Tę samą taktykę stara się w porę przyjąć obóz rządowy, a przynajmniej jego armia; jest Wielkim Rozjemcą etnicznych konfliktów, ale wydaje się, że spora ich część bez jej pomocy w ogóle by nie wybuchła. Np. w Abchazji.

Ambitne te plany nie dałyby się zrealizować samą tylko siłą woli i staraniem nadwerżonej biurokracji, pozbawionej partyjnego zaplecza i pionu. Sprzyjają im dwie okoliczności: pewna osobliwość polityki Stanów Zjednoczonych i pojawienie się podmiotu socjalnego, nie znanego gdzie indziej, a gotowego poprzeć projekt odbudowy Systemu *coûte que coûte*. Tym podmiotem jest lekceważony sowek.

Moi moskiewscy rozmówcy orientują się na ogół, że ekipa Warrena Christophera martwi się głównie o to, żeby tylko jedna ręka miała dostęp do guzika, mogącego uruchomić strategiczne rakiety, drzemiące w silosach i hangarach po obu stronach Uralu. Według danych (zresztą ośmioletniej dawności) głowic tych było 9.987. Pierwszą troską USA jest więc zapobieżenie parcelacji tego arsenału. Oto główny szkopuł, przeszkadzający poparciu dla Ukrainy i Kazachstanu, o Białorusi już nie wspominając. Troska to zrozumiała, ale półślepa: jednym okiem widzi się niby wszystko, brak tylko głębi, perspektywy. W perspektywie jest znalezienie się tego śmiercionośnego ładunku w jednym ręku, z tym, że będzie to ręka Żyrynowskiego albo Żuiganowa, tj. przywódców obozu, jaki tu nazywają brunatno-czerwonym.

Kłopot polega na tym, że nie są to zwykli politycy, tj. tacy, których można zjednać kredytami. Chcą więcej, zwłaszcza Żyrynowski. Mając guzik pod ręką, mogą śmiało tego zażądać.

Rosja jest bowiem ostatnim krajem, w którym schroniła się i przetrwała idea Lebensraumu.

Ekspansja terytorialna i gospodarka ekstensywna zarzucone zostały wszędzie. Okazały się zbędne, nieopłacalne, niebezpieczne dla Anglii czy Francji, a co więcej — dla Japonii i Niemiec, które osiągnęły wyżyny dobrobytu i pomyślności dopiero po utracie imperiów i terytoriów, uważanych przedtem za niezbędne dla rozwoju ojczystego kraju. W Rosji ten czad dalej zatruwa umysły. Ma piękną i długą historię: Aksjonow obliczył, że od bitwy na Polu Kulikowym (1380) obszar Rosji zwiększał się dzień w dzień przeciętnie o 54 wiorsty kwadratowe.

Sovek wcale nie musi być nacjonalistą, a nawet patriotą. Jego patriotyzm jest przywiązaniem tasiemca do ślepej kiszki.

W pierwszym szeregu tej rosyjskiej większości, której czystości etnicznej i kulturalnej broni Szafarewicz, stoi nie żaden Platon Karatajew, ani Iwan Denisowicz, rodzony wnuk Platona, tylko sowiecki sovek. To znaczy — istota wcale niepodobna do krnąbrnego protopopa Awwakuma, do Stienki Razina, czy do chłopów-starowierów, co to woleli spłonąć żywcem w cerkwi, niż oddać ją hierarchii, skumanej z carem. Sowieckie gasidło zdusiło nie tylko cerkiewne świece.

Ten produkt Systemu odznacza się nie tyle nawet wymuszoną potulnością, co chętną i naturalną zależnością od struktur państwowych. Życzy sobie ich przetrwania, bo miał dzięki nim *minimum existendi*, nędzne, ale pewne. Jeżeli jest chłopem, nie bierze ziemi, woli wegetować w kolchozie, ale na gotowym. Jest przeciwnikiem rynku, konkurencji, prywatyzacji, inteligenckich debat, obcych elementów, ale przede wszystkim jest żywą antytezą samodzielności i przedsiębiorczości, bez których Rosja nie wygrzebie się z jamy. Jest wzorem konserwatysty, bowiem w tzw. okresie zastoju, za Breżniewa i Andropowa, już nie musiał bać się terroru, państwowego zaś cycek miał pod nosem.

Tylko 5% respondentów ankiety (państwowego tym razem) C.I.O.M. chciałoby w swojej działalności gospodarczej być niezależnymi od państwa.

Sovek ma powody, aby popierać obóz, który obiecuje nie tylko powrót do drogich mu form Systemu, ale nadto umocnienie i ekspansję Państwa.

Dwa są powody, dla których ten problem nabrał cech lawiny.

25 milionów Rosjan mieszka poza granicami Federacji Rosyjskiej. Jest to zadziór, na jaki natykałem się w każdej prawie rozmowie. Jedynym wyjściem jest, oczywiście, zachowanie przez te miliony kolonów praw, jakie przysługują ich sąsiadom, którzy są tu gospodarzami. Bóg widzi, jakie to trudne. Otóż ci ludzie nie będą chyba narzędziem rusyfikacji. Za to są nosicielami syndromu sowietyzmu, rozsądnymi chorób sowka. Większość z nich to urzędnicy, członkowie rodzin wojskowych, aparatu bezpieczeństwa i kontroli. Nie byli pionierami przedsiębiorczości. Minęły też czasy, gdy stanowili większość kadry uniwersyteckiej i naukowej.

Po drugie — bezrobocie dotyka przede wszystkim ludzi niefachowych, lecz wykształconych. To wśród nich rośnie niezadowolenie, to oni zapełniają lokale partyjne imperialnej opozycji, wchodzą do sztabów, przemawiają na wiecach. Sovek-wykształceni nienawidzi demokratycznego intelektualą gorzej, niż zarazy: to on zrujnował mu bezpieczną, państwową karierę.

Rosji otwarto brzuch, bo rozsadał go złośliwy guz; miał już dalekie przerzuty. Tymczasem — znachorzy krzyczą chórem, że to było cesarskie cięcie i że niepotrzebne, bo dziecka nie widać.

Jerzy POMIANOWSKI

Tradycje polskiej polityki wschodniej

Państwo polskie ma na wschodniej granicy trzech nowych sąsiadów. Niepodległa Ukraina, niepodległa (przynajmniej formalnie Białoruś), niepodległa (jak dotąd) Litwa, odsuwają od nas strefę dominacji mocarstwa, w którego cieniu Polska znajdowała się przez ponad 250 lat. Nowy układ geopolityczny, jakkolwiek bardzo jeszcze niestabilny i opatrzone tak wieloma znakami zapytania, daje polskiej polityce zagranicznej szansę — jak to ocenia prof. Brzeziński — jakiej nie było od rozejmu w Andruszowie¹. Szansę trwałego zabezpieczenia wschodniej granicy i zbudowania systemu równoprawnych układów z sąsiadami, układów wykluczających odtworzenie imperialnego systemu dominacji. Nowa sytuacja geopolityczna oznacza także, do pewnego stopnia, spełnienie marzeń, które prowadziły myśl polskiej polityki wschodniej, najczęściej wbrew realnym nadziejom, przez owe 250 lat. Jest to więc dobry moment, by szlak tej myśli przypomnieć, podsumować jej sens historyczny i zastanowić się — w jej perspektywie — nad przyszłością. Spróbujmy zatem.

Nowoczesna refleksja nad zasadami naszej polityki wschodniej rodzi się wraz z poczuciem zagrożenia polskiej niepodległości, w pierwszej połowie XVIII wieku, w warunkach całkowitego zdominowania publicznego życia Rzeczypospolitej przez rosyjską „opiekę”. Władysław Konopczyński opisał zwięźle i celnie ten proces: „Czego nie dokonała przeczona polityka habsburska, to sprawił brutalny nacisk Rosjan.

1. Zob. Z. Brzeziński, „Koniec zimnej wojny: szanse dla Polski i dla świata”, *Arka*, nr 39-40/1992, s. 26-27.

Polak zaczął odróżniać niepodległość narodową od swobody osobistej. Od samego też początku owa niepodległość konkretyzuje się w umysłach jako przede wszystkim obrona przed Rosją²”. Konfederacja barska, Rejtan, obrady Sejmu Wielkiego w hałasie antymoskiewskiej inwektywy, walka w obronie konstytucji majowej, Targowica, powstanie kościuszkowskie, wreszcie rzeź Pragi — wydarzenia i postaci zyskują wkrótce znaczenie symbolów tworzących nowe rozumienie narodowej tożsamości. One właśnie, wyrastając ponad wszelkie inne doświadczenia XVIII wieku, nakazywały spośród trzech zaborców w Rosji właśnie wskazać głównego wroga polskiej niepodległości.

Jeśli w Warszawie obydwu Sasów i Stanisława Augusta przeważał z mniejszym lub większym nasileniem wpływ rosyjskiej ambasady, to z chwilą likwidacji owej placówki — wraz z wymazaniem Rzeczypospolitej z mapy — panowanie Imperatorowej objęło 63% ziemi polskiego państwa w granicach z 1772 roku. Po przyłączeniu obwodu białostockiego w 1807 roku do cesarstwa i utworzeniu osiem lat później Królestwa Polskiego, wnuk Katarzyny zjednoczył pod swoim berłem około 82% przedrozbiorowego terytorium Rzeczypospolitej (dla porównania — Austria 11%, Prusy 7%). W latach dependencji przedpodziałowej, jak też w układzie kordonów po 1815 roku każde powstanie narodowe musiało zwrócić się przede wszystkim przeciw rosyjskiemu imperium.

Jak rozbić rosyjskie imperium? — to w ciągu ostatnich 250 lat pierwsze, podstawowe pytanie polskiej polityki wschodniej, a w każdym razie tego jej nurtu, który za cel nadrzędny stawiał sobie odzyskanie i zabezpieczenie pełnej, rzeczywistej niepodległości Polski. Początkowy bieg tego jednego tylko nurtu postaram się poniżej naszkicować (pominę zatem zupełnie rozwijające się paralelnie koncepcje ugody, oparcia państwowości polskiej o Rosję i jej potęgę).

To nie Piłsudski wymyślił strategię osłabienia nazbyt potężnego wschodniego sąsiada przez jego rozbitcie na narodowościowe atomy, przez odwołanie do separatystycznych tendencji nierosyjskich narodów imperium. Nie on pierwszy pomyślał o szansie, jaką dla sprawy polskiej niepodległości stanowiłaby rewolucja wewnątrz Rosji. Te właśnie dwa motywy — nadziei na przewrót wewnętrzny w samej Rosji oraz myśli o podniesieniu przeciw Moskwie narodowości „okrain” imperium — pojawiają się nieomal natychmiast, gdy tylko problem nieuchronnego starcia z przygniatającą potęgą ro-

2. W. Konopczyński, „Konfederacja Barska”, t. 1, Warszawa 1936, s. 14.

syjskiego państwa pojawia się na horyzoncie politycznej wyobraźni Polaków. Pierwszy dokument, w którym oba są już w pewnym stopniu zapowiedziane, pochodzi z 1733 roku, a nosi tytuł „Zdanie narodu polskiego, osobliwie konfederacji sandomierskiej, dane do uwagi narodom rosyjskiemu i kozackiemu”. Wątek wezwania samych Rosjan do buntu przeciw władzy nie tylko Polaków, ale i ich także gniozącej, ponowi 35 lat później „Oświadczenie konfederacji (barskiej — AN) stanom i obywatelom rosyjskim”. Obydwa teksty wiążą się ściśle w swej wymowie i celu z kontekstem polityczno-militarnym, w jakim się rodziły, a którego szerzej nie możemy tutaj omawiać³. Powiedzmy tylko tyle, że obydwą powstawały w czasie walki toczonych przez konfederatów (w 1733 roku dzikowskich, w 1768 roku barskich), walki, którą rozstrzygnąć miała interwencja rosyjskich oddziałów. Dwa te apele miały więc naturalnie sens dywersyjny — miały skłaniać swych adresatów do opuszczenia, a najlepiej odwrócenia bagnetu, z którym zostali przysłani do „przywracania porządku” w Rzeczypospolitej. Ten sam motyw utrwali się odtąd na stałe w kolejno podejmowanych zrywach powstańczych, które zwracając się przeciw rosyjskiemu imperium, wśród jego poddanych będą także szukały potencjalnych sojuszników, starając się w każdym razie dotrzeć zawsze z antycarską propagandą i wolnościową ideologią pod żołdacki szynel.

Na progu kampanii 1792 roku książę Józef Poniatowski wysłał w głąb Rosji — jak zanotował z trwogą ambasador Katarzyny — „kilkuset apostołów wolności”. W dwa lata później Naczelną Radą Litewską kościuszkowskiej insurekcji wydaje specjalną odezwę — w języku rosyjskim — wzywającą żołnierzy imperatorowej do wystąpienia przeciw caratowi. Z pomysłu Józefa Pawlikowskiego i samego Naczelnika podejmowane są jednocześnie próby agitacji powstańczej i antyrosyjskiej zarazem w szeregach kozaczyzny⁴. Pomysł wraca znów w powstaniu listopadowym, tym razem w wielu rozmaitych realizacjach, z których wymienić trzeba na pewno jedną

3. Zob. W. Kriegseisen, „Trzy pisma propagandowe z okresu przedostatniego bezkrólestwa”, *Kwartalnik Historyczny*, 1983, z. 4, s. 809-822; A. Nowak, „Kto powiedział, że Moskale są to bracia nas, Lechitów... Idea słowiańskiego pobratymstwa i historia polskiego apelu wolnościowego do Rosjan — 1733-1831”, *Kwartalnik Historyczny*, 1990, z. 1, s. 85-116.

4. Tamże, s. 93-94; zob. także „Dziennik Bułhakowa”, (w:) W. Kalinka, „Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta”, cz. 2, wyd. 2, Kraków 1891, s. 380, 384.

przynajmniej: sformowanie przez Lelewela słynnego przez następnych 150 lat hasła walki „za naszą wolność i waszą”. W dwujęzycznej, polskiej i rosyjskiej wersji, zatykane na poręczach przed polskimi liniami trafić miało do korpusów Dybicza. Kilka wydanych odezw, projekt antycarskiego apelu sejmowego do Rosjan (znów autorstwa Lelewela), sławna manifestacja żałobna ku czci dekabrystów, wreszcie mniej znana inicjatywa wydania w formie propagandowej książeczki projektu konstytucji dla Rosji — to kolejne dokumenty uporczywie wracającej w 1830-31 roku nadziei na poruszenie od wewnątrz carskiego imperium. Po klęsce powstania nadzieja przenosi się na emigrację. Stąd wydany zostaje w 1832 roku słynny apel Komitetu Narodowego Polskiego do Rosjan (wspólnego autorstwa Lelewela i Mickiewicza), wykorzystywany — obok kilku innych, mniej głośnych odezw — w próbach agitacji na terenach rosyjskiego zaboru przez emisariuszy emigracyjnej lewicy, w szczególności przez Szymona Konarskiego i jego konspiracyjnych współtowarzyszy. Są także wznawiane apele do Kozaków i Rusinów z myślą o ich poderwaniu do walki z Moskwą — pojawiają się one m.in. w propagandowym ekwipunku żaliwiczczyków w 1833 r.⁵ Wyłapują je carscy żandarmi i celnicy na galicyjskiej granicy w okresie przygotowań do następnego, poronionego powstania w 1846 roku. Czas Wiosny Ludów znów sypie kolejnymi przykładami, wzmacnianymi — jeśli idzie o antycarskie wezwania do Rosjan — ideowym wsparciem ze strony pierwszych emigrantów rosyjskich, Hercena, Bakunina, Sazonowa, Gołowina. W stosunkach z nimi właśnie dojrzewa na progu powstania styczniowego jeszcze jedna próba nawiązania współpracy z Rosjanami, rosyjskimi żołnierzami przede wszystkim, w polskiej walce z caratem. Dwa z trzydziestu tomów pomnikowego wydania serii dokumentów o powstaniu 1863 roku dają wyczerpujący przegląd owych prób, znanych w większości na tyle, byśmy ich nie musieli tutaj przypominać⁶.

Sto trzydzieści lat prób — bez żadnego efektu? Wiemy, że Rosjan nawróconych przez polską propagandę wolnościową

5. Zob. A. Nowak, „Wokół lelewelowskiej odezw do Rosjan (1832 r.)”, *Studia Historyczne*, 1988, z. 3, s. 373-396.

6. Zob. S. Kieniewicz, „Rewolucyjny sojusz polsko-rosyjski w dobie powstania styczniowego”, (w:) „Związki rewolucyjne Polaków i Rosjan w XIX w.”, Wrocław 1972, s. 111-124; por. A. Nowak, „Rosja w publicystyce politycznej Wielkiej Emigracji przed powstaniem styczniowym”, *Przegląd Historyczny*, 1991, z. 1, s. 79-81.

wą w kolejnych jej wcieleniach i wariantach znacznie łatwiej policzyć niż tych carskich żołnierzy, którzy wiernie i z oddaniem spełnili obowiązek wobec cara — obowiązek „*usmirienija polskiego miatieża*”. Wiemy, że ciąg agitacyjnych apeli — tak do żołnierzy rosyjskich jak i do nierosyjskich mniejszości imperium — nie wpłynął w najmniejszym stopniu na rezultaty polskich niepodległościowych zrywów XVIII i XIX wieku.

Przypomniane tutaj w największym skrócie powstańcze odezwy swe historyczne znaczenie odstaniają jednak nie w swej doraźnej skuteczności, a raczej jej braku. Stanowią one najpłytszą jakby warstwę myśli o rozbiciu rosyjskiego imperium z wykorzystaniem tkwiącego w jego politycznej, opresywnej strukturze, potencjału wybuchowego. Zdać sobie trzeba sprawę, że w każdym powstaniu przeważała intencja antyrosyjska *tout court*, nie rozróżniająca caratu i jego poddanych, i że większość z wymienionych odezw w swej bezpośredniej intencji nie wychodziła również poza doraźny, propagandowy cel, mający faktycznie raczej osłabić morale przeciwnika niż poważnie poszukiwać w jego szeregach potencjalnego sojusznika. Rzecz w sytuacji walki normalna, jednak w swej ciągłości, w świadomości ponawianych już nawiązaniach, ciąg owych powstańczych apeli tworzył pewną tradycję, tradycję gestów przynajmniej, które złożyły stopniowo coraz głębszy ślad w politycznej wyobraźni niepodległościowej orientacji. Za kulisami powstańczego teatru, co ważniejsze, towarzyszył im rozwój rzeczywistych, w pełni poważnie branych programów odpowiadającej polskiej polityki wschodniej.

W programach tych spotykają się te same, z pozoru sprzeczne i wykluczające się wątki, co w powstańczych apelach: wątek rewolucyjnego sojuszu antycarskiego z Rosjanami oraz wątek pobudzenia przeciw Moskwie nierosyjskich narodów imperium, przede wszystkim Ukrainy. Charakterystyczny jest tu przykład Józefa Pawlikowskiego, ideologicznego „mózgu” kościuszkowskiej insurekcji. W swym najśłynniejszym politycznym dziele, anonimowo wydanej broszurze z 1800 roku ze słynnym pytaniem w tytule: „Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość?” Pawlikowski stawia te dwa wątki obok siebie jako dwie drogi, których w poszukiwaniu niepodległości Polacy powinni spróbować. Rozważa wydanie caratowi „wojny opinii” (czyli ideologicznej, jakbyśmy to w XX wieku powiedzieli) w samym narodzie rosyjskim — przy pomocy hasel świeżej rewolucji francuskiej, a

zarazem proponuje rozbicie państwa rosyjskiego przez powołanie tkwiących w nim sił odśrodkowych, w pierwszym rządzie Kozactwa, przez przeciwstawienie Petersburgowi „czteromilionowego żywiołu Małorosji”. W 1807 roku Pawlikowski wybierze już zdecydowanie drugą z tych ewentualności, proponując w poufnym memoriale złożonym Napoleonowi całkowity wybór polityczny cesarstwa Rosji na jej etniczne składniki⁷.

Przypominając ten memoriał, wchodzimy w kontekst, który dla koncepcji polskiej polityki wschodniej miał znaczenie zasadnicze — kontekst nadziei na wsparcie naszej walki z rosyjskim imperium o niepodległość przez mocarstwa zachodnie. Epoka napoleońska w naturalny sposób tę nadzieję rozbudziła, skłaniając twórców polskiej myśli politycznej tamtego czasu do podporządkowania roli Polski na wschodzie kontynentu ogólnemu scenariuszowi politycznej gry, jaki podyktować miał całej Europie przywódca największego mocarstwa Zachodu. Polska wchodzi wtedy w owych planach w funkcję przedmurza, zaś autorzy koncepcji polskiej polityki wschodniej w rolę suflerów wielkiej polityki Zachodu (w tym wypadku Cesarza Francuzów). Nie jeden Pawlikowski doradzał wówczas Napoleonowi rozbicie Rosji i postawienie na jej miejscu wielkiej Polski jako głównego w tym rejonie sojusznika Francji. Tajne memoriały w sprawie konieczności rozczłonkowania rosyjskiego molocha i budowy w jego miejscu wielu nowych państw narodowych (znów — na czele z Kozaczyzną) składał Napoleonowi przed kampanią 1812 roku także gen. Michał Sokolnicki. W swych projektach opierał się on na gotowych już planach spadkobierców idei mazepińskiej Ukrainy, hetmana Filipa Orlika i jego syna Grzegorza⁸. Od strony teoretyczno-propagandowej plany te wspierały najtęższe umysły Księstwa Warszawskiego. Hugo Kołłątaj w swoich „Uwagach...” z 1808 roku oraz Stanisław Staszic w dziele „O statystyce Polski” rysowali wizję odrodzonej, sięgającej po Dniepr Rzeczypospolitej jako przedmurza napoleońskiej federacji oświeconych narodów Europy. Rosja z „wielkiej rodziny narodów Europy” była w tych dziełach wykluczona⁹. I było to dla stra-

7. Zob. (J. Pawlikowski), „Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość”. Oprac. i wstęp E. Halicz, Warszawa 1967.

8. Zob. O. Subtelny, „Peter I's Testament: A Reassessment”, *Slavic Review*, t. 33, 1974, nr 4, s. 675-677.

9. H. Kołłątaj, „Uwagi nad teraźniejszym położeniem tej części ziemi polskiej, którą od pokoju tyłyckiego poczęto zwać Księstwem Warszawskim”, Lipsk 1808; S. Staszic, „O statystyce Polski”, (w:) tenże, „Pisma filozoficzne i społeczne”, t. 2., Warszawa 1954.

tegi polskiej polityki niepodległościowej opartej o mocarstwo zachodnie naturalne. Natężenie realnych nadziei na owo wsparcie ze strony Zachodu musiało być bowiem wprost proporcjonalne do natężenia kontrastu między Rosją i Europą, do wizji zagrożenia europejskiej równowagi i pokoju przez agresywne, „barbarzyńskie” imperium. Zainteresowanie sprawą polską było w geopolitycznych realiach Europy rewolucyjną funkcją rusofobii. Świadomość tej zależności odzwierciedlił się w ogromnym, niezgłębionym dotąd do końca, antyrosyjskim wysiłku propagandowym polskiej orientacji niepodległościowej na Zachodzie w ciągu całego niemal XIX wieku. To także część, czy może raczej pewien aspekt jednego z wariantów polskiej polityki wschodniej.

Wariant, o którym teraz mówimy, a mianowicie koncepcja osłabienia Rosji i jej ewentualnego rozbicia przy pomocy mocarstw zachodnich, najznakomitszego swego reprezentanta znalazł w księciu Adamie Jerzym Czartoryskim. Eks-minister spraw zagranicznych Cesarstwa Rosyjskiego w ciągu trzydziestu lat swej emigracyjnej działalności — po powstaniu listopadowym — stworzył cały system wychodźczej dyplomacji i propagandy na użytek tej właśnie idei. Nie sposób przedstawić tu pełną skalę jego starań o wciągnięcie Anglii i Francji w konflikt z Mikołajem I, nie sposób przedstawić wszystkie, jakże nowoczesne metody oddziaływania nie tylko bezpośrednio na polityków, ale i na publiczną opinię tych krajów. W tej roli książę Adam był już zresztą wielokrotnie przedmiotem uwagi badaczy¹⁰. Zwrócić natomiast chcemy uwagę na fakt zdumiewającego połączenia przez księcia owego „okcydentalistycznego”, by tak rzec, wariantu polskiej polityki wschodniej, z pozostałymi, wymienionymi dotąd koncepcjami rozwiązywania problemu rosyjskiego imperium.

Między innymi po generale Sokolnickim odziedziczył Czartoryski ideę podważenia Rosji przez odbudowę kozackiej Ukrainy — złączonej przymierzem z Rzeczpospolitą. Kapitałne znaczenie kwestii ukraińskiej w rozgrywce między Polską i Rosją podkreślił także w swym przedśmiertnym liście do obozu księcia Maurycy Mochnacki, największy bodaj geniusz chłodnej analizy strategicznej w dziejach naszej XIX-wiecznej polityki wschodniej. „Poruszyć Ruś” — „albo nie

10. Por. m.in. M. Handelsman, „Adam Czartoryski”, t. 1-3, Warszawa 1948-1950; H.H. Hahn, „Dyplomacja bez listów uwierzytelniających. Polityka zagraniczna Adama Jerzego Czartoryskiego 1830-1840”, tłum. M. Borkowicz, Warszawa 1987.

masz polityki polskiej, albo jest ona cała w tym wielkim i niezmiernym przedmiocie”, pisał w 1834 r. Mochnacki. Autor „Powstania narodu polskiego” zostawił w swym politycznym testamencie przesłanie skupienia całej walki niepodległościowej na tzw. Ziemiach Zabrzanych, a więc dzisiejszej Litwie, Białorusi i przede wszystkim właśnie Ukrainie. Pobudzenie innych żywiołów wieloetnicznego Cesarstwa traktował już tylko jako pożyteczną dywersję w tej głównej rozgrywce. Wierzył, że Polska samodzielnie, w wysiłku powszechnego powstania narodowego będzie w stanie oderwać pas ziem litewsko-ruskich od Rosji. To zaś, jak wierzył, odrzuci na zawsze Rosję od Europy i sprowadzi ją do „politycznej nicości”. Taki cel stawiał przed polską polityką, wychodząc z założenia fundamentalnej sprzeczności politycznego interesu Polski i Rosji¹¹.

Z koncepcji Mochnackiego przyswoił sobie Czartoryski przekonanie o wyjątkowej randze kwestii ukraińskiej. Nie ograniczył się tylko do niej jednak. Listę żywiołów etniczno-religijnych, które mogłyby rozsądzić imperium i dać podstawę do nowej konstelacji politycznej za wschodnią granicą odrodzonej Polski, Hotel Lambert przedłużył wydatnie i uszczegółowił daleko bardziej niż jakikolwiek ośrodek myśli politycznej przed nim — i po nim (aż do piłsudczykowskiego centrum prometeizmu). Pierwszy opis owego pasa narodów podbitych, który stać się miał szatą Dejaniry mikołajewskiego imperium, Czartoryski przedstawił w artykule anonimowo opublikowanym na łamach francuskojęzycznego organu swej propagandy — *Le Polonais*. To jeden z ważniejszych być może, a całkowicie zapomniany dokument polskiej polityki wschodniej. Czartoryski wylicza w nim m.in. Tatarów krymskich, narody kaukaskie, a także — jako osobną kategorię — wszystkich muzułmańskich poddanych cara, Małorús i Kozaczyznę, Finlandię i chłopską ludność autochtoniczną Kurlandii, Łotwy i Estonii jako głównych aktorów swojego scenariusza wewnętrznego rozpadu Cesarstwa¹². Do tych narodów, grup etnicznych i religijnych (dojdzie później jeszcze grupa rosyjskich, prześladowanych starowierców), będzie się starał do-

11. Zob. M. Mochnacki, „Powstanie narodu polskiego”, oprac. S. Kieniewicz, T. 1-2, Warszawa 1984; T. Kozanecki, „Maurycy Mochnacki i obóz Czartoryskiego. Inedita z września-listopada 1834 roku”, *Przegląd Historyczny*, 1956, z. 4, s. 721-765.

12. Piszę na ten temat obszerniej w szkicu „Jak rozbić rosyjskie imperium? Koncepcje polityczne i fantazje kręgu Adama Czartoryskiego 1832-1847”, *Studia Historyczne*, 1990, z. 2, s. 203-207.

cierać z niepodległościowymi, antycarskimi wezwaniami, wezwaniami do współpracy w przygotowaniu obalenia carskiego więzienia narodów. Historia misji Hotelu Lambert, podejmujących w latach czterdziestych i pięćdziesiątych to zadanie, wykracza poza ramy naszego szkicu. Dodajmy tylko, że podstawą planowanej przez Czartoryskiego „akcji uzgodnionej” owych żywiołów miała być zagrożona ekspansją caratu Turcja, a także wsparcie (finansowe, a w najlepszym wypadku i militarne) ze strony Francji i zwłaszcza Anglii. Polacy — agenci księcia mieli w odpowiednim momencie przygotowaną przez siebie akcją pokierować, koordynować jej przebieg, wprowadzić także do walki polskie legiony. Szczegółowym planem takiej akcji, prowadzonej bądź to od Kaukazu, bądź od Dunaju, towarzyszyła głęboka podbudowa ideowa, której fundament dał książę Adam w wydanym jeszcze w 1830 roku „Eseju o dyplomacji”. Rozwinął w nim zasadę prawa narodów do niepodległego bytu, uznając jej nadrzędność w stosunku do tak bliskiej wszystkim dyplomatom zasady utrzymania aktualnego porządku i równowagi. Widział w przyszłości książę miejsce dla niepodległości wymienionych w swoim szkicu z *Le Polonais* narodowości i grup etnicznych — a więc dla Królestwa Gruzji i Armenii, państwa Tatarów krymskich, połączonego z Małorosją państwa Kozaków, które łączyć by miały z Rzeczpospolitą więzy ścisłego sojuszu. Widział jednak książę w swoim planie także miejsce dla Rosji. Nie usuwał jej z kręgu europejskiego. Zakładał bowiem, że bez pozyskania również bodaj części Rosjan dla idei wyzwolenia ich kraju spod jarzma carskiego systemu, wyzwolenia którego ceną musi być rezygnacja z imperium, jego wielki plan nie będzie trwały, w przypadku powodzenia pozostanie bowiem zawsze zagrożony rewizjonizmem potężnego rosyjskiego narodu. Wielki plan Czartoryskiego obejmował więc w praktycznych działaniach także zamiysł nawiązania kontaktów z grupami niezadowolonych oficerów rosyjskiej armii, skupionych głównie na swoistym zesłaniu na Kaukazie, gdzie można by — jak miał nadzieję książę — stworzyć również legion rosyjski, towarzyszący ogólnemu ruchowi wyzwolenicemu¹³. I ten plan jednak nie zdał swego pierwszego egzaminu, jakim stała się wojna krymska. Okazał się przedwczesny z punktu widzenia rozwoju narodowej, politycznej samoświadomości jego wieloplemiennych adresatów, okazało się również, iż nie doceniał on stopnia wew-

13. Tamże, s. 201-202 i 208-223.

nętrznych sprzeczności i antagonizmów między nimi (choćby między Kozakami i Tatarami krymskimi czy muzułmańską i chrześcijańską ludnością Kaukazu). Pozostawał jednak na przyszłość — jako pewna możliwość, a w każdym razie nowa, oryginalna perspektywa polskiej myśli politycznej wobec rosyjskiego problemu.

Dziedzictwo tak szkicowo i wrywkowo przedstawionych koncepcji niepodległościowej polityki wschodniej XVIII i XIX wieku, mimo niepowodzeń, zamkniętych klęską styczniowego powstania, nie pozostało martwe. Nawiąże do niego Józef Piłsudski w 1918-1921 roku, choć i jemu nie udało się jeszcze uzyskać trwałego powodzenia.

Andrzej NOWAK

Głęboki cień

Jestem głębokim cieniem; przestańcie mnie męczyć.

Giordano Bruno do Trybunału Inkwizycji (przed wyrokiem).

Może odczuwaliście większy lęk ogłaszając wasz wyrok, niż ja czułem słuchając go.

Giordano Bruno do Trybunału Inkwizycji (po wyroku).

Urodził się w małym mieście Nola w pobliżu Neapolu, toteż jego nazwisko zastępowano często przydomkiem Nolano, Nolańczyk. Urodził się w roku 1548 jako syn żołnierza najemnego i wieśniaczki. Według tradycji tytuł do wiekopomnej sławy zdobyła najpierw Nola dzięki wynalazkowi dzwonów przez miejscowego biskupa Paolino (kanonizowanego po śmierci) na przełomie IV i V wieku. W przeszło dziesięć stuleci później umocniła jeszcze tę sławę, gdy w jej murach przyszedł na świat Filippo Bruno; który, zmieniwszy imię Filippo na Giordano w chwili wstąpienia do zakonu dominikanów w Neapolu, w roku 1600 wyzionął grzesznego ducha na stosie, z wyroku Trybunału Świętej Inkwizycji, na rzymskim *Campo de' Fiori*. Spłonął przy żałobnych dźwiękach dzwonów w okolicznych kościołach. W ten sposób Nola połączyła oba swoje tytuły do sławy: wynalazca dzwonów w aureoli świętości uleciał ku rajskim błogościom, apostatę i heretyka strącono przy wtórze dzwonów na wieczne męki piekielne (w które zresztą nie wierzył).

I

Aresztowano go w maju 1592 w Wenecji i zamknięto w więziennej celi *San Domenico di Castello*.

W aktach procesu opisany jest jako „niski i chudy człowieczek z rzadką brodą”. Jego najwybitniejszy biograf pisze: „Trudno orzec kim był naprawdę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ośmielił się zaprzeczyć, że wielkim filozofem i znakomitym pisarzem. Chodzi jednak nie tylko o jego bezsporne przymioty umysłu i równie bezsporne talenty. Kusi jego zagadkowa sylwetka ludzka. To agresywny, wybuchowy, pewny siebie gwałtownik i zuchwały ironista, to milczący samotnik, izolowany z własnej woli, drażliwy i gotów zawsze wycofać się na długo w krąg cienia. Osiem lat trwał jego proces. Sędziowie Trybunału Inkwizycji nie spieszyli się zbyt, przeciwnie — chcieli jakby złamać go torturą upływającego czasu, w nim zaś wyczerpywała się cierpliwość wystawiona na ciężką próbę. Gdy wychodził w celi ze swego cienia, sypał przekleństwami, obelgami i przechwałkami. Posiadał jakoby więcej kobiet niż Salomon, któremu Biblia przypisuje tysiąc. Znieważał bluźnierczo Chrystusa i Matkę Boską w sposób niemożliwy do powtórzenia. Lecz była to zewnętrzna kora ludzka — owoc wielu lat nędzy, upokorzeń, niepowodzeń, włóczęgostwa, ucieczek. W ostatniej fazie procesu potrafił wznieść się na szczyty swej wiedzy i filozoficznej przenikliwości”.

Kiedy przestąpił próg celi więziennej w majowy poranek 1592, miotał się i ciskał, bódł rękami ścianę, wypluwał setki skłębionych słów, w których najczęściej przewijało się nazwisko weneckiego patrycjusza Mocenigo. Nie zauważył nawet, że nie jest w celi sam. Na drugim barłogu leżał mnich w habitie kapucyna, błądy z pałającymi oczami, wsłuchany chciwie w potok tryskający z ust nowego więźnia. Dopiero o zmierzchu, po posiłku, Giordano Bruno stanął przed nim, utopił ostre spojrzenie w jego twarzy i podniósł bezwiednie rękę. „Jestem brat Celestyn z Werony, nie bij mnie, nie warto, i tak nie uniknę wkrótce śmierci”. Bruno opuścił rękę, ale w oczach wlepionych wciąż w Celestyna wyklął się i ogromniał strach. Do więzienia wtrącono go z donosu weneckiego patrycjusza, wiedział jednak dobrze, że Inkwizycja trzyma się zasady „jeden świadek to żaden świadek”. Celestyn mógłby być, obok Mocenigo, drugim świadkiem. I był. Proces wkroczył od razu na właściwą (dla Trybunału Inkwizycji)

zycji) drogę. Bruno nie umiał opanować swej wyzywającej elokwencji do końca pobytu w weneckiej celi z Celestynem z Werony. A Celestyn, przeniesiony po kilku miesiącach do Rzymu, zaczął od donosu najpierw na swojego towarzysza celi, potem zaś na siebie. Jego donos na siebie był formą samobójstwa, dokonanego w przystępie obłędu. Obciążał się tak strasznie w ponawianych bezustannie spowiedziach („Chrystus Nasz Pan nie zbawił rodzaju ludzkiego”, odnotowano w jednej z nich), że papież Klemens VIII kazał, nie zwlekając dłużej, oddać go w ręce władzy świeckiej, by pieczęć śmierci zatkała mu usta na zawsze. Władza świecka, nie wiadomo dlaczego, zwlekała jednak aż sześć lat. We wrześniu 1599 przywiązano go nocą do słupa w środku stosu na *Campo de' Fiori*; i natychmiast stos podpalono. Nocą, gdyż ambasador francuski w swoim pałacu na tym właśnie placu chciał się grubymi kotarami w oknach odgradzić od „ponurego widowiska”. Bruno poszedł w ślady Celestyna z Werony w lutym 1600.

Wybiegamy zanadto do przodu.

II

Panuje przekonanie, że tuż przed śmiercią całe życie przesuwają się przed oczami konającego z zawrotną szybkością. Czy to przekonanie jest uzasadnione, trudno powiedzieć. Z absolutną natomiast pewnością, poświadczoną wieloma przykładami, wolno wskazać nieodparty ewokacyjny impuls więzienia. Po pierwszym wstrząsie utraty wolności nadchodzi prędzej czy później moment powolnego zanurzania się w przeszłości. Każdy niemal więzień milknie nagle, przestaje mówić do współwięźniów lub do samego siebie (jeśli prócz niego nie ma w celi nikogo), odrywa się od terażniejszości i z głową przytkniętą mocno do wezłowania barłogu, z zamkniętymi oczami, zmusza pamięć do rozbudzania i ożywiania obrazów minionego czasu. U niektórych więźniów ten okres staje się źródłem nadziei, że smak wolności doświadczany we wspomnieniach przybliży jej rychły powrót. Więźniów należy podzielić na dwie kategorie: tych, którzy wspominają chaotycznie, skacząc od wypadku do wypadku z pominięciem, a nawet celowym zburzeniem, ich kolejności; i tych, którzy od pewnego wybranego punktu swego życia odtwarzają po porządku jego bieg, jakby w myślach pisali autobiografię. Gior-

dano Bruno, mistrz i nauczyciel mnemotechniki, należał do drugiej kategorii.

Punktem startu w zwojach pamięci było dla niego wstąpienie do zakonu dominikanów. Nie czuł powołania, zakon był dla niego, syna ubogich rodziców, jedyną szansą przecięnięcia się na upragnione studia. Miał do nich pociąg od lat chłopięcych, już wtedy namiętny choć bezładny czytelnik. U progu nowicjatu pokazano mu na Placu Świętego Dominika zewnętrzny balkon klasztorny, miejsce kazań i nauk Tomasza z Akwinu. Z całą młodzieńczą zapalczywością i gorliwością wpatrywał się w ten balkon często jak urzeczony. Był przedmiotem jego tęsknot i aspiracji.

W roku 1572 wyświęcono go na księdza, w trzy lata później został doktorem teologii. I zaraz, ledwie dyplom doktorancki napełnił go pewnością siebie (lecz nie pychą), wytoczono mu na podstawie paru wystąpień publicznych proces o herezję. Zbiegł do Rzymu, gdzie (przyrodzony upór?) dał się wplątać w drugi proces o herezję i, co gorsze, w podejrzenia o udział w zabójstwie współbrata zakonnego. Nie dowiedziano mu nigdy winy. Musiał jednak salwować się ucieczką także z Rzymu. Odtąd wszedł na ciernisty szlak podejrzewanego i ściganego włóczęgi. Zrzucił habit zakonny, przez jakiś czas krążył, zmieniając ciągle miasta, po północnych Włoszech: Turyn, Padwa, Brescia, Bergamo, Mediolan. Wymykał się zręcznie ścigającym, nie mógł jednak nie rozumieć, że nie zdoła utrzymać się długo w ojczyźnie. Z jakąż goryczą i wściekłością przemknął się do Genewy! We wspomnieniach nawet, po latach, chwycił go za gardło skurcz, jakby niewidzialna ręka chciała go udusić przed zejściem z gór ku zarysowanym na widnokręgu konturom królestwa Kalwina. Nie, nie! Nie był jeszcze wyrodnym synem macierzystego Kościoła!

Kto wie, może właśnie ten gniew zaszczutego, łącznie z porywczością charakteru, skłonił go w Genewie do porzucenia katolicyzmu i przejścia na kalwinizm. Miodowy miesiąc (tak go nazywał) zamknęła gwałtownie ostra polemika z czołowym teologiem kalwińskim. Skazany naprędce, musiał dalek uciekać. Zatrzymał się w Tuluzie, zdążył tam napisać i obronić doktorat z filozofii o *De anima* Arystotelesa, dano mu katedrę, niebawem jednak jego krytyczny stosunek do filozofii Arystotelesa wzburzył słuchaczy. Powiedział sobie: będę bezpieczniejszy w Paryżu. Istotnie w Paryżu zagrzał miejsca dłużej. Zdobył względy ambasadora De Castelnau i samego Henryka III, któremu zadedykował rozprawę mnemoniczną (czy

mnemotechniczną) *De umbris idearum*, *O cieniach idei*. De Castelnau, mianowany ambasadorem na dworze Elżbiety, zabrał go ze sobą do Londynu. Dwuletni pobyt w Anglii (1583-1585) był bez wątpienia najszcześniejszy i najbardziej twórczy w jego życiu. W kulturalnym środowisku londyńskim, żywo wtedy zainteresowanym włoskim Renesansem, noszono go na rękach. Ogłosił w Londynie wszystkie swoje włoskie dialogi, przez jakiś czas wykladał w Oxfordzie. Potknął się na *Cena delle Ceneri*, *Wieczery Popielcowej*, zwłaszcza na satyrycznych partiach o społeczeństwie angielskim i na wypadach przeciw tradycyjnej filozofii. Wrócił do Francji. Drugi pobyt w Paryżu skończył się katastrofą po dyskusji publicznej z francuskimi admiratorami Arystotelesa. Ktoś przyjazny doradził mu Niemcy. Łańcuch książęcych dworów i uniwersytetów: Moguncja, Marburg, Wittenberg, Praga, Helmstadt (nawrócenie na luteranizm i szybkie wyrzeczenie się nowego wyznania), Frankfurt. Na każdym postoju oddawał się z lubością „fornikacji”, która w jego oczach nie była grzechem; widział w niej Boże dzieło.

Ogarnęła go nostalgia, był zmęczony, coraz dotkliwsza stawała się potrzeba odpoczynku, zawinięcia do spokojnej przystani. Patrycjusz wenecki, bardzo majątny Giovanni Mocenigo, początkujący i gorliwy adept magii i mnemotechniki (a w obu dziedzinach Giordano Bruno cieszył się zasłużoną sławą) zaprosił go do siebie. Jakież był szalony, przyjmując to zaproszenie! Wypocząwszy trochę, więcej uwagi poświęcał swoim planom rychłego wyjazdu z Wenecji, niż obiecany naukom. Mocenigo, nie zdradzając się z tym, poprzysiągł zemstę. To on, swoim donosem do weneckiego Trybunału Inkwizycji, otworzył heretykowi i apostacie ośmiolatnią drogę na *Campo de' Fiori*.

III

Oba donosy, weneckiego patrycjusza Mocenigo i Celestyna z Werony, były jednobrzmiące w trzech punktach, rzecz dla Trybunału Inkwizycji istotna z uwagi na ową niepodważalną zasadę co najmniej dwóch świadków. Heretyk i apostata, zatem, twierdził (po pierwsze), że Chrystus nie został ukrzyżowany, lecz powieszony na szubienicy ociosanej z rozwidlonych gałęzi drzewa; że (po drugie) istnieje wiele światów, wszystkie gwiazdy są wiecznymi światami, mówić zaś o istnieniu tylko naszego świata jest dowodem ignorancji;

że (po trzecie) po śmierci ciał dusze rozpoczynają wędrówkę od świata do świata, od martwego ciała do innego żywego.

Trzy powtórzone w obu donosach oskarżenia stanowiły jedynie uprawomocnienie wszczęcia procesu, pozwalając na wysunięcie dalszych oskarżeń. *Sommario* Trybunału zamienił się w długą listę heretyckich opinii. Chrystus zgrzeszył prośbą do Boga o uchylenie kielicha gorzkości — jego boska rzekomo natura winna była kłócić się z taką prośbą; brak podstaw do wiary w piekło; nie jest pewna wyższość Abła nad Kainem; Mojżesz był wyłącznie magiem, wielkim czarownikiem; wolno powątpiewać w dar proroctwa; wolno także powątpiewać w dogmaty Kościoła; kult Świętych jest błędem; brewiarz zasługuje na lekceważenie. Dwie ostatnie pozycje w *Sommario* zarzuciły apostacie skłonność do bluźnierstwa i niecne zamiary wobec macierzystego klasztoru, jeśli zostanie zmuszony do powrotu w jego mury.

Sommario jest swego rodzaju majstersztykiem jako owoc redukcjonizmu we wstępnej fazie dochodzeń Trybunału Inkwizycji w Wenecji. Najlepszym tego dowodem jest wzmianka o możliwości powrotu do macierzystego klasztoru, czyli przebaczenia po akcie przyznania się do grzechów i głębokiej skruchy. Toteż na przesłuchaniach weneckich Giordano Bruno stosował taktykę bicia się w piersi, kiedy nie było lepszego wyjścia; lub ostrożnego i zręcznego kwestionowania oskarżeń nie nazbyt ciężkich i groźnych.

Prawdą jest, że rozpamiętywanie przeszłości na barłogu w więziennej celi przenikało całą jego istotę rosnącym wciąż pragnieniem wolności; tak gwałtownym i dojmującym, że niekiedy obijał się między ścianami jak ślepiec szukający szczeliny w murze. Często również leżał godzinami ze wzrokiem utkwionym w wystających kamieniach pułapu, pogrążony (zdawało się) w śnie kataleptycznym. Wyjść stąd, uciec, za każdą cenę! Włóczęgostwo stało się jego drugą naturą, czy dopiero teraz odczuwał smak swoich wędrówek, swoich ucieczek przed pościgiem, szerokiego oddechu w piersiach, prężności ciała i jasności myśli? Teraz, gdy ciało w więzieniu wiotczało z dnia na dzień, a jasność myśli zamacała się stopniowo (szczęśliwie nie na tyle, by zatracił umiejętność stawiania czoła inkwizytorom weneckim)? W przystępach rozpaczy wpatrywał się w okienko, niewielkie i zakratowane, tuż pod linią sklepienia. W dzień widział tylko czysty bądź brudny skrawek nieba. Ale nocą, w okresach pogody, czuł ulgę na widok migotania gwiazd, które uważał przecież za nieskończone, wieczne światy.

Później, gdy rzymski Trybunał Inkwizycji zażądał jego ekstradycji, Bruno wspominał weneckie stadium procesu jak wakacje. Stał w Rzymie przed sędziami, którzy znali bez porównania lepiej od swych weneckich kolegów sztukę dochodzeń i przesłuchań; których długie doświadczenie i biegłość inkwizytorska były wyzwaniem dla doktora teologii i filozofii. Większy nacisk wywołał sprawniejszą reakcję. Niby wywabiony z jamy i podrażniony drapieżnik, Bruno sprężył się ciągle do skoku i walki.

IV

W procesie rzymskim uderzała logika, zarówno dochodzeń jak przesłuchań i oskarżeń. Co w Wenecji wydawało się dreptaniem po omacku, z półprzewiązanymi oczami i wyciągniętymi rękami, dając obwinionemu częste okazje do uników i manewrów taktycznych, w Rzymie zmusiło obie strony do możliwie jasnego samookreślenia w długotrwałej, powolnej rozgrywce pozycyjnej. Trybunał przede wszystkim zadbał o postawienie kropek nad i. Jeśli Bruno wątpił o boskiej naturze Chrystusa, syna Bożego, jeśli widział w nim jedynie najpiękniejszego i najczystszeo człowieka w całych — przeszłych, obecnych i przyszłych — dziejach rodzaju ludzkiego; jeśli nie wierzył w Niepokalane Poczęcie; jeśli wreszcie zastępował Ducha Świętego pojęciem Duszy Świata, *Anima Mundi*, w której żyją jako nieodłączne cząstki nasze indywidualne dusze — to nie mógł przecieź akceptować dogmatu Trójcy Świętej. I tak było w istocie. Lecz broniąc swoich poglądów, zapewniał że jego filozofia, widziana w swojej najgłębszej realności, znajduje się w harmonii doskonałej z religią; i że nie zawiera żadnych składników herezji. Giordano Bruno i Trybunał Inkwizycji robili wrażenie siłujących się rękami wpartymi łokciami w stół. W zmaganiu splecionych dłoni to jedna to druga strona naginała rękę przeciwnika, lub odginała się pod jej presją.

Herezja! Żadna herezja, ja wierzę po prostu inaczej w Boga, moja wiara jest nie mniejsza od wiary członków Trybunału. A kto twierdzi, że Msza Święta jest zbytuczna? Kto kapłanów nazywa osłami? Ja, ale moja religia obywa się bez mszy i księży. A jakaż to „moja religia”? Religia nieskończoności tego świata i wszystkich gwiezdnych światów. Nieskończoności i wieczności. Kto więc stworzył świat? Biblia mówi że Bóg, ale świat jest równie wieczny jak Bóg. Po czym

następował wykład kopernikański, gdyż Bruno był zwolennikiem teorii kanonika z Torunia.

W celi, po każdym przesłuchaniu, oskarżony uprzytamniał sobie swoje nieustanne twarwienie, tak różne od wybiegów lub bicia się w piersi z okresu weneckiego, gdy żył jedną tylko myślą o jak najszybszym wyfrunięciu z więziennej klatki. Teraz, podświadomie najpierw, a później z rosnącą z dnia na dzień świadomością, zdawał sobie sprawę, że nigdy już nie wyrwie się żywy ze szponów Inkwizycji, *non uscirò mai più dalle grinfie dell'Inquisizione*. I ta pewność sprawiała, że stawał się coraz twardszy i z coraz większą, chłodną determinacją, porządkował swoje rozbiegane dawniej myśli. Spłonie na stosie moje ciało (powtarzał sobie), nie spłonie mój głęboki cień. Pamiętał kiedy i jak narodziło mu się w głowie to zdanie: po pierwszym przesłuchaniu w obecności kardynała Bellarmino, który swym uczestnictwem i przewodnictwem nadał Trybunałowi Inkwizycji wyjątkowy splendor i szczególną wagę.

V

W szkicu o kalwinizmie neapolitańskim, księciu Galeazzo Caracciolo, który porzuciwszy wiarę katolicką porzucił również rodzinę i z Neapolu przeprowił się do Genewy, Benedetto Croce pisze: „Galeazzo Caracciolo i Giordano Bruno, dwaj Neapolitańczycy, spotkali się w Genewie; pierwszy wymknął się Świętemu Oficjum, uniknął lochów więziennych i stosu, drugi zaś po wielu wędrówkach wrócił do Włoch jak urzeczony, zafascynowany nieuchronnym swym końcem na stosie”.

Niewątpliwie tak było, słowa „urzeczony, zafascynowany” nie są przywołane przez historyka i filozofa na darmo, dla efektu. Kto śledzi życie Nolańczyka (też w jakiś sposób urzeczony i zafascynowany), musi to w końcu dostrzec. W tym tkwi dramatyczność i (do jakiegoś przynajmniej stopnia) zagadkowość losów Głębokiego Cienia. W więzieniu weneckim marzył tylko o wolności. Nie przestał o niej dalej marzyć w więzieniu rzymskim, ale towarzyszyło temu uczuciu „twarwienie” (jak je nazwałem), impuls i potrzeba pojedynku z Świętą Inkwizycją. Niby to ustępował, był bliski wyparcia się herezji i odwołania błędów, aby zaraz potem wypierać się wyparcia, odwoływać odwołane. Gdzieś głęboko szamotała się i dawała o sobie znać pewność własnej słuszności

i nienawiść do Trybunału. Więcej, przekonanie że posiada misję do spełnienia, że Bóg kazał mu tę misję spełnić, choćby nawet miał ją przyplacić życiem.

Pojawienie się kardynała Bellarmino u steru Trybunału zabarwiło jego doznania nowym kolorem. Przede wszystkim osłabła gwałtownie dawna nienawiść do sędziów. Nie znikła całkowicie, lecz osłabła na tyle, że patrzył z zaufaniem i respektem w oczy sławnemu kardynałowi. Nie chodziło o autorytet kardynalskiej purpury, ostatecznie na posiedzenia Trybunału przychodził czasem sam papież Klemens VIII, dla którego „apostata i heretyk Giordano Bruno” stał się wręcz obsesyjnym „chwastem trującym w cudownym ogrodzie Kościoła”. W oczach kardynała Bruno zobaczył ledwie uchwytny ognik sympatii i zrozumienia.

Roberto Bellarmino miał usposobienie pogodne, życzliwe wobec ludzi, i w swoim ascetycznym życiu folgował jednej tylko szlachetnej namiętności: opiece nad ubogimi. Sam umarł w tak skrajnym ubóstwie (cały swój dobytek zapisał biednym), że wyprawiono mu pogrzeb nie licujący z jego wysokim urzędem. Kościół, ceniąc bardzo jego umiejętności, rozległą wiedzę i świątobliwe życie, wyniósł go na ołtarze dopiero w naszym stuleciu, w roku 1930.

Jako teolog, „bicz na heretyków” i strażnik świeckiej władzy Kościoła łączył surowość z wyrozumiałością. Jego polemika z wrogami świeckiej władzy Kościoła nie zadowoliła w pełni papieża Sykstusa V, intronizowanego po zgonie Klemensa VIII. Jego stosunki z Galileuszem były serdeczne, nacechowane zainteresowaniem a nawet admiracją, czyli nie zapowiadały w niczym przyszłego wyroku skazującego Trybunału Inkwizycji (którego nie wykonano z racji „odwołania” skazańca). Teorie Kopernika radził traktować jako hipotezy, które przyszłość winna sprawdzić i naukowo potwierdzić.

Bruno mógł zatem liczyć na dysputę na najwyższym poziomie, w której dostojny adwersarz przemieni się, nie zważając na okoliczności i na pozostałych członków Trybunału, bardziej w rozmówcę spierającego się z podsądnym jak równy z równym, niż w inkwizytorskiego tropiciela herezji.

Nie pomylił się zanadto, ale nie był to już Bruno „wenecki”, zajęty wybiegami taktycznymi, wpatrzony głównie w rozszerzającą się szparę w drzwiach więziennych. Bellarmino proponował mu podział: z filozofem gotów był dyskutować jak równy z równym; heretyka i apostatę spodziewał się przycisnąć do muru, zmusić do odwołania błędnych i grzesznych poglądów i ocalić od stosu względnie łagodnym wy-

rokiem więziennym. Gdybyż działo się to w Wenecji, wkrótce po aresztowaniu! Kto wie, Bruno ucałowałby nawet, z łzami wdzięczności w oczach, pierścień kardynała i Wielkiego Inkwizytora. Uplynęło już jednak tyle czasu, tak głębokie korzenie zapuściła w sercu Nolańczyka nieufność, tak zwątpił w możliwość ocalenia. I — co może najważniejsze — taką dumą, jeśli nie pychą, przeniknęła go perspektywa zmierzania się — ostrze na ostrze, pogardzając niebezpieczeństwem śmierci — z godnym tego przeciwnikiem.

VI

Jaki był świat w rozmyślaniach i wizjach heretyka z zakonu dominikanów? Nieskończony i wieczny tak samo jak Bóg (który więc, słyszeliśmy już o tym, nie mógł go stworzyć). W ruchu, zgodnie z twierdzeniami (a nie hipotezami) uczonego kanonika toruńskiego. Otoczony wiecznymi i nieskończonymi światami gwiazdnymi. A gasnące gwiazdy czyż nie są dowodem nietrwałości materii w owej strukturze? Nie. Rodząc się, umierając i zmartwychwstając, gwiazdne światy — zapewniał Bruno — są przelotnymi tworamii niezmiennej substancji kosmicznej. Niezmiennej i wiecznej. Kosmogonia Nolańczyka opierała się z niewzruszoną mocą na trzech podstawach — nieskończoności, wieczności, niezmienności. Wszystkie trzy składały się łącznie na duszę świata, *anima mundi*, zaś jej wyrazem i hipostazą był Bóg. Nie Bóg Ojciec i nie Syn Boży, lecz Bóg bezosobowy, który substancję kosmiczną ożywił i duszę świata rozdrabniał na dusze indywidualne; i to one w ciągłych wędrówkach i krążeniu opuszczały umarłych by zamieszkać w żywych, niekoniecznie w ludziach, także w zwierzętach. Choć Bóg nie stworzył świata, napełnił go esencją, tchnieniem bytu, nas ludzi zamieniając w głębokie cienie duszy świata. *Umbra profunda sumus*.

Czy Giordano Bruno pamiętał tercynę Dantego z XIX pieśni *Raju*? Czy była bez ustanku, jak podziemne źródło, w jego myślach i wyobraźni?

*Lume non è, se non viene dal sereno,
Che non si turba mai; anzi è tenebra,
Od ombra della carne, o suo veleno.*

„Nie jest światłem, gdy nie rodzi go pogoda, / nigdy nie

zamącona; przeciwnie jest ciemnością, / albo cieniem ciała, albo jego trucizną”.

Albo cieniem ciała, albo jego trucizną... Wiedział, że rzadko świeci światło, owoc nie zamąconej pogody. A w ciemnościach trzeba wybierać: albo cień, głęboki cień, albo zatruta krew w żyłach, przyspieszony krok ku śmierci.

VII

Bellarmino przyglądał mu się spod oka. Bruno miał prawo, aż do wyroku, nosić swój, połatany habit dominikański z kapturem. Sala przesłuchań i procesu, w czteropiętrowym pałacu należącym do Stolicy Apostolskiej, była przestronna i jasna, jedno jej duże okno wychodziło na *Piazza Navona*, drugie znacznie mniejsze i narożne sączyło mrok zaułka. Długi stół Trybunału ustawiono na skos w widnym kącie sali, za plecami członków Trybunału stały oparte o obie ściany narzędzia „presji fizycznej”, jak nazywano instrumenty tortury. Z niekompletnych protokołów przesłuchań i procesu nie można wyrobić sobie absolutnej pewności, czy Bruno był niekiedy poddawany „presji fizycznej”. Jeżeli tak, to chyba bardzo rzadko, skoro członkowie Trybunału nie mieli powodu skarżyć się zanadto na spętanie jego języka.

Z dużego okna wpływała do sali szeroka fala światła, nawet gdy Plac chłostały rzymskie ulewy. A w pogodne dni było w niej po prostu bardzo ciepło, czasem wręcz gorąco. Bruno jednak, z uporem który drażnił początkowo kardynała, odmawiał obsunięcia na kark swojego kaptura. Aż w końcu Bellarmino nie tylko pogodził się z zakapturzonym oskarżonym, lecz zaczął pojmować jego upór. Ruchliwa jak żywe srebro twarz apostaty pozostawała ciągle w cieniu, nawiązując jak gdyby do jego obrazu człowieka-głębokiego cienia. I Bellarmino w duchu przyznawał, że z każdym dniem silnie, mimo oporów, ulegał sugestyjności tego obrazu. Może rzeczywiście w głębokim cieniu, zgodnie z obsesyjną repetycją Nolańczyka, krył się jedyny ludzki refleks boskiej, wiekuistej światłości? Kto wie, czy nie tak należało patrzeć na heretyka, jako na filozofa-poetę. Supozycja była kardynałowi na rękę: od pierwszej chwili, nie wypierając się przed sobą samym że Bruno budzi w nim pewną sympatię, zamierzał licencję filozoficzną i poetycką oddzielić od herezji religijnej, i przywieść stopniowo podsądnego do *atto di abiura* poprzez jego dobrowolną rezygnację z wkraczania na teren dogmatyki kato-

lickiej. Bogiem a prawdą, ideałem Inkwizytora było ukarać oskarżonego za postępkę zaiste karygodne podczas jego europejskich peregrynacji, potem zaś, po kilku latach ciemnicy, odesłać go do zakonu w Neapolu z rekomendacją pobłażania w klasztorze wobec jego filozoficzno-poetyckich inklinacji. W epoce inkwizytorskiej surowości i bezwzględności trudno było o większą wspaniałomyślność.

W marcu 1598 nastąpiła przewlekła, ośmiomiesięczna przerwa w pracy Trybunału Inkwizycji. Dwa miesiące wcześniej Klemens VIII odzyskał Ferrarę na mocy układu w Faenzy. Świętowano w Rzymie ten sukces, obchodzono radośnie i hałaśliwie triumf papieski, w powietrzu rozparła się atmosfera karnawałowa. 13 kwietnia Klemens VIII wyruszył do Ferrary z wielkim orszakiem, w którym nie brakowało kardynała Bellarmino i innych członków Trybunału. A ponieważ nierzadko przewodniczył procesowi, wstrzymano z konieczności jego bieg. Bruno otrzymał papier do pisania, zobowiązując się do utrwalenia czarno na białym swojej obrony. Oraz brewiarz zakonu dominikańskiego.

Klemens VIII wrócił do Rzymu w grudniu i zarządził wznowienie procesu. Ale ledwie Bellarmino wydał odpowiednie polecenia, gwałtowne i nieustanne deszcze spowodowały wylew Tybru i powódź, jakiej od dawna już nie pamiętano. Ulicami płynęła rwąca woda jak w górskich potokach, na placach potworzyły się jeziora. Rzymskie powodzie oznaczają masową ucieczkę szczurów z lochów i piwnic. Widywano je w ulicznych potokach i jeziorach placów. Część pozostała jednak pod ziemią. Zły to był czas, okrutny i desperacki, dla więźniów w piwnicznych celach. Mogę sobie wyobrazić, że Bruno spędzał dni i noce przywarty do muru, w torturze bezsenności. Jego okresowe „twardnienie”, przetykane paузami odprężenia dzięki dialogom z kardynałem, zamieniało się dzień po dniu w niepohamowany gniew. Czuł wzburzoną nienawiść do Trybunału Inkwizycji i — co gorsze — jak źle zablźnione rany odżyło naraz wszystko, co stanowiło przedmiot oskarżeń o herezję i apostazję. I to odżyło ze zdwojoną siłą. Gdy stał pod ścianą po kostki w wodzie, gdy co jakiś czas kopniakami przepędzał podpływające do jego nóg szczury, gdy wzrokiem zaczął się rozpaczliwie o widoczny w okienku gzyms kościoła, bluźgał przekleństwami i bluźnierstwami, jak gdyby odtajało w nim zamrożone, zdawało się, wspomnienie europejskiego włóczęgowania. To drżało mu z zimna w palcach pióro, to ścisnął je mocno niby sztylet, nie raz dziurawiąc papier, podczas pisania swojej obrony. Ani Bellar-

mino, ani sędziowie Trybunału nie pomylili się widząc, że w trzy dni przed wilią Bożego Narodzenia stanął przed nimi w milczeniu inny Bruno.

Nie przypadkowo wybrano tę datę z woli kardynała. Spodziewał się wciąż że usłyszy *atto di abiura*, odsuwał widmo stosu, wierzył w ocalenie Nolańczyka, właściwie (choć się do tego przed sobą nie przyznawał) pragnął go. I miał nadzieję, że nadchodzące Boże Narodzenie, którego odgłosy i prawie zapach dochodziły przez uchylone okno z pogodnego, słonecznego Rzymu po powodzi, zmiękczy serce heretyka. Inny Bruno, o zaciętej twarzy w ciemnej oprawie kaptura, podciął tę nadzieję prawie natychmiast, po godzinie przesłuchań.

Sommario aktu oskarżenia, które początkowo składało się z kilkunastu punktów, zredukowano w końcowej fazie procesu do trzech wyraźnych „ogniwi”. Pierwsze zawierało przewinienia mniejszej wagi, jakkolwiek poważne w oczach bardziej rygorystycznych inkwizytorów (nie należał do nich Bellarmino, ale cieszyli się względami Klemensa VIII). A więc libertynizm oskarżonego, brak respektu wobec Kościoła, naruszenia dyscypliny, zamiary „wywrotowe” w latach pobytu w klasztorze (planował nawet jego podpalenie), inwektywy przeciw dostojnikom kościelnym i braciom zakonnym (których nazywał „osłami”), ogólna niechęć do wszelkiego dogmatyzmu, drwiący stosunek do Świętych, do relikwii i do obrazów czczonych przez lud Boży, ostra krytyka brewiarza, uleganie słabościom ciała, pociąg do przekleństw i przesądów. Zarzuty nie pozbawione co prawda implikacji dogmatycznych, lecz w Świętym Oficjum traktowane jako *suspicio* herezji, a nie herezja fundamentalna, i podlegające karze stosunkowo łagodnej, zwłaszcza jeśli obwiniony ze skrucą zapewnia o nieobecności heretyckiej *intentio*, a sędziowie Trybunału dają jego zapewnieniom wiarę. To „ogniwo” Bruno miał już za sobą, nie bez walnej pomocy kardynała.

Kluczowe było drugie „ogniwo”, ściśle teologiczne, i tu mógł od stosu uratować heretyka tylko pełny *atto di abiura*, nie pozostawiający najmniejszych wątpliwości, półcieni w wysłowieniu i zawieszę głosu. Wierzył w dogmat Trójcy Przenajświętszej? Aby weń naprawdę wierzyć, musiał odżegnać się od *anima mundi* na rzecz Ducha Świętego, musiał odrzucić nadmiernie człowieczą naturę Chrystusa, którego uważał przecież (podobnie jak Mojżesza) za czarownika i dodatkowo grzesznika na chwilę przed skonaniem na krzyżu, musiał wreszcie skłonić głowę przed transsubstancjacją i dziewictwem

Marii oraz jej Niepokalanym Poczęciem. Bez aktu całkowitego wyparcia się apostazji i ugięcia się przed Trybunałem, Bruno uchodziłby (zdaniem współczesnego historyka) za zwolennika Kościoła o strukturach analogicznych do rzymskiego, o rytuale godnym podziwu i nietkniętym układzie hierarchicznym, lecz równocześnie Kościoła uwolnionego od całości nauczania dogmatycznego; innymi słowy (konkluduje historyk) uchodziłby za rojącego o katolicyzmie wyzutym z chrześcijaństwa.

Do trzeciego ogniwa włączono spekulacje i doktryny filozoficzno-naukowe Nolańczyka, przez niego samego podawane za prawdy naturalne i racjonalne, przez Trybunał za twierdzenia wkraczające jaskrawo w zakres ustalonych prawd wiary. Chodziło o wszechświat nieskończony i wieczny, o ruch obrotowy ziemi, o wędrówki dusz, z dodatkiem negacji stałego istnienia Piekła. *Anima mundi*, w metafizyce „filozofii nolańskiej”, wyznaczała indywidualnej duszy ludzkiej rolę „sternika okrętu”. Dla większości członków Trybunału w trzecim „ogniwi” herezja panoszyła się bez ograniczeń i umiaru, Bellarmino liczył na rozbrojenie lub co najmniej złagodzenie tego „ogniwa” przeciwstawieniem zwykłych „hipotez” twierdzeniom wymagającym naukowej weryfikacji. Liczył zatem, że Bruno zostanie tu jedynie „ostrzeżony”, z zaleceniem (nawet surowym) większej powściągliwości. Dym stosu unosił się nad drugim „ogniwem”.

VIII

Zapewne, przedświąteczne głosy, okrzyki, śpiewy, dochodzące z Placu do podziemnej celi, działały do pewnego stopnia tak, jak przewidywał kardynał. Bruno leżał na barłogu i daremnie zatykał uszy. Im mocniej je zatykał, im konwulsyjniej zaciskał rozbolełe od półmroku oczy, tym bezbronijszy czuł się wobec wspomnień, które wsączały się do jego samotni, niczym strużki wody w niedawnych dniach powodzi. Nie ma, być może, ewokacji żywszej i bardziej dotykanej od wspomnień dzieciństwa. Pod powiekami odżywał chłopczyk, odświętnie ubrany, prowadzony za rączki przez rodziców do katedry. Wraz z nim odżywała Nola, jasna od światła jak nigdy w ciągu roku. Płakał ze szczęścia? Matka pochylała się nad nim i całowała go w mokre policzki? Ach, wyjść stąd, wyjść za wszelką cenę, odetchnąć zimowym powietrzem na rozjarzonym Placu!

Nie dłużej niż godzinę wypełniało go to uczucie, kiedy kazano mu sięść na wąskim zydłu przed podium Trybunału. Był wtedy gotów na wiele, zachęcany do odpowiedzi przez uśmiechniętego niedostrzegalnie kardynała. Potem z pokornego oskarżonego wynurzył się groźnie ów inny Bruno.

Nie, nie ustąpi w niczym, niczego nie odwoła, niczego się nie zaprze! Powtarzając to powielekroć na stojąco z nieznaną dotąd sędziom zawziętością, zgrubiałym naraz głosem, położył prawą dłoń na sercu gestem przysięgi czy ślubowania, wydłużył jakby i poszerzył swą niską i chudą figurę, przybrał groźny doprawdy wygląd. Lęki, pragnienia, ustawiczne wahania stopiły się w jedno: w euforię wewnętrznej suwerenności duchowej, choćby mylił się i błędził, w dziwne i radosne uniesienie wierności własnym ideom i wyobrażeniom. To jest wolność, tu posiadam ją bardziej niż gdyby mi przebaczone, gdyby wypchnięto mnie z błogosławieństwem za próg więzienia. Tak myślał, tak szeptał do siebie w myślach tonem modlitwy. I przeplatał te słowa zdaniem: Jestem głębokim cieniem. Rozumiał teraz o ileż lepiej co ono znaczy. Każdy człowiek jest głębokim cieniem, ma w życiu jedną tylko krótką chwilę wejścia w krąg światła. Nadeszła wreszcie jego chwila; i przeciągnie się aż do męczeńskiej śmierci.

Bellarmino, jak na dany znak, odmienił wzrok: dotąd życzliwy, stał się zimny, przeszywający, pogardliwy. Nachylił się do swego sąsiada i szepnął mu coś na ucho, ten zaś wstał i kazał strażnikom odprowadzić więźnia do celi. Postępowanie przeciw zatwardziałemu heretykowi, *reo confesso indurito*, wyznaczono na dzień 8 lutego. Trybunał zbierze się po raz ostatni.

Zebrał się istotnie po raz ostatni pod przewodnictwem Klemensa VIII. Oskarżonemu zadano jedynie pytanie, czy potwierdza swoją haniebną deklarację z 22 grudnia. Odparł dzwięcznym głosem: „Tak, lecz dla mnie nie jest haniebna”. Papież, lekko pobladły, uderzył prawą dłonią w stół i wykrzyknął: „*Basta, in ginocchio!* Rytuał Trybunału Świętej Inkwizycji wymagał, aby oskarżony duchowny ukląkł z pochyloną głową w trakcie czytania wyroku; i aby nie ośmielił się podnieść z kolan, nawet gdyby lektura trwała długo. Giordano Bruno padł na kolana, opuścił na piersi zakapturzoną głowę, nie złożył jednak pobożnie dłoni, jak zalecał (ale nie nakazywał) rytuał. Wyrok odczytany przez kardynała był najkrótszy chyba ze wszystkich ogłoszonych przez trybunały inkwizycji. *Colpevole dell'eresia grave, condannato al rogo*. Winny ciężkiej herezji, skazany na stos.

IX

Wyrokowi towarzyszyła stała formuła: *Si consegna il condannato al braccio secolare*, przekazuje się skazanego władzy świeckiej. Władza świecka, w postaci czterech uzbrojonych strażników, przeprowadziła go nazajutrz z lochów na Piazza Navona do więzienia dla skazańców na bulwarze nadtybrzańskim *Tor di Nona*. Prowadzili go szybko wąskimi uliczkami, krótką trasą na przelaj, dla uniknięcia zbiorowisk gapiów i gawiedzi.

Przeznaczenie na stos, usuwało obawy, że skazaniec spróbuje komunikować się ze światem zewnętrznym; i łądziło znacznie środki ostrożności. Bruno zawdzięczał temu celę na drugim piętrze z widokiem na Tybr. Przesiadawał godzinami przy zakratowanym oknie, spokojem przejmowała go płynąca wolno rzeka. Spokojem, lecz także rosnącą determinacją. Równomierny brzeg Tybru, wezbranego jeszcze po powodzi ponad zwykły poziom, zdawał się swoimi falami chłodzić i oczyszczać jego „nie” rzucone Klemensowi VIII i Trybunałowi.

Wieczorami zapalały się niktłe światełka na przystaniach, a na bulwarze pojawiały się, spiesząc w obie strony, ciemne postacie. Cienie raczej niż postacie, co działało kojąco na skazańca. Nie pragnął, jak to zwykle bywa u więźniów, zajrzeć im w twarz. Swoim cieniem za kratami, nieruchomym aż do późnej nocy, przyłączał się do idących, pilnując nawet w wyobraźni by kaptur osłaniał mu głowę.

17 lutego wczesnym ranem pudło na dwóch wielkich kołach, zaprzężone w dwa woły, stanęło przed więzieniem. Bruno, popychany przez dozorców (ale nie wleczony), został z zawiązanymi rękami ustawiony w pudle obok wiązki chruštu na podpałkę (stos z ułożonych odpowiednio bierwion był już na *Campo de'Fiori* gotów od zmierzchu poprzedniego dnia). Dość szeroki wózek, a zwłaszcza szeroka uprząż, zmuszały do rezygnacji z wąskich uliczek i do przejazdu tłumnymi już o tej porze ulicami, gdzie powstał zaraz orszak wygrażających pięściami, krzyczących, plujących w kierunku wiezionego skazańca. Ukrył głębiej jeszcze twarz w kapturze i przymknął oczy. On, w przeciwieństwie do pięknego lecz słabego człowieka Chrystusa, nie poprosi Boga o odsunięcie kielicha goryczy. A może jest nowym Chrystusem? Może zapoczątkuje nową wiarę?

Na *Campo de'Fiori* otaczały stos grupy ludzi nie skorych

do obelg, przeciwnie — rażonych nagłą niemotą. Mżył drobny deszcz. Bruno, rozebrany do naga, zziębnięty i drżący, wszedł sam między bierwiona; otwór wejściowy natychmiast zamknięto. Rozległy się dzwony żałobne. Chrust zapalił się szybko, ale bezskutecznie lizał płomieniami mokre drzewo. Nie usłyszano ani słowa skargi, długo widziano jego nieruchomą, osmaloną twarz. Wreszcie zajęły się bierwiona i niebawem poczęły się obsuwać, rozżarzone, na nękające ciało apostaty.

W tawernie na rogu ulicy prowadzącej na Plac Farnese pił kubek za kubkiem czerwone wino, jakby zależało mu by się jak najprędzej odurzyć, Caravaggio. Zamglonym wzrokiem, może oczami do których napływały łzy, mistrz światłocienia w malarstwie wpatrywał się w ogień pochłaniający resztki Głębokiego Cienia.

X

Od samego rana można na *Campo de'Fiori* patrzeć w dwojaki sposób. Wśród rozstawionych od świtu straganów, uginających się pod ciężarem wszelkiego jada, wśród piramid owoców, koszów z jarzynami, balii pełnych ryb, nabitych na haki połci mięsa, butli oliwy i wina, patronuje Kwietnemu Polu mistrz Rabelais. Blisko południa i aż do obiadu *Campo de'Fiori* przypomina wielki ludzki ul, i wyglądem i bezładnym bzykaniem. Po obiedzie przekupnie przystępują do rozbierania straganów, ładują swoje produkty na furgonetki, zostawiają po sobie góry odpadków, zgarnianych potem szuflami przez miejskich asenizatorów. Plac cichnie, odzyskuje swą naturalną perspektywę i przestrzeń, mistrz Rabelais wraca skąd przyszedł. I wtedy wylania się z pustki, utopiony dotąd w rozgardiaszu targowiska, kamienny posąg Nolańczyka w kapturze, postawiony tam „gdzie płonął stos”. Wyrzeźbił go w roku 1889 Ettore Ferrari. Głównym akcentem pomnika był słusznie kaptur. Tak wyrzeźbiony, że nie widać twarzy schowanej w jego cieniu. Płaskorzeźby na cokole wydobywają z historii głośne akty prześladowań innowierców i nietolerancji religijnej. Wiadomo, że rzymska rada miejska zaplanowała pomnik jako polemiczny akt wobec Stolicy Apostolskiej.

Przez cały dzień na kapturze heretyka przysiadają gołębie, zrywają się z furkotem, po czym wracają na dawne miejsca. Ale nie dostrzega się ich podczas targu, jak nie dostrzega się samego pomnika. Dopiero o zmierzchu i wczes-

nym wieczorem, na Kwietnym Polu gotującym się do odpoczynku i snu, kamienny kaptur oblepiony gołębiami ożywa i króluje w mroku. Co jakiś czas jeden szczególnie gołąb, biało-czarny, wzbija się wysoko ku niebu jak wystrzelony pocisk, na długo znika, wreszcie spada i wczepia się pazurkami w czub kaptura. Jest to oczywiście dusza Nolańczyka, usiłująca codziennie wtopić się na zawsze w ciemną *anima mundi*.

Styczeń 1994

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA
1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najśmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

Wiersze

Wiersze

Wacław IWANIUK

PODRÓŻ DO KONSULATU POLSKIEGO W KURYTYBIE

Latem 1939
opuszczałem kraj
a we wrześniu zaczęła się wojna
wiadomości z kraju były skąpe
na list wysłany do Matki
odpowiedź nie przyszła —

Ja w tym czasie
płynąłem w górę Parany
rzeką o skalnych brzegach
i niebezpiecznych wirach
by mówić o Polsce
polskim emigrantom —

Pamiętam tę podróż
wioskę w Kurytybie
z jasnym księżycem
na tropikalnym niebie
i polskiego Konsula
z Białą-Czerwoną kokardą
grającego w polo.

Krzysztof JEŻEWSKI

EUROPA

Opada
opada kora
czasu
wali się strych historii
rupieciarnia wieków
dopala się nasz dom
świątynia nasza śmieszna
nawet nie ma co ratować
może tylko parę tonów
harfy
kilka gestów
obleczonych w kamień
światło w niewodzie płótna
złom kolumny
niech ruina
będzie malownicza

Odejźmy stąd
tu już tylko zgłiszcza
spowite w blichtr
chepliwej sławy
świecidła i błyskotki potęgi
spod których przeziera
tandeta

Za dużo tu było dumy
mędrkowania
żonglerki
zachłanności
okrucieństwa
za dużo przebrania
Kłamstwo zrosło się z nami
jak suknia Dejaniry.

I teraz wszystko trwa
jak pozbawione bytu.
Wystrój dramatu
co sam siebie przeżył.

Ale scena jest pusta.
Cudaczne rekwizyty
toczą dalej grę
bez słów
bez aktorów

Żeby choć móc wrócić
do praźródła.
W śmierci odnaleźć
ziarno nowych wschodów.

Za późno. Zdrada tylko
wskaże słuszną drogę.

Uwiliśmy gniazdo na drzewie
którego już nie ma.

(1978)

Krzysztof JEŻEWSKI

Stanisława SALONI

1939

Na powierzchni dnia mama smażyła agrest
i zmieniała służące
a wieczorem bóg mego dzieciństwa
uczył mnie jeździć na rowerze
jaskółki zszywały pospiesznie
żagwiące się zorze
z rozścielanym na ziemi opalowym zmierzchem

o złych snach
wiedzieć już musiał ktoś w miasteczku
ludzie czarno ubrani
smutni zabiegani
rozmawiali rękami
patrzyli na mnie czasem bardzo uważnie
mama mówiła o nich
starozakonni

a zresztą
lato było pogodne

Stanisława SALONI

Archiwum polityczne

Wejście smoka

1.

Nie było to budujące widowisko, gdy Grzegorz Kołodko, wicepremier i minister finansów wygłaszał z trybuny sejmowej wprowadzenie do programowego dokumentu STRATEGIA DLA POLSKI, przed salą, z której opozycja — Unia Wolności, Unia Pracy, Konfederacja Polski Niepodległej i BBWR — zgodnie przedtem wymaszerowała. Opozycja miała słuszne powody do protestu. Od dawna zapowiadany dokument został z nie całkiem jasnych względów dopiero w przeddzień zatwierdzony przez rząd i posłom rozdzielono go już w dniu obrad. Trudno więc by debatowali nad czymś, czego nawet nie przeczytali. Rząd był najwyraźniej zainteresowany sprezentowaniem swej inicjatywy narodowi jeszcze przed wyborami samorządowymi (przed 19 czerwca nie było już przewidzianych innych posiedzeń Sejmu) i to możliwe najbardziej uroczyście, a więc w parlamencie. Przybył sam prezydent i nb. nie wyszedł z sali razem z opozycją, a tylko przesiadł się ze swej łoży na boczny fotel... (o niektórych racjach prezydenckiego wsparcia dla Kołodki będzie jeszcze mowa). Sejm sprowadzono więc do roli dekoracji. Opozycja słusznie zaprotestowała. Ale tak to już jest w polityce, że słusznie protestując można stracić punkty. Protest był słuszny, ale niemądry: na wyborcach robił zapewne wrażenie, że opozycja boi się Kołodki i jego programu. Wicepremierowi zafundowano za frajer — WEJŚCIE SMOKA.

Program „Strategia dla Polski” jest prawdopodobnie najlepszy, w sensie socjotechnicznym, skonstruowanym tekstem tego typu. Po części wstępnej opisującej zasadnicze przesłanki programu i rozpisanej na lata 1994-1997 prognozy dziewięć-

nastu najważniejszych wskaźników makroekonomicznych następuje opis dziesięciu „programów węzłowych”, każdego w pięciu członach*: „diagnoza”, „cele”, „środki”, „zagrożenia” oraz „główne kryterium wykonawcze”. To ostatnie, jednozdaniowa charakterystyka indykatora, którego stan będzie informował, jak program jest realizowany, stanowi najlepszy chwyt socjotechniczny tekstu: przejrzyste kryterium zdaje się gwarantować sprawdzalność a zatem i wiarygodność strategii. Po tych pochwałach dla formy, przejdźmy do meritum.

Sam Kołodko parokrotnie podkreślił, że strategia średnioterminowa nie jest tym samym, co budżet konstruowany z roku na rok. Istotnie: strategia nie musi i nie może się „bilansować” na wzór wydatków i dochodów budżetu. Jest jednak pewne nadużycie w tym, że wśród 19 wskaźników makroekonomicznych tabeli progностycznej (patrz załącznik) brak pozycji monetarnych, które np. poprzednik Kołodki na stanowisku, Marek Borowski i prof. Stanisław Gomułka w studium opublikowanym 20 maja na łamach *Rzeczpospolitej* rozważali bardzo starannie („Polityka makroekonomiczna Polski w latach 1994-97”). Można przypuszczać, i tak zdają się sądzić pierwsi krytycy „Strategii”, że obecność wskaźników monetarnych uwyraźniłaby istotne niezborności czy niedopowiedzenia tekstu. Janusz Jankowiak w *Gazecie Wyborczej* (10 czerwca) scharakteryzował te niezborności „Strategii” jako dylemat krótkiej koldry: wiele konkurencyjnych potrzeb — mało środków. Jako przykład wymienił dwa cele: nieinflacyjne finansowanie deficytu i redukcję długu publicznego. Nawet przy przewidzianym obniżeniu deficytu, co zwłaszcza w 1995 wydaje mu się wątpliwe, potrzeba by znacznego dopływu funduszy zagranicznych. Jeśli jednak nastąpi on, jak zaprojektowano w „Strategii” w formie wymiany długu na udziały w atrakcyjnych sektorach gospodarki (tytoń, rafinerie, linie lotnicze, ubezpieczenia, banki, telekomunikacja), wówczas zabraknie żywej gotówki z zagranicy, nie mówiąc już o tym, że inwazja zagranicy w takich sektorach wzbudza opór w sa-

* (1) Partnerskie stosunki pracy i negocjacyjny mechanizm regulacji płac; (2) Reforma systemu zabezpieczenia społecznego; (3) Przeciwdziałanie bezrobociu; (4) Rozwój obszarów wiejskich; (5) Inwestowanie w kapitał ludzki; (6) Zarządzanie majątkiem państwowym oraz procesy przekształceń własnościowych; (7) Średniookresowa strategia finansowa; (8) Rozwój i reforma sektora finansowego; (9) Bezpieczeństwo obrotu gospodarczego i absorpcja „szarej strefy”; (10) Międzynarodowa konkurencyjność polskiej gospodarki.

mej koalicji. Takich przykładów można wymienić więcej. Mimo to, nie na nich koncentrowałbym krytykę.

2.

Grzegorz Kołodko tak oto charakteryzuje swą strategię: „trzy priorytety — szybki wzrost gospodarczy, stabilizacja systemowa i makroekonomiczna oraz poprawa warunków życia”. Ostatnia z tych formuł nie jest wprawdzie wprost oszukańcza, ponieważ wicepremier nigdzie nie precyzuje, komu się te warunki mają poprawić i nigdzie też, mimo że krytykuje „społeczną dotkliwość” dotychczasowej polityki reform, nie kwestionuje niesprawiedliwego rozłożenia ciężarów. Za tym przemilczeniem kryje się, niestety, perspektywa nie tylko utrzymania lecz nawet pogłębienia niesprawiedliwości.

Bezrobocie np. będzie pod koniec 1997 wynosić ciągle jeszcze 14% — ale bezrobotni będą coraz częściej pozostawiani samym sobie (co ukryte jest w formule „ograniczenia antymotywacyjnych i uzależniających skutków osłony. Wydłużeniu okresu pobierania świadczeń na obszarach szczególnie zagrożonych bezrobociem towarzyszyć będzie jego skracanie na terenach charakteryzujących się względnie dobrą sytuacją na rynku pracy”).

Płace wzrosną o 10,8% (1997/1993) natomiast społeczna wydajność pracy o 17,5%, zaś produkt krajowy brutto o 21,8%.

System podatkowy będzie ewoluował ku zwiększeniu udziału podatków pośrednich i redukcji — bezpośrednich, co zawsze faworyzuje zamożnych konsumentów. Utrzymane będzie zwolnienie od podatków różnych form dochodu z kapitału i wprowadzone zostaną rozmaite ulgi podatkowe, sprzyjające oszczędzaniu i inwestowaniu. Zmiana już w 1994 zasad indeksacji emerytur i rent spowoduje ich, w najlepszym razie, stagnację. Dotąd były one indeksowane na przeciętnej płacy realnej: ponieważ płace realne spadały, spadały też renty. Teraz, kiedy płace realne mają rosnać, renty i emerytury będą indeksowane na cenach. „Strategia...” zapowiada „redukcję kosztów osłon socjalnych, w powiązaniu z ich adresowaniem do faktycznie najbardziej potrzebujących grup społecznych”. Pierwsza próba tej strategicznej wytycznej wkrótce nastąpi: już w czerwcu w budżecie 1994 brakowało do końca roku 1,9 biliona zł na gwarantowaną ustawowo pomoc społeczną, a wicepremier Kołodko zapowiedział, że budżetu rewidować nie będzie...

Reforma systemu ubezpieczeń społecznych (wszystkich reżimów) jest zapowiadana od dawna i Kołodko podejmuje te zapowiedzi. Reforma ma zająć „10–20 lat”, ale degradacja świadczeń bezpłatnych (służba zdrowia, oświata, szkolnictwo wyższe) jest już faktem. „Docelowo” nierówność w traktowaniu tych, co płacą, i tych, którzy powołują się na swe prawa nabyte, ubezpieczonych i obywateli — zostanie zinstytucjonalizowana w postaci niezależnych funduszy ubezpieczeń, tego z „pakietem usług podstawowych” dla wszystkich i tych ekstra, opłacanych dodatkową składką. Zresztą nawet ubezpieczenia podstawowe będą opłacane łącznie przez pracodawców i pracobiorców (w PRL pracobiorcy nic nie płacili) a początek zrobiony zostanie z funduszem ubezpieczeń od bezrobocia. Dla czytelnika na Zachodzie opisywane tu zamierzenia „Strategii...” nie są niczym szczególnym. Ale na Zachodzie taka struktura świadczeń społecznych tworzona była przez stulecie, w miarę podnoszenia się poziomu życia: jest w ogólności traktowana jako zdobycz ludzi pracy. W Polsce po gwałtownym spadku poziomu życia jest i będzie percypowana jak klęska. Może to zagrozić „stabilizacji systemowej” i unicestwić całą strategię, chyba że rządowi Pawłaka-Kołodki udałoby się tak zróżnicować sytuację podmiotów społecznych żeby w najważniejszych skupiskach ludzi pracy (miastach, wsiach, dzielnicach, zakładach, branżach, zawodach) zadowoleni z rozwoju neutralizowali bunt niezadowolonych. Warunkiem tego byłyby nie tylko dostatecznie duże nadwyżki w skali globalnej, ale również — bardzo sprawne sterowanie. Kołodko zdaje się to rozumieć. Rewindykuje w swoim tekście nie tylko prawo do interwencjonizmu państwowego, ale zapowiada również głęboką reformę administracji i zarządzania. Ministerstwo Gospodarki wraz z Ministerstwem Międzynarodowej Integracji Gospodarczej i wyodrębnionym instytucjonalnie Skarbem Państwa zastąpiłyby aktualną plejadę urzędów i posad. Zarządzanie majątkiem państwowym miałyby zostać radykalnie usprawnione (przy „równoprawnym traktowaniu wszystkich form własności”).

Wykazując, w tym sensie, powagę i dobrą wolę, rząd Pawłaka-Kołodki chciałby się spodziewać, że w Polsce zapana „pokój i spokój” społeczny, negocjacyjny i zdecentralizowany mechanizm regulacji płac, z państwem w roli arbitra. Trójstronna Komisja będzie instytuowana ustawowo jako „forum współdziałania związków zawodowych, organizacji pracodawców i rządu w zakresie kierunków i sposobów realizacji polityki społeczno-gospodarczej... Uzgodnione stanowisko

Komisji będzie wiązać strony i stanowić wytyczną ich działania”.

Jeśliby realizacja „Strategii...” owocowała pokojem, spokojem, wydajnością i usprawnieniem zarządzania, wówczas jak można się dorozumieć z niektórych sformułowań, kapitały z Zachodu napłynęłyby szerszym strumieniem.

Sześćdziesięciodziewięciostronicowy tekst obfituje, oczywiście, w kwestie bardziej szczegółowe (jak np. promocja eksportu i oszczędzania), ale istotę, jak sędzę, wyłożyłem. Powinno być wyraźne, że kamieniem probierczym „Strategii...” będzie zdolność rządu i koalicji przeprowadzenia zapowiadanej reformy administracji i usprawnienia zarządzania. „Strategia...” Grzegorza Kołodki jest cała zależna od bardzo sprawnego i konsekwentnego sterowania, automatyzmom systemu rynkowego zawierza w niewielkim stopniu. Prawdziwi leseferyści już choćby dlatego uznają ją za beznadziejną. Piszący te słowa nie jest leseferystą i nie podziela tego zdania. Ale niepodobna nie widzieć, że przeszło półroczna praktyka rządu Pawłaka i jego resortów nie wróży wielu sukcesów optymistom. W szczególności ministerstwa, które przede wszystkim powinny wdrażać reformy usprawniające — oświata, zdrowie, praca i opieka społeczna — dają dowody bezradności, zaś finanse, prokuratury, sądy i system bankowy na pewno nie są zdolne „rozszerzyć bazę podatkową”, to znaczy zmusić szarą strefę do płacenia i ukrócić aferzystów.

3.

„Strategia dla Polski”, jak zresztą każdy program o równie rozległym zasięgu, wymagałaby pewnego minimum consensusu politycznego w takim przynajmniej sensie, żeby wszystkie liczące się siły zadeklarowały zainteresowanie jej sukcesem. W tym sensie, niepotrzebna awantura sejmowa zaraz na początku nie rokuje dobrze. Ale, prawdę mówiąc, na taki consensus i tak jest bardzo mało szans, ponieważ siły polityczne są znów w trakcie przegrupowań i nowych samookreśleń. Dotyczy to zarówno Unii Wolności (poprzednia *Kultura*) jak klasycznej prawicy, dotyczy Unii Pracy niezadowolonej z siebie samej i SLD, gdzie kierownictwo Aleksandra Kwaśniewskiego sporo osłabło, i nawet niewzruszonego dotąd bloku PSL, w którym wyłomy poczyniły kolizje klerykałów z antyklerykałami o aborcję i konkordat i zwłaszcza niepewność co do polityki wobec samorządów: min. Strąk w URM-ie ma już w PSL bardzo wielu wrogów (a poza PSL — chyba wyłącznie...).

Co więcej, nie było żadnych szans na klaryfikację sytuacji w wyniku wyborów 19 czerwca. Frekwencja zapowiadała się normalna to znaczy ok. 40%, ale rozeznanie w rezultatach nie będzie naprawdę możliwe, dopóki nowi radni, wójtowie i burmistrzowie nie określą się politycznie. Nie tylko jest bardzo wielu kandydatów bez etykietek, ale nadto cała prawica, od Unii Wolności licząc, szła do wyborów w maskach i maseczkach, w najbardziej fantastycznych i różnych, z gminy na gminę, koalicjach. Ostatecznie, po 19 czerwca mogły być znane rezultaty tylko lewicy... Porównywalność, z r. 1990, właściwie żadna, bo wtedy postkomuniści byli w rozsypce, Unia Pracy nie istniała, a PSL walczyło o życie i nazwę z chłopskimi formacjami postsolidarnościowymi.

Nim więc w Warszawie rozeznają się, co im przyniosły te wybory, będzie wrzesień i nowy sezon. Tylko prezydent nie czekał i zapowiedział oficjalnie, że „zawalczy” o ponowną prezydenturę. Nie wiadomo tylko, na kogo przy tym liczy. Od kilku tygodni Lech Wałęsa jest bardzo ekumeniczny. Przestał najeżdżać na „popaprańców” i z poręki biskupa-generała Głódzia zatrudnił nawet u siebie Henryka Goryszewskiego eks-wicepremiera. Oni go też oszczędzają, imienia Bolek nie ma teraz w prawniczym kalendarzu. Prezydent wyraża się z ciepłym szacunkiem o dawnych doradcach, Mazowieckim, Geremku, Kuroniu (do uczniów Liceum Lelewela). I serdecznie gratuluje Kołodce znakomitego planu.

Lech Wałęsa w walce o władzę ma do wyboru dwie perspektywy. Jedną, wstrząsów i zaburzeń, w wyniku których przerażeni rodacy wezwą go na pomoc. I drugą, pomyślnego rozwoju, do którego mógłby się dopisać jako symbol i gwarant. Do 1 sierpnia, wielkiego Złotu Mężów Stanu w Warszawie, aktualna jest ta druga opcja.

Warszawa 13 czerwca 1994

Krzysztof WOLICKI

STRATEGIA DLA POLSKI
prognoza podstawowych wskaźników ekonomicznych
na lata 1994-97

	1993	1994	1995	1996	1997	1997 1993=100
Ludność (przec. w roku, w tys.)	38.459	38.587	38.725	38.868	39.014	101,4
Pracujący w gospodarce narodowej (w tys.)	14.950	14.900	15.000	15.200	15.500	103,7
Produkt Krajowy Brutto (rok poprzedni=100, ceny stałe)	104,0	104,5	105,0	105,2	105,5	121,8
Spółeczna wydajność pracy (tys. zł, ceny stałe)	37.396	39.210	40.896	42.456	43.924	117,5
Przeciętne wynagrodz. w gos. nar. (rok poprzedni=100, ceny stałe)	101,1	101,5	102,8	103,0	103,1	110,8
Przeciętna emerytura i renta pracownicza (j.w.)	97,0	106,5	101,4	103,1	101,0	112,5
Spżycie (rok poprzedni=100, ceny stałe)	105,6	103,1	103,3	103,6	103,6	114,3
w tym: prywatne (rok poprzedni=100, ceny stałe)	106,0	103,5	103,5	104,0	104,0	115,9
Inwestycje (rok poprzedni=100, ceny stałe)	104,5	106,0	107,0	108,0	108,0	132,4
Stopa inwestycji	20,9	21,3	22,1	23,2	24,4	
Eksport (według PKB, rok poprzedni=100, ceny stałe)	101,0	106,0	107,0	108,0	109,0	133,5
Import (według PKB, rok poprzedni=100, ceny stałe)	110,0	102,5	104,0	105,2	106,0	118,0
Indeks cen konsumpcyjnych (XII/XII)	137,6	123,6	116,1	112,0	108,7	174,7
Dochody budżetu państwa (rok poprzedni=100, ceny stałe, wg deflatora PKB)	112,3	105,3	104,3	104,8	105,5	121,4
Wydatki budżetu państwa (j.w.)	100,7	108,0	108,4	101,8	102,1	121,7
Deficyt możliwy do sfinansowania (w relacji do PKB)	2,8	3,7	3,3	2,8	2,5	

	1993	1994	1995	1996	1997	1997 1993=100
Dług publiczny (w relacji do PKB)	85,6	77,7	76,9	74,1	72,4	
Stopa bezrobocia (stan na koniec okresu wg prognozy CUP)	15,7	17,2	16,7	15,6	14,0	
Saldo rachunku bieżących obrotów handlu zagranicznego (w relacji do PKB)	-2,7	-2,1	-1,7	-1,7	-1,5	

Przegrywamy razem z Ukraińcami czy każdy sobie?*

Ostatnio specjalnie nadłożyłem drogi, aby zahaczyć o Przemysł. Mam słabość do tego miasta za jego bajeczne położenie i prozaiczne, kresowe losy. Tym razem chciałem ocenić kondycję przemysłowego „kapitalizmu”. I zobaczyć, jak owemu krzywdzającemu ustrojowi służy tu sąsiedztwo z Ukrainą. Odczucia mieszane... Z pewnością nie jest to jeszcze warszawski Nowy Świat. I ciągle nie widać ukraińskich ożywionych wpływów, bo bazar to organizm autonomiczny. Wybrałem się aż na samo przejście graniczne w Medyce. Nie, tu nie ma zastoju mimo złej pory roku. Kłębowski „tirów” z rejestracjami z całej Europy. Czemu Przemysł nic z tego nie ma? Spaliny tylko i zatory. Nie dziwota więc, że po staremu główne sąsiedzkie wydarzenie, o którym się mówi, to zajadły spór: katedralna cerkiew czy kościół. A wieczorne „rodaków rozmowy” to popis zagubienia ludzi wobec polsko-ukraińskich szans; przemieszanie nieznośnych „wypominków” historycznych z bezradnością na dziś oraz jutro.

Tyle tylko mojego, że podsunęto mi pod nos odbitkę z paryskiej *Kultury*, z artykułem Bohdana Osadczuka „Ukraina sam na sam” (grudzień 1993) — „No, i znowu my wszystkimu mamy być winni?” — podchwytliwie pytano. Solidarność

* *Więź*, kwiecień 1994.

wobec... imiennika wymagała, aby dać jakiś odpór. Nastrój był smętny, bo nudzą mnie już polsko-ukraińskie pryncypia oraz generalia, jako że wszystkie one — wielekroć — były wypowiedziane. No i nic. A dla zapoznania się z tekstem weselej byłoby ruszyć do Paryża z przystankiem — na dyskusję — w Berlinie, gdzie teraz mieszka autor...

...Nie przyhołubiła nas zachodnia Europa... Zawiodła miłość do Polski — pisze pan Bohdan — oparta na naiwnej wierze, że podziwiany przez wiele lat za niesłychaną odwagę, tupet i kunszt... zachodni sąsiad zgnębionego i stłamszonego narodu stanie się druhem... lub choćby przyjaznym adwokatem ukraińskiej sprawy... Po prostu przeceniłem gotowość moich polskich przyjaciół do poświęcenia aktualnych i narodowo-regionalnych zadań w imię stworzenia wizji przyszłości... Zaliczam to do porażki naszej wspólnej koncepcji grupy *Kultury*... pierwszy etap, wykoncypowany przez Jerzego Giedroycia i Juliusza Mieroszewskiego o uznaniu powojennych granic i pogrzebaniu wzajemnych roszczeń... jest naszym wspólnym, historycznym sukcesem... Układ warszawski z 18 maja 1991 roku, regulujący stosunki międzypaństwowe, jest niejako ukoronowaniem długoletnich wysiłków redaktora i zespołu *Kultury*.

Obydwu rządowi i działaczom politycznym w Warszawie i Kijowie zabrakło w decydującym momencie historycznego instynktu... Szansę tę przegrała przede wszystkim Warszawa, bo w Polsce były bardziej wyraziste i ukształtowane przesłanki... Rozmaite mądrale nad Wisłą przykryły strach przed własną odwagą... zastrzeżeniami Stanów Zjednoczonych, a potem względami na Rosję. Prawdziwym źródłem było to, że idea stworzenia wokół ich państw centrum przyciągania... okazała się równie obca jak ongiś plany Piłsudskiego i Petlury współczesnym im społeczeństwom... A urzędanie bezpośrednich linii telefonicznych między Belwederem i rezydencją prezydenta Ukrainy w ramach prezydenckiej Rady Konsultacyjnej jest, na tle klapy politycznej w naszych stosunkach, niczym innym jak dokumentem nicości tej instytucji.

Mocno powiedziane. Widać, że zarówno autor, jak i wydawca, znajdują się poza „jurysdykcją” obu rządów prezydenckich. Ale też, sędzę, nie dość wczuwają się w cały nastrój obecnych stosunków Polska-Ukraina; w szczególności — w potoczne, społeczne rozumienie i postrzeganie stanu oraz perspektyw naszego, noworodzonego politycznie sąsiedztwa po obu stronach Sanu.

Rozczarowaniu szanownego imiennika się nie dziwię. Bałem się tego już po jego relacji z wizyty naszego Prezydenta — z rozbudowaną świtą — w Kijowie. Tonacja była egzaltowana. Czuło się smakowanie owych umów i obietnic, dostojnych oświadczeń i solennych zapewnień; wręcz entuzjazm dla wspomnianego tu pomysłu „gorącej linii” Kijów-Warszawa, czy Rady-Super obu Prezydentów. Ja autora rozumiem. Miałem podobne przeżycia, gdy świadkowałem ukraińskiemu składaniu wieńca na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie przez prezydenta Krawczuka. Od czasu jak płynąć zaczęły Wisła i Dniepr — myślałem sobie — oto po raz pierwszy „król” z Kijowa wizytuje paradnie Polskę. (No, nie licząc epizodu Petlury, ale i nie zafalszowując jego wymowy!). Przełom. Odtąd musi nastąpić nowa era. Bo wręcz Pan Bóg zgniewa się i na Polaków, i na Ukraińców. Opatrzność uczyniła wszystko, co uczynić tylko mogła. Reszta w ręku narodów.

Ale euforia była krótka. Pustka stanowiła dominujący element ceremonii. Naród polski, na dobrą sprawę, reprezentował bodaj tylko niżej podpisany. Przy całym moim zarozumiałstwie, skromniutko to... Nie liczę Ukraińców z Polski. Ani ekip dyżurnych telewizji, gazet i wojska. Analogicznie też postrzegałem reprezentację „władz partyjnych i państwowych” ówczesnej edycji. Znałem ją dobrze. Palcem nie kiwnie w sprawie, której perspektywy wykraczają poza najbliższe tygodnie. Stroić miny w telewizji, podpisywać niezliczone traktaty — i owszem. Ale chwycić szanse wielkie, choć trudne? Rzykować politycznie? Kreować fakty, miast wrózenia sobie z nich? Toż zawodził ich instynkt wręcz samozachowawczy, gdy trwonili społeczny kapitał zaufania oraz nadziei, który ich wyniósł do władzy. Po prawdzie, jedyny kapitał, jakim mógł dysponować kraj w celach tak gospodarczych, jak i politycznych...

A polski ogół? Nie jest usposobiony życzliwie i kooperacyjnie do nikogo spośród swych sąsiadów. W przypadku zaś Ukraińców dochodzą szczególne okoliczności. Ukraińskie państwo to dla Polaków zupełna nowość; abstrakcja, którą „aksamit” realiów odejścia od Moskwy do reszty uczynił zagadką. A co do ukraińskiej społeczności, to istnieje jedynie polska pamięć o zatargach zjadłych i okrutnych. Żeby chociaż kroily się od tej strony jakieś interesy. Z Polski ich nie widać, w przeciwnieństwie do ogromu biedy ukraińskiej. Fatalne to, lecz społecznych uprzedzeń i bezruchu nie przełamuje się historiozoficznymi i geopolitycznymi apelami. Zresz-

ta, jak już mówiliśmy, nawet i tego nie ma komu zacząć porządnie robić.

Szkoda, iż mój szanowny imiennik skąpi konkretów w swych nie bezpodstawnych żalach i pretensjach. Napomyka jedynie o celowości „regionalnego systemu współpracy ekonomiczno-politycznej”; rozciąga go od krajów bałtyckich „poprzez Białoruś” i do Czech oraz Słowacji poprzez Rumunię i Węgry. Wielki Boże! Polacy z Ukraińcami nie potrafią ułożyć rzeczowego współdziałania, a mielibyśmy jeszcze pomnożyć to o kwasy czesko-słowackie, węgiersko-rumuńskie, litewsko-polskie? I o dominującą wszędzie biedę? Pewnie, zawsze można spróbować urządzić walny zjazd prezydentów i festiwal przemówień. A nawet uchwalić, że wszyscy prezydenci owi złączą się... telefoniczną „gorącą linią”. Ale w słuchawkach będzie głucho, niczym na trasie Warszawa-Kijów, telefony bowiem same nie sformułują koncepcji, pragmatycznej i realistycznej; nie zastąpią politycznej woli.

Trudno wątpić, że probierzem być musi współpraca gospodarcza. Ze stosownym rozgłosem. I w każdym przypadku nieodzowne są środki. Wiadomo, jak „przelewa się” w Polsce, lecz wola polityczna zawsze może wykrzesać jakieś minimum na początek, później zaś szansą byłby nasz potencjał przemysłowy i rolny, którego „dławienie się” powinno zelżeć przy współdziałaniu z Ukraińcami. U nich sytuacja finansowa jest, jaka jest. Ale nie sposób wierzyć, iż w tym wielkim kraju — tradycyjnie płynącym „mlekiem i miodem” — dziś nie da się znaleźć niczego. A szukał kto naprawdę? Bez politycznej woli, oczywiście, niczego się nie znajdzie. Jeśli zaś nie ma pieniędzy nawet na tego rodzaju poszukiwania, to ukraińska katastrofa — przede wszystkim polityczna — nie jest żadną groźbą, lecz faktem dokonanym. A to oznacza klęskę dziejową nie tylko Ukrainy, lecz i — śmiem twierdzić — naszą.

Potrzeba natomiast, w państwowej skali, pieniędzy zupełnie śmiesznych, aby rozpocząć wychowanie społeczeństw z obu stron Sanu — do nowo-starego sąsiedztwa. W szkołach, wojsku, środkach przekazu, twórczości kulturalnej... A także na konkretach współpracy: rolników, nauczycieli, samorządowców, leśników, historyków, lekarzy... Bez tego, na nieco tylko dłuższą metę, nic nam się nie uda. Politycy przychodzą i odchodzą; są przeciętnie tacy, jak środowiska, z których się wywodzą; w Polsce oznacza to przede wszystkim analfabetyzm w kwestii ukraińskiej, nie licząc już umysłowego lenistwa oraz uprzedzeń.

Toteż i zwrot p. Osadczuka o ukraińskiej „zawiedzionej miłości” do Polski traktuję jako publicystyczny ozdobnik. Ludzie formatu Wasyla Stusa czy braci Horyniów to jeszcze — niestety — nie reprezentacja Ukrainy. W Galicji Wschodniej i na Wołyniu, sędzę, Polacy są postrzegani wyraziście, bo nas tu znają. Czy tylko od dobrej strony? Należy wątpić. Ale tu właśnie na stare animozje jakoś nakłada się uznanie, że pomogliśmy nieco Ukraińcom (choć mimo woli) wybić się na „samostijność”. W społecznej skali nieocenioną ma wagę obraz Polski i Polaków, który przywożą tu ludzie z handlu po bazarach i robót „na czarno”. Myślę, iż jest on skomplikowany. Barwi go podziw i ludzka zazdrość o nasz, Boże się pożał, „kapitalizm”, lecz czerni również poczucie ukraińskich udręk i upokorzeń, doznanych nad Wisłą. Już nie mówię o nadwiślańskich oszustwach czy chamstwie. W sumie? Nie umiem tego na dziś zbilansować. Nic zresztą nie wskazuje, że proces dobiegł jakiegoś etapu. Chętnie słucham wywodów, że — *per saldo* — poprawia się nasz *image* na zachodniej Ukrainie; lecz jestem ostrożny, aby samemu się nie oszukać. Zawodu miłonego nie może być jednak tam, gdzie miłości nigdy nie było.

A na wielkiej Ukrainie? W Kijowie z pewnością znajdzie się przygarść polonofilów — rozczarowanych, istotnie, raczej więcej niż mniej. Wytknę im przy okazji, że też nie grzeszą inwencją ani rozmachem. Ale Kreszczatik to jeszcze nie cała Ukraina. Tutaj zaś jakimś wyobrażeniem Polski dysponują tylko weterani „Wielkiej Wojny Ojczyźnianej”. Nie nazbyt to aktualne. I zastanawiam się — z mieszanymi uczuciami — czy w masowej skali łączy się w ogóle Polaków z krachem komunizmu i ZSSR, czy nie łączy. Jeśli tak, to możemy być obwiniani, zwłaszcza dalej na wschód od Kijowa, za życiowe perturbacje milionów ludzi, którym „samostijność” nie posłużyła. I jeśli im coś rokuje, to konsekwencje — nie tylko ekonomiczne, chociaż i tych byłoby dość — zatargu z Rosją.

Ukraińscy ludzie oraz ich państwowość skrajnie trudne mają warunki. Także psychologiczne... Nie mam żadnych danych i wątpię, czy takowe w ogóle istnieją — jak balansują tam proporcje ludzi, zachowujących nadzieję i wiarę w sens niepodległości, do tych, którzy się rozczarowują aż po rezygnację. Fundamentalna sprawa. Drobiazgiem przy niej, co myśli się tam o Polakach. Zbiorowe zdolności znoszenia wyrzeczeń — oto obecnie kwestia ukraińska numer jeden. I powiązana na „syjamski” sposób kwestia druga: czy zrodzi się na Ukrainie koncepcja poprawy, która szybko da ludziom bodaj nadzieję?

Powiedzmy sobie szczerze: dla wielu ludzi na Ukrainie nowa państwowość to ciągle eksperyment. Ciekawy, lecz czy da się w nim jakoś żyć? Gabinety, partie, traktaty i standardy, plebiscyty i wybory, reformy niechby i ekonomiczne, to — być może — niezłe rzeczy, ale przecież, jak dotąd, wyżyć z nich nijak nie sposób. A kraj się pograża i pograża. Pomocy z zewnątrz nie ma i nie będzie. Niewiele pociechy z tego, że suwerenność Ukrainy uznają obce rządy; czynią to dla własnych, a nie ukraińskich interesów. Zdecyduje to, czy tę suwerenność uznają za własne dobro zwyczajni ludzie Ukrainy.

Na przeważenie wahających się szal ukraińskiego losu nie ma w Polsce sił i środków, gdyby nawet i była świadomość, że nasze losy przy okazji także tu się jakoś ważą. Ale zupełna bezczynność i bezradność to nasza kompromitacja na całym Wschodzie. A ponieważ na Zachodzie, tak naprawdę, nie mamy niczego do handlu i polityki, prócz naszego wschodniego zakorzenienia i wynikających stąd szans — sprawa jest śmiertelnie poważna. Mniejsza o to, iż bodaj najważniejszy międzynarodowy traktat obraca nam się w papierowy świstek, nim jeszcze obsecht na nim atrament. Zredaguje się następne. Może z Indiami, może z Nigerią, może z Paragwajem. Zwroty o „pogłębianiu przyjaźni” i „zacieśnianiu współpracy”, żywcem z PRL, przydadzą się jak znalazł. Najnowsza ekipa MSZ powinna je aplikować choćby z sentymentu. Wymiana wizyt rokuje nawet lepiej aniżeli zabiedzony Kijów. A dla telewizji i tak wszystko jedno, bo kręci ciągle w kółko to samo.

Bohdan SKARADZIŃSKI

Konferencja polsko-ukraińska

„Polacy i Ukraińcy 1918–48. Trudne pytania” — pod takim tytułem odbyło się w dniach 7–9 czerwca br. w Podkowie Leśnej spotkanie historyków polskich i ukraińskich. Jego celem była wymiana informacji, poglądów i ocen dotyczących stosunków polsko-ukraińskich, próba określenia obecnego stanu wiedzy obu

stron oraz nawiązanie stałej współpracy. Każda ze stron zaprezentowała swój punkt widzenia.

Obie strony uznają, że niewłaściwe jest w terminologii historycznej używanie wobec narodu ukraińskiego w XX wieku terminów: „Rusini”, „ruski” itd. jako mylących i w wielu wypadkach nasuwających skojarzenia, a nawet utożsamiających z Rosją. Obie strony postulują używanie form: „Ukraina”, „ukraiński” itd.

1.

Historycy obu stron w podobny sposób oceniają okres budowy państwowości obu narodów 1918–19. Ówczesna wojna między naszymi narodami — przy niemożności porozumienia się, a więc pokojowego uregulowania granic — przebiegała z reguły zgodnie z normami prawa międzynarodowego. Straty łącznie szacuje się zgodnie na ok. 25 tysięcy osób.

Uznajemy, że polityka Józefa Piłsudskiego zmierzała do uznania niepodległości Ukrainy. Podpisany w 1920 roku sojusz z Ukrainą stanowił formę bloku antybolszewickiego, a także wypadkową interesów obu narodów walczących o swą samodzielność. Nie wynikał z chęci podporządkowania Ukrainy. Wyczerpanie Rzeczypospolitej wojną z Rosją uniemożliwiło kontynuowanie polityki ukraińskiej. Sojusz Piłsudski-Petlura został przekreślony postanowieniami pokoju ryskiego.

2.

Strona Polska wskazuje na działania władz II Rzeczypospolitej, umożliwiające rozwój społeczności ukraińskiej i jej pokojową koegzystencję ze społeczeństwem polskim. Znaczna część mniejszości ukraińskiej okazywała lojalność wobec państwa polskiego i poszanowanie prawa.

Obie strony uważają, że władze polskie nie zapewniały pełni praw należnych mniejszości ukraińskiej, jakie wynikały z tytułu podpisanych zobowiązań międzynarodowych.

Strona ukraińska za istotną cechę polityki władz polskich wobec Ukraińców uważa pozbawienie ich wielu podstawowych praw obywatelskich, stosowanie w celu wynarodowienia nie tylko legalnych, ale także bezprawnych metod (pacyfikacje itp.). Akcentuje nacjonalistyczny charakter ówczesnej polityki polskiej, który doprowadził do konfrontacji polsko-ukraińskiej w 1930 roku w południowo-wschodnich województwach Polski. Mimo gotowości znacznej części Ukraińców do wypełniania obowiązków obywatelskich wobec państwa polskiego, ukraińskie społeczeństwo jako całość nigdy nie uznało legalności władzy polskiej na tych terenach, traktując ją jako zaborczą.

Nie do przyjęcia jest dla strony ukraińskiej termin „Mało-

poliska Wschodnia” oraz określanie terenów etnicznie ukraińskich (Galicja Wschodnia, Wołyń, Lwów, Łuck) jako „ziem polskich”, także dla okresu ich przynależności do państwa polskiego.

Według strony polskiej międzywojenne stosunki polsko-ukraińskie destabilizowały Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów i Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy. Akcje terrorystyczne OUN spowodowały przeprowadzenie przez władze polskie ostrych represji.

Obie strony uznają różnice w polityce II Rzeczypospolitej na Wołyniu — w okresie rządów wojewody Henryka Józewskiego i w późniejszym (1938–1939), kiedy wpływy obozu prawicowego spowodowały zaostrenie kursu politycznego wobec większości ukraińskiej na tych terenach.

3.

Strona polska twierdzi, że politykę polską lat 1939–44 wobec spraw ukraińskich warunkowały: przynależność Polski do koalicji antyniemieckiej; obrona terytorialnego status quo sprzed wojny (oparta o obowiązujące prawo międzynarodowe); negatywny stosunek do formacji współdziałających z Niemcami; konieczność dostosowania się do polityki koalicji antyhitlerowskiej, sprzeciwiającej się próbom porozumienia polsko-ukraińskiego jako działaniu przeciwko członkowi tejże koalicji — Związkowi Radzieckiemu; ukraińskie próby restytucji własnego państwa. Te czynniki kształtowały płaszczyznę konfliktów polsko-ukraińskich.

Strona ukraińska uważa, że polska opinia publiczna jest niedostatecznie poinformowana o ogromnym wkładzie narodu ukraińskiego w walkę przeciw III Rzeszy. Stwierdzono dysproporcję pomiędzy stosunkiem Polaków do przypadków ukraińskiej kolaboracji z Niemcami (uwypuklanie) a polskiej kolaboracji (pomijanie). Strona polska stwierdza, iż zorganizowanej polskiej kolaboracji nie było.

4.

Największe kontrowersje wywołał problem krwawego konfliktu obu narodów w latach 1941–44.

Obie strony zgadzają się co do narodowowyzwoleńczego charakteru Ukraińskiej Powstańczej Armii. Strona polska negatywnie ocenia jednak politykę i metody UPA stosowane wobec ludności polskiej.

Strona ukraińska przyczyn konfliktu upatruje przede wszystkim w przedwojennej nacjonalistycznej polityce Polski, wymierzonej przeciwko Ukraińcom, która wpłynęła na rozwój nacjonalistycznych nastrojów w społeczeństwie ukraińskim. Odpowie-

działnością za szczególnie okrutny przebieg konfliktu strona ukraińska obarcza skrajnie nacjonalistyczne środowiska obu narodów.

Strona polska uważa, że ukraińskie podziemie nacjonalistyczne rozpoczęło działania zmierzające do depolonizacji obszarów Zachodniej Ukrainy, m.in. poprzez akcje wyniszczania ludności polskiej.

Strona ukraińska uważa, że Armia Krajowa w sposób zdecydowany dążyła do przywrócenia przynależności Zachodniej Ukrainy do państwa polskiego i kontroli nad tymi obszarami. To wywołało negatywną reakcję społeczeństwa ukraińskiego.

Strona polska przedstawia szacunkową liczbę Polaków zamordowanych na Wołyniu w latach 1939–44 z rąk ukraińskich nacjonalistów — 50 tys. osób. Udokumentowano dotąd 34.647 przypadków zabójstw, zidentyfikowano z nazwiska 12.491 ofiar.

Stan badań źródłowych nie pozwala obecnie na definitywne ustalenie liczby ofiar po obu stronach.

Strona ukraińska podkreśla, że pierwsze akcje terrorystyczne były skierowane przeciwko Polakom zatrudnionym w administracji niemieckiej. Stwierdza się, że nie wszystkie przypadki zabójstw miały podłoże polityczne bądź narodowe.

Eskalacji okrucieństw sprzyjała demoralizacja społeczeństwa będąca skutkiem ideologii i praktyki obu reżimów totalitarnych.

Uczestnicy spotkania uważają za niewłaściwe przypisywanie szczególnego okrucieństwa wobec wszystkich ofiar walk.

Strona ukraińska stwierdza, że nie istnieje żaden dowód wskazujący na podjęcie przez dowództwo UPA decyzji o eksterminacji ludności polskiej, zaś strona polska uważa, iż mimo braku dokumentów fakty świadczą o zaplanowaniu całej operacji.

Strona polska formułuje zarzut, że geneza i rozmiary zbrodni ukraińskich nacjonalistów na ludności polskiej nie znalazły dotąd właściwego miejsca w historiografii Ukrainy. Opinia publiczna w Polsce oczekuje uwzględnienia w tej historiografii faktów wyjątkowych okrucieństw, jakich się wówczas dopuszczano na Polakach.

Strona polska uznaje fakty eksterminacji ludności cywilnej za zbrodnię ludobójstwa. Odpowiedzialnością za jej zaplanowanie i zorganizowanie obarcza kierownictwo nacjonalistycznego OUN-SD. Jednocześnie wskazuje, iż w „rzeziach wołyńskich” wzięła udział znaczna część ówczesnej społeczności ukraińskiej tamtych terenów, i kładzie nacisk na potrzebę wyjaśnienia tego fenomenu. Historycy polscy akcentują też konieczność wspólnego ustalenia geografii i chronologii „zbrodni wołyńskich” oraz bilansu strat poniesionych przez oba narody.

5.

Strona polska uważa, że główną metodą walki, zastosowaną przez władze polskie przeciwko UPA działającej na terenach powojennej, południowo-wschodniej Polski, były wysiedlenia ludności ukraińskiej.

Zastosowanie odpowiedzialności zbiorowej wobec całej ludności ukraińskiej, często nie mającej nic wspólnego z działalnością OUN-UPA, było pogwałceniem praw człowieka; oznaczało to zerwanie więzi rodzinnych, tradycji historycznej i kulturowej.

Ogółem wysiedlono: do ZSRR — ok. 480 tys. osób, na tereny północno-zachodniej Polski — 140 tys. osób. Straty ukraińskie (1944–49) wyniosły ok. 5500 zabitych. Straty polskie: ok. 2200 zabitych.

Działania militarne formacji polskich, mające w zasadzie służyć zabezpieczeniu akcji wysiedleńczej, w niektórych przypadkach doprowadziły do brutalnych pacyfikacji. Odwetowe akcje, skierowane przeciwko ukraińskiej ludności cywilnej, podjęły również niektóre oddziały podziemia polskiego.

Uważamy jednocześnie, że nie należy stawiać znaku równości między konfliktem ukraińsko-polskim 1941–45 na Kresach Wschodnich, a wydarzeniami z lat 1945–47 na obszarze dzisiejszej Polski.

Strona ukraińska uważa, że akcja „Wisła” była w praktyce częściową realizacją planów przesiedleńczych rozważanych w czasie wojny przez niektóre środowiska polskie, w tym związane z emigracyjnym rządem polskim. Strona polska nie podziela tego stanowiska.

Obie strony uważają, że w okresie po 1945 roku ani państwo polskie, ani tym bardziej strona ukraińska nie miały szans prowadzenia w pełni suwerennej polityki.

Uczestnicy spotkania stwierdzają, że konflikt polsko-ukraiński, który pochłonął tak wiele ofiar, stanowi najbardziej tragiczną kartę w historii naszych narodów. Apelujemy do Ukraińców i Polaków, aby nie przenosili odpowiedzialności za przestępstwa jednostek i grup na całe nasze narody. Historycy polscy i ukraińscy stwierdzają zgodnie, że nastął czas obiektywnego zbadania przyczyn i przebiegu konfliktu, liczby ofiar po obu stronach oraz napisania historii stosunków ukraińsko-polskich.

Spotkanie „Polacy i Ukraińcy 1918–48” zorganizowało Forum Europy Środkowo-Wschodniej przy Fundacji Batorego oraz Ośrodek KARTA w Warszawie. Spotkanie to zakończyło pierwszy etap międzynarodowego programu „Wspólne Miejsce — Europa Wschodnia”, prowadzonego przez Ośrodek KARTA

i Stowarzyszenie „Memoriał” w Polsce, Rosji i na Ukrainie.

Obie strony deklarują udział w programie, w następujących przedsięwzięciach:

- ustanowienie polsko-ukraińskich grup, zajmujących się najtrudniejszymi momentami we wspólnej przeszłości XX wieku;
- stała wymiana piśmiennictwa historycznego, informacji, dokumentów, map, ikonografii etc.;
- opracowanie — na podstawie dalszych badań — kolejnych wersji dokumentu polsko-ukraińskiego, uściślającego wspólny opis stosunków pomiędzy naszymi narodami w XX wieku.

Podkowa Leśna, 9 czerwca 1994 r.

Strona ukraińska:

doc. Wołodymyr Baran
(Uniwersytet Wołyński — UW)
doc. Jurij Danylluk
(Instytut Historii Ukrainy Akademii Nauk Ukrainy - IHU ANU)
prof. Jarosław Isajewycz
(Instytut Ukrainoznawstwa - IU ANU)
doc. Wiktor Kowal (IHU ANU)
dr Wadym Kowaliuk
(Fundacja „Widrodzennia”)
doc. Mykoła Kuczerepa (UW)
prof. Iwan Kyczij (UW)
doc. Mykoła Łytwyn
(IU ANU)
doc. Wołodymyr Reprincew
(IHU ANU)
doc. Ołeksander Rubliow
(Instytut Archeografii ANU)
prof. Mychajło Szwahullak
(IU ANU)

Strona polska:

dr Andrzej Chmielarz
(Wojskowy Instytut Historyczny — WIH)
prof. Władysław Filar
(Światowy Związek Żołnierzy AK-ŚZŻAK)
dr Andrzej Friszke
(Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk - ISP PAN)
Marek Jasiak (WIH)
dr Michał Klimecki (WIH)
dr Piotr Mitzner (Ośrodek KARTA)
Grzegorz Motyka
(Instytut Historii AK - IHAK)
Urszula Olech (WIH)
Władysław Siemaszko (ŚZŻAK)
doc. Ryszard Torzecki
Rafał Wnuk (IHAK)

Kraj

Czy MY to ONI?

UWAGI NA MARGINESIE MOJEJ KSIĄŻKI PT. „MY”

Nie. Zdecydowanie nie. Bo kim byli ONI? W naszej 45-letniej PRL-owskiej rzeczywistości „niereczywistości”? Wierzącymi (mniej lub bardziej) komunistami, którzy: służyli obcemu mocarstwu (mniej lub bardziej lojalnie) i wypełniali jego dyrektywy (mniej lub bardziej skrupulatnie). Byli w Polsce, czyli przez NAS traktowani jak obce ciało, które rozpełzło po naszym wycieńczonym II-gą wojną organizmie. Byli dla NAS obcą władzą, która przyjechała na sowieckich czołgach. Opisałam ich w książce ONI.

Rozmowy z komunistami, których wtedy spotykałam, a których postanowiłam wysłuchiwać do bebechów, stały się dla mnie bezcennym źródłem wiedzy o człowieku. Że po pierwsze: można z nim zrobić prawie wszystko, grając na najniższych ludzkich instynktach i odpowiednio wyzwalając z niego strach, próżność, nienawiść. Po drugie: najbardziej niszczącym człowieka i najgroźniejszym dla otoczenia jest jego fanatyczna wiara w ideę — jakkolwiek, która z jednej strony zawęży pole widzenia, a z drugiej jest źródłem uzasadnienia najcięższych zbrodni. Po trzecie: w każdym człowieku tkwi potrzeba dążenia ku normalności i w końcu przychodzi (prędzej czy później) chwila otrzeźwienia. „Moi” komuniści życiorysy mieli dość typowe dla działaczy budujących zręby PRL-u. Część z nich przyjechała ze Związku Sowieckiego, okrutnie doświadczona w sowieckich łagrach lub na posiołkach, zastraszona i często złamana psychicznie i fizycznie. Część — mimo przeżyć — nadal była naznaczona fanatyczną wiarą w fałszywą ideę i dla jej urealnienia zdolna

posunąć się nawet do zbrodni. Część skutecznie wytłuma-
czyła sobie, że włączając się w budowę PRL-u dokonuje
wyboru mniejszego zła i lepiej, że ten trud podejmują właśnie
oni, bo w ich miejsce przyszliby gorsi. Większość z nich
odeszła po 1956 r., wszyscy po 1970-tym i ONI — w pow-
szechnym odbiorze — stali się wówczas nie tyle wyznawcami
nie akceptowanej przez NAS ideologii, co członkami rządzą-
cej partii, czyli uprzywilejowaną grupą społeczną, której
liczba z każdym rokiem rosła. Rosła, bo przynależność do
partii ułatwiała awans zawodowy, pomagała w uzyskaniu
mieszkania, telefonu, talonu samochodowego, wyjazdu zagra-
nicznego. Przynależność do partii się po prostu opłacała i
nawet jeśli wielu zapisało się do niej zwiedzionych sloganami
(pod wpływem odwilży w 1956 r., czy na gierkowskiej fali
„pomożemy”) — to jednak tkwili w niej latami przede
wszystkim z oportunistu, wygodnictwa, cwaniactwa, albo
cynizmu. Zdecydowana większość jej członków (że nie
wszyscy — twierdzą z ostrożności) wyłącznie z tego powodu
wstępowała, a potem — mimo przejrzenia na oczy i świadom-
ości, że uczestniczy w „miaradze” — legitymację partyjną
zachowywała. Podobny mechanizm działał przy zapisywaniu
się do ZSL czy SD. Wstępowało się do nich, by przed
prawdziwą partią, czyli PZPR, udawać, że się jest partyjnym,
czyli wywinąć się od zapisania do przewodniej siły i też robić
karierę. No, może trochę mniejszą. Tak było. Każdy chciał
bowiem lepiej żyć, każdy chciał osiągać zawodowe sukcesy i
większość miała żonę i dzieci. Normalnością było przekona-
nie, że imperium sowieckie trwać będzie wiecznie i w nie-
normalności należy znaleźć dla siebie w miarę wygodne
miejsce. Do PZPR, SD i ZSL należało w końcu lat 70-tych
około 5 mln ludzi. Powstała sytuacja, w której ONI byli już
prawie w NAS. I ja sama, gdyby mnie ktoś wtedy zapytał,
dlaczego nie powiększam partyjnych szeregów, umiałabym na
swoje wytłumaczenie powołać tylko argumenty irracjonalne,
że nie lubię zebrań i chodzenia pod sznurek oraz że nie
mogę zrobić przykrości mojej Mamie, bo dla mojej rodziny,
jak dla — wciąż jednak — większości polskich rodzin,
które partyjniaków oglądały w pracy czy w telewizji, a nie
przy niedzielnym obiedzie w domu, zapisanie się do PZPR
było nieprzyzwoitością. Przyzwoitością bowiem w tych
rodzinach nazywało się nie tylko zaniechanie działań nie-
przyzwoitych, ale rezygnację z pokus. Także rezygnację z
pokusy zrobienia łatwiejszej kariery. Bo na trudniejszą (w
swoich ostatnich 20 latach) PRL pozwalała i każdy bezpar-

tyjny, jak się uparł, mógł zostać profesorem uniwersytetu,
dyrektorem fabryki, albo wybitnym dziennikarzem czy arty-
stą. Mógł, ale za wyższą cenę. Musiał być po prostu dużo
lepszy od partyjnego, a drogę, jaką dochodził by być lep-
szym, musiał pokonać na własny rachunek. Czyli kosztem
wielu, bardzo wielu wyrzeczeń osobistych. Potem przyszedł
stan wojenny i przypomnijmy sobie kto został w partii?
Wtedy mówiło się: tchórze, oportuniści, cwaniacy. Złożenie
legitymacji wymagało odwagi (trochę mniejszej niż w poprzed-
nich latach, ale ciągle jeszcze jakiejś odwagi). Oznaczało roz-
poczęcie nowego życia bez parasola partyjnego i przywilejów.
Oznaczało rezygnację z pełnienia kierowniczych funkcji, być
może na zawsze, czasem groziło zwolnieniem z pracy. Ozna-
czało kłopoty paszportowe, nieprzyjemności osobiste. Czyli
groziło poniesieniem konsekwencji, często dużo poważniej-
szych, niż w przypadku osób od zawsze bezpartyjnych, bo
partia — jak każda zamknięta zbiorowość — nie lubiła
swoich apostatów.

Kim zaś byliśmy My? W gazetach — masami robotni-
czo-chłopskimi i inteligencją pracującą. Dla ONYCH -
TYMI, którzy jedności moralno-politycznej zadekretowanej
przez partię, przeciwstawiali jedność, definiującą się najlepiej
poprzez pojęcie MY. Byliśmy sponiewieranym społeczeń-
stwem, które przez wszystkie lata PRL-u broniło się, z
mniejszym lub większym skutkiem, przed zniewoleniem.
Najpierw MY byliśmy społeczeństwem szantażowanym, wię-
zionym i mordowanym. Potem szantażowanym i wyzyskiwa-
nym. Na koniec znowu szantażowanym, więzionym i bitym.
I cały czas straszonym. Albo sowieckimi czołgami, albo
odwetowcami niemieckimi. I cały czas oszukiwanym, albo
przez pozbawianie informacji, albo poprzez odgrodzenie od
świata. I stale poddawany przeróżnym manipulacjom. Dla-
tego MY nie jesteśmy ONYMI. I w każdej rozmowie z
NAMI (a przeprowadziłam ich chyba z pięćdziesiąt, z róż-
nymi osobami, także całkiem mi dalekimi i w sposobie myśl-
lenia i w rozumieniu dekalogu), ani na chwilę nie opuszczała
mnie świadomość, że rozmawiam z ludźmi, którzy wyszli z
tego niszczonego przez lata społeczeństwa, którzy (w jakimś
momencie) mieli odwagę o jego prawa, godność, niezależność
— upomnieć się, a nawet walczyć i swoją — co najmniej —
wygodę dla niego (w pewnym momencie) poświęcić. I że są
jednak — co odkrywałam z niepokojem — po tych 45 latach
zniszczeni. Nasze społeczeństwo jest chore, MY jesteśmy
chorzy. Polska jest chora. MY nawet staliśmy się do ONYCH

podobni. My broniliśmy się przed ONYMI, ale do końca się nie obroniliśmy. Od nich przejęliśmy formy uprawiania polityki, definiowanie, czym jest polityka, sposoby traktowania społeczeństwa. Przejęliśmy od ONYCH zjadłość w dochodzeniu swego, łatwość w nienawiedzeniu niedawnych przyjaciół i sojuszników. Niczym nieuzasadnioną wiarę, że wyłącznie MY mamy patent na rację, mądrość, uczciwość i jeśli ktośkolwiek tego nie rozumie, to nie warto mu tłumaczyć, bo głupi i nie dorósł do demokracji.

ONI zarazili NAS podejrzliwością i potrzebą szukania wszędzie wroga. Oni skutecznie nauczyli nas swojej spiskowej teorii w ocenianiu świata i swoich niedawnych przyjaciół. Od ONYCH przejęliśmy przeświadczenie, że obraz świata malowany jest w dwóch tylko kolorach.

Podział na ONYCH i MYCH był nie tylko figurą retoryczną. Był znakiem rozpoznawczym, przywołującym skojarzenia historyczne. Wypełnionym treścią, zrozumiałą tylko w krajach bloku socjalistycznego, a nieprzetłumaczalną na języki zachodnie. Wydawnictwa, które wydawały moją książkę „ONI”, zastępowały jej tytuł albo innym zaimkiem, albo wymyślały nowy. Tylko dla Czechów, Węgrów i Rosjan był on czytelny. NAS — jako przeciwieństwo ONYCH już nie ma, ale tym bardziej jest interesujące pytanie kim jako społeczeństwo jesteśmy.

Teresa TORAŃSKA

Z ukosa

Grubość i nieociosaność naszych obyczajów, jakieś zapóźnienie cywilizacyjne, połączone z bólem, że się nie jest na salonach Europy, bywa źródłem polskiej niegrzeczności i nieżyczliwości. W czasie jednego tygodnia pobytu w kraju spotkałem więcej nieżyczliwych urzędników, kierowców samochodów, sprzedawców sklepowych niż podczas czterech lat pobytu za granicą. Ale grzechem byłoby nie zauważyć, że lawinowo zwiększa się u nas obszar grzeczności na terenie prywatnych firm i usług. Tym bardziej jednak odczuwa się chamstwo, bo jest ono teraz na wyraźnym tle.

Problemem jest choroba, której nie ma w żadnym podręczniku, a nazwę ją zakwaszeniem dusz. Jak się kisi ogórki i kapustę, co jest zresztą polską specjalnością, kisiły się nasze dusze w beczkach narodowych nieszczęść.

Z powodu zmiany mojej sytuacji życiowej, która zresztą nie miała gwałtownego charakteru, nabyłem mieszkanie, korzystając z pośrednictwa agencji mieszkaniowych, firm podejrzanych ale skutecznych. Sprzedawał mi mieszkanie obywatel o brutalnym nazwisku i akcencie miękkim jak schodzone pantofle oraz zębach, z których można by odlać pokaźnej wielkości złoty dzbanuszek. Był to Rosjanin od lat poprzez małżeństwo zamieszkały w Polsce. Wydawałoby się, że jego odmienność winna uczyć go szacunku dla odmienności innych. Ale szybko okazało się, że ma on poglądy zbliżone do nacjonalistów serbskich. „Każdy winien mieszkać u siebie, a to nasze, gdzie jesteśmy silniejsi”. Nie pytałem go czy cierpi, że jego akcent budzi dzisiaj w każdym polskim uchu żywy niepokój, czy aby mówiący nie jest przedstawicielem rosyjskiej mafii.

Mieszkam oto teraz w trójkącie, który był kiedyś dla mnie „trójkątem bermudzkiem”. Między Moskwą, bezpieczeństwem i więzieniem. Moskwa, wyjaśniam, to tylko kino, ze spiałymi lwami na podeście. Brama MSW ślepi niemal w moje okna, ale to cyklopie oko jest już tylko bliźną. A więzienie rakowieckie też jakby spoczcwiwało, chociaż nie spotykam już tam znajomych. Wielu ich natomiast siedzi w MSW, w fotelach. A w kinie Moskwa suną jeden za drugim filmy amerykańskie — czyli Moskwa dzisiaj jest zupełnie zamerykanizowana.

Mój dom jest szczęśliwie cofnięty od ulicy i schowany za murami domów przyulicznych, posiada tylko dwa piętra i dziewięć mieszkań. Remont robi mi syn słynnego aktora Zbyszka Cybulskiego, prosty rzemieślnik mówiący nieco z warszawska. Jakiś bardziej subtelny korzeń zdradza w nim jedynie nieustanna obawa, czy wybijając ściankę nie naruszamy przepisów, że sąsiedzi zrobią awanturę, i tak w kółko — jaki normalny polski rzemieślnik przejmuje się takimi głupstwami. Kiedy jego ojciec wpadł pod koła elektrycznego pociągu, Maciej był małym dzieckiem, a biedny wielki ojciec nie może więc ujrzyć, że jego syn wyszedł na ludzi, bo pomyśleć jakim nieszczęściem byłoby gdyby nie dał Boże poszedł w ślady ojca, lub niewiele lepiej, na przykład gdyby pisał.

Mój dom zamieszkały jest głównie przez stare kobiety, jeden ze znaków wielkiej w Polsce nadumieralności mężczyzn.

Ten dom ma też bliźny po wojnie, tu pocisk coś wyszczerbił, tam wybił jakiś ząb. A sąsiadka straciła męża, lekarza, w Katyniu. Sama wywieziona do Niemiec, gdy wróciła do domu zastała dokwaterowanego lokatora, ubeka, a przecież miała córkę zaś mieszkanie malutkie. Nie dosyć, że mąż został zamordowany, to miała z tego powodu nieustanne kłopoty. Morderców zawsze niepokoją rodziny zabitych. Następny „lokator” zmarł dopiero kilka lat temu. Tak właśnie kisiły się nasze dusze przez lat 50. Nie sądzę by inne stare sąsiadki miały odmienne życie. Ich psy o siwych mordach i krzywych nogach przeraźliwie na mnie szczekają. W żadnym z krajów dostatnich psy tak nie szczekają. One ujadają nieudanym życiem swoich właścicieli. Staruszki szczęśliwe, że wprowadzający się nie jest alkoholikiem. Ich szczęście nie trwa jednak długo. Gdy dowiadują się, że jestem sam, cała ich żywa istota podskakuje z jękiem przerażenia, twarze spadają i tłuką się jak chińska porcelana, a w nagle odmłodzonych oczach widzę sodomę i gomorę. Z pewnością nie zawiodę ich w tym względzie.

Jedna ze starych kobiet hoduje przed bramą ogródek, pełen krzewów i kwiatów. Ale jest on tylko oazą na podwórkowym klepisku. Urzędniczka z administracji opowiada, jak to od lat szarpie się próbując znaleźć firmę, która skopie to klepisko i posadzi trawę. Mówi, że nie ma na nic pieniędzy, że opłakany stan podwórka, to nic w porównaniu z dewastacją budynków. „Jest źle, będzie coraz gorzej” — opowiada o tym jak o nieuchronnym wyroku. Jest jakaś niemożność, jakiś fatalizm w tych naszych urzędach. Czy starczy mi odwagi by chwycić za łopatę i samemu skopać klepisko, jak długo obroni się tam posiana trawa? Ale jeżeli nie zaczniemy od własnego podwórka, mało posuniemy się do przodu.

Zakład Energetyczny przenosi mnie od razu w czasy carskie. Szaro, brudno, tłumnie i jakoś groźnie. Przy okienku tłoczek, przy drugim, gdzie jest kasa, pusto, ale przezornie napisano tam czerwonymi kulfonami — „kasa nie udziela informacji”. A ja doprawdy nie wiem czy sprawę tu właśnie załatwię, żeby się dowiedzieć stać muszę godzinę do okienka. Ludzie są trochę zbuntowani, ale szybko pokornieją. Nad ich głowami triumfuje pisany ręcznie napis: „Zasady rozliczania odbiorców energii elektrycznej są określone w Zarządzeniu Ministerstwa Energetyki i Energii Atomowej”. Wzrusza ta energia atomowa w tej koślawej stodole urzędu a na biurkach urzędniczek komputery, które obsługują jeszcze niewprawnie,

ale obsługują. Nad brudnymi okienkami nabazgrołono czerwoną kredką, kiedy są przerwy, przerwa za przerwą, a niektóre przerwy widać, bo urzędniczki wcinają kajzerki z serem i popijają herbatę.

Te urzędy, ci urzędnicy, są jak wielki gorący kompres w kroku tego kraju!

Ankieta w *Polityce*: pyta naszych emigrantów — czemu nie wracają? Wiele takich pytań sam zadawałem, wstydząc się, że to robię, bo wiedziałem, że wchodzę na teren intymny i nieomal pozbawiony skóry. Na ankietę, zupełnie niespodziewanie dla *Polityki*, odpowiedział Sławomir Mrozek zamknięty w swojej wieży, na wysokości czterech tysięcy metrów w dalekim Meksyku.

Liczne odpowiedzi na ankietę potwierdzają moje obserwacje. Emigracja jest chorobą, którą rzadko ktoś przechodzi lekko, a choruje się zwykle chronicznie i do końca. Ci co wyjechali z przyczyn politycznych, nie wracają potem do kraju z powodów, do których okropnie im się głupio przyznać, więc mało kto się przyznaje. Bo skoro wyjazd był motywowany racjami wyższymi, ideowymi, to powrót lub jego brak winny mieć takie samo wytłumaczenie. Tymczasem gdy ustanie pierwotny powód emigracji, a przecież ustał bo Polska jest dzisiaj wolna, to nie wraca się przede wszystkim z powodu wygody. Na Zachodzie żyje się jednak o wiele wygodniej. Oczywiście dzieci zapaściły już tam korzenie i jest praca.

Polska dzisiaj potrzebuje wielu z tych co wyjechali, potrzebuje ich wiedzy. Ale jak się okazuje patriotyzm, jeśli nie obudzony poprzez wielkie narodowe nieszczęście, jest chudziutki przy grubej wygodzie życia. Jest tu oczywiście też ból ponownego przesadzania korzeni, kto ma na to siłę, skoro pierwsze przesadzanie tak bolało, jak teraz znowu je wyrwać i gdzie indziej sadzić, bo przecież Polska ma już inną glebę niż kiedyś. Czyli powrót to jakby nowa emigracja, może mniejsza bo chociaż wraca się już do innego kraju, ale jednak we własny język, a on jest przede wszystkim ojczyzną.

Sławomir Mrozek twierdzi, że On nie wraca z powodu „chamstwa”. Bo: „komunizm uruchomił w Polsce chama”. Potem Mrozek definiuje przedwojennego chama, który był mniej jadowity. Nowy w przeciwieństwie do dawnego, „nie zasadza się na urodzeniu, może pochodzić ze wszystkich sfer. Jego definicją jest arogancja, absolutna pewność, że mu się

wszystko należy, a nic go nie obowiązuje, więc wszystko należy mu się za nic. Nie szanuje cudzej egzystencji, ponieważ uważa, że świat został stworzony tylko po to, żeby mógł zaistnieć on i żadnej zagadki bytu wobec tego nie ma. Cham wie wszystko najlepiej i nie musi się dowiadywać niczego. Pod tym względem miałby rację, ponieważ rzeczywiście, wie wszystko to, co jest w zasięgu jego ryja, gdyby nie uważał, że w tym zasięgu jest wszystko i poza tym nic nie ma". Czy kiedyś nie było chama, kiedyś (...) „Cham nie był w modzie, był pod społeczną kontrolą. Dopiero komunizm wyzwolił chama”.

Ten nasz nowy cham, tak drażni Mroźka, kiedy przyjeżdża do Polski z dalekiego Meksyku, nie dlatego, bo gdzie indziej na świecie chamów nie ma. Ale dlatego, że nic tak nie drażni jak cham własny.

Kiedyś rozwijałem teorię polskiego palanta, ma on wiele wspólnego z chamem Mroźka, a palantostwo właśnie, tak mi się zdaje, odróżnia naszego chama od chama zagranicznego. I to właśnie spuścizna szlachecka, skundlona w zaścianku i wymieszana z nadgniętym w biedzie chłopem polskim, nadała polskiemu chamowi jakąś nieznośną nieznośność. I te wszystkie godności w stanie nieustannej erekcji!

Są jakieś elementy pokrewne w niektórych innych odpowiedziach naszych emigrantów, ów lęk przed drapieżnością nowej Polski, ale w zasadzie, ludzie wolą ubierać swoje decyzje niepowrotu w kolorowe zastony i draperie.

Rocznica bitwy pod Monte Cassino przerodziła się w żalostną groteskę.

Mieli więc do Włoch pojechać wszyscy żywi kombatanci, ale okazało się, że nie ma pieniędzy na takie fanaberie. Były za to pieniądze by premier Pawlak mógł zabrać żonę, dzieci, o kucharzach nie było mowy, ale nie zdziwiłbym się gdyby też jechali. Okazało się, że biedujący na ulicach Rumuni nie wruszają Polaków i nawet widoczne gołym okiem połacie naszej własnej nędzy, ale czerwone maki pod Monte Cassino wycisną łzy i pieniądze. Więc naród rzucił się do społecznej akcji — środki na bilet dla kombatantów. Biurem podróży, które było pośrednikiem inwazji polskich kombatantów na Włochy, stało się biuro o dźwięcznej nazwie „Mazovia”. I oto dyrektor biura nijaki Sulimierski zniknął nagle z pół milionem kombatantkich dolarów. A dla tych starych ludzi co pojechali, podróż zdała się powtórką szturm, bałagan, brak opieki, chwilami głodowali. Po powrocie ledwie żywi

kombatanci założyli „Stowarzyszenie osób poszkodowanych przez biuro 'Mazovia'”. Jaki dramaturg pisze nam takie groteskowe scenariusze narodowych rocznic?

Czytam dwa tomy pamiętników Władysława Gomułki. Jego wielogodzinne gędzenia z trybuny wyłobily głębokie rowy w mojej pamięci. I w tych pamiętnikach jest taki sam element gędzenia, ale niespodziewanie całość jest ciekawa. Śmiertelna pedanteria Gomułki, pewne ograniczenie umysłowe powodują, że robi on przeszłości czarno-białe zdjęcia, nieostre, krzywe, ale chwilami przejmujące. Portretuje też dokładnie swój zniewolony umysł. Widzimy niemal korbkę ręcznej maszynki do mielenia mięsa, którą przemielono dusze komunistów. Wielu tego nie przeżyło. Agenturalność polskiego ruchu komunistycznego jest już u jego źródeł. Policja zachowywała się wobec komunistów dość paskudnie, ale to przecież byli zdrajcy. Jeśli ktoś ma jakieś wątpliwości niech czyta Gomułkę. Ten przed wojną jedzie do Moskwy, gdzie szkolą go jak się szkoli agentów i terrorystów. Gomułka chce zobaczyć w ZSSR raj, ale nie może nie dostrzec skrawków piekła, nie chce się do tego przyznać — tak oto zaczyna się „pierekowka dusz”.

Przeciwko stalinizmowi i jego zbrodniom grzmi Gomułka zachłystując się pasją, jak pamiętamy gdy przemawiał chrypiąc przeciw imperializmowi. Od kiedy był I sekretarzem PRLu stan jego świadomości na temat sowieckiego systemu był bliiski temu, który prezentuje w pamiętnikach. Czyli żyrował i egzekwował co też dla niego było zbrodnią i horrendalną bzdurą, co sam uznawał za antyludzkie, i antypolskie. W jakim piekle zakłamania żyli ci ludzie!

O Katyniu napisze: „Bywają sytuacje, kiedy w imię najwyższych interesów narodu nawet brudne kłamstwo należy przybierać w szaty prawdy. Tak miała się sprawa z Katyniem”. Nie, towarzyszu Wiesławie, tak miała się sprawa z całą rzeczywistością, a kłamstwo przeżarło system do szpiku kości i stało się jego treścią.

Przyznaje, że po roku 45 każdy szczegół był ustalany ze Stalinem, tak treść przysięgi wojskowej, jak — czy Warszawa ma być stolicą Polski? A wywiezienie generałów AK i zgoda na to polskich komunistów, to akt haniebny, nad którym autor pamiętników boleje. Słowo — zdrajcy! — brzmi tu pusto i niewystarczająco. A wszystko to Gomułka traktuje jako konieczność, jak anginę i upływ czasu, i cała jego moralność jest w ramach tej logiki. Czy nie widzi, że taka

moralność usprawiedliwi każdą zbrodnię?

Prawdą jest, że Gomułka szczerze był przeciwnikiem kolektywizacji polskiego rolnictwa, i ma tu zasługi, lecz w ramach ekonomicznego obłądu. Był też w pewien sposób polskim patriotą, ale nieuchronnie w sposób pokraczno-pokretny i schizofreniczny. Tak, ci ludzie zostali przekręcani przez maszynkę do mielenia mięsa. Pierwsze kompromisy powodowały następne, aż kręgosłup moralny był zastępowany przez giętką linię Partii. Historia PPR ma u swych źródeł taki *thriller*, że żadna mafia nie może się równać. Gomułka maluje ten horror naiwnie, jakby kąpał niemowlę chore na różyczkę.

Rządził nami przez wiele lat człowiek o wąskich horyzontach, ale z jakimiś pierwiastkami wewnętrznej uczciwości. Jego rozważania na temat napiwków są przekomiczne, ujawniają naiwność i że tracił wiele czasu na głupstwa, ale po drugiej stronie jego naiwności gnieździła się małostkowość. Zarazem mamy potwierdzenie, że Gomułka należał do ludzi których nie kusily dobra materialne. Jego wielką zasługą jest obrona polskiego chłopca, potrafił być uparty i twardy, w obronie spraw słusznych jak i bez sensu. Stalin miał rację oskarżając w roku 48 Gomułkę o odchylenie narodowe. Posiadał je.

Do krytyki stalinizmu i ZSSR używa czasami języka, którym gromił potem w swych przemówieniach kapitalizm. Zabawnie jest to czytać. Napisze nawet: „Wielkoruski szowinizm osłonięty mianem komunizmu” i dalej: „system został zaszczerpiony w Polsce przemocą i na przemocy opiera się po dzień dzisiejszy”. Czyli w jakimś sensie Gomułka wiedział o systemie wszystko, a zarazem jakby nie wiedział nic.

Z przerażeniem odkrywa, że w Polsce Ludowej: „znaczna część pracujących w istocie rzeczy ma antysocjalistyczny stosunek do pracy”, bo oto „Okazało się, że społeczeństwo środków produkcji jest daleko niewystarczające do społecznienia człowieka, w istocie rzeczy nie zmienia jego stosunku do pracy, do mentalności. Pewne właściwości człowieka, jego cechy są mu wrodzone”. Proszę! Cechy wrodzone są niezmiennie, a gdzie byt co określa świadomość? Jakich to niezwykłych odkryć dokonuje Gomułka, emeryt! Jakby go zwiódł na pokuszenie szatan imperializmu. Dla komunisty taka konkluzja, to przecież kopernikański przełom. Ale staje się inaczej — Gomułka odkrywa podstawowe prawo, które zabiło komunizm, ale zarazem nadal jest komunistą — jakby żył po własnej śmierci. Bo czy oni wszyscy nie byli tylko zjawami, istnieli po swej śmierci duchowo-

wej, tak, to chyba wiele wyjaśnia. Stąd też możliwe są takie kurioza pokracznego myślenia: „demokracja socjalistyczna stanie się wyższą formą rządzenia niż demokracja burżuazyjna dopiero wtedy, kiedy zostanie uzupełniona podstawowymi elementami demokracji burżuazyjnej, praw i swobód człowieka”. To już tylko krok do odkrycia, którego nie dokonał, ale którego dożyli jego niektórzy partyjni towarzysze, że: „socjalizm jest najkrótszą drogą od kapitalizmu do kapitalizmu”. Gomułka staje tuż przy tej wiedzy, ale ściana która go dzieli jest z betonu. Miał bowiem betonową wkładkę w mózgu. Godził się na wszystkie zbrodnie i nadużycia, żywiąc przekonanie, że jest to droga do lepszego świata. Potem, chyba już tego „świata” nie widział, a tylko drogę, którą szedł jak koń z kłapkami na oczach ciągnąc za sobą Polskę Ludową, zrzedząc, gładząc i zaplujając się w wielogodzinnych przemówieniach. A kiedy było trzeba, jak nie wahał się wydać wyroku śmierci na Mołojców, nie wahał się dać rozkazu strzelania do robotników w Trójmieście. Sam padł kiedyś postrzelony przez sanacyjnego policjanta, o mało nie stracił głowy gdy Stalin palił czarownice we Wschodniej Europie, a ponownie wyniosły go salwy Października 56, ale upadł ostatecznie w grudniu pod gradem kul własnej ludowej milicji oraz polskiej armii, za którą odpowiedzialny był generał Jaruzelski. Ale wśród zamordowanych nie mógł już odnaleźć młodego, zbuntowanego robotnika, którym sam był kiedyś. Wyruszył wtedy na poszukiwanie lepszego świata, a skończył jako budowniczy świata kłamstw i bezsensu.

Żyjący I sekretarze PZPR Gierek, Kania i Jaruzelski, oraz martwy Gomułka, wydają dzisiaj książki i bez ograniczeń opisują czasy gdy mieli władzę, czyli kiedy każdy kto myślał inaczej niż kazała linia partii, mówić publicznie niczego nie mógł — wielu za swoje poglądy straciło życie lub było prześladowanych.

Demokracja jest skazana aby być łaskawa dla byłych dyktatorów, chociaż nie wahał się przelewać krwi, również robotniczej, żeby tej demokracji nie było. Dzisiaj hojnie korzystają z jej dobrodziejstw.

Tymczasem za kulisami naszej demokracji już teraz trwa gwałtowne poszukiwanie kandydata na Prezydenta. Wałęsa ponownie oświadcza, że nie chce, ale musi. I znowu trudno nie wyrazić zdumienia, że w Polsce jest czterdzieści milionów ludzi zaś kandydata na Prezydenta nie ma. I jakie zabawne osoby są proponowane w tej sytuacji! A tak naprawdę ważne

są podatki, prawa własności, setki regulacji prawnych i to wszystko co może dać dynamikę naszej gospodarce. A myśli się o wszystkim, tylko nie o dynamice. Czyżby myślały o tym niewidoczne, podskórne prądy? Bo oto znowu wskaźniki wzrostu gospodarczego są zaskakująco dobre, w pobliżu 4 procent, czyli znacznie przewyższają średnią we Wspólnocie Europejskiej.

Koalicja rządowa, PSL i SLD nie niszczą gospodarki, ale i też nic dla niej nie robią. Coraz mniej dają nadziei, że będą polską cywilizowaną lewicą, a ich socjaldemokratyczność już zupełnie wyblakła, również z powodu biznesowych namiętności, zrodzonych gdy uwłaszczala się nomenklatura. Coraz wyraźniej widać, że SLD kładzie świeże deski na polityczną scenę dla ludzi dawnego reżimu. Unia Pracy o solidarnościowym rodowodzie a socjaldemokratycznym kręgosłupie dostrzegła, że z ich romansu z postkomunistami nic nie wychodzi. To bodaj Aleksander Małachowski jakże trafnie westchnął: „Nie dosyć, że komuniści, to jeszcze do tego prawica”. Kiedy oglądam dziecko dawnej *Trybuny Ludu* czyli *Trybunę* ze zdumieniem widzę, że na czole gdzie kwitł kiedyś slogan „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się” jest blizna, a w niej napis: „Tęczowe Bingo! Grasz? Gram!!!”.

Kiedy jestem w przypominającym akwariu budynku dawnego komunistycznego Stronnictwa Ludowego, dzisiaj siedziby PSL, widzę niezwykle wielość twarzy z nasadzonymi na nie gębami. Pewien arystokratyzm niechęci do prostaka z prowincji jest u nas niezwykle głęboko zakorzeniony, znajduję go nie tylko u siebie, ale też u wielu urzędniczek w tym właśnie budynku. Chociaż mnie dobrze nie znają, mówią półgłosem, że one są z lepszej sfery, a służą tym chamom z życiowej konieczności. W budynku trwa wielka krzątanina bo przecież gębiąści mają teraz władzę. Pazerność PSLu staje się przysłowiowa, spodziewaliśmy się zresztą tego. Ciekawe, że koalicjanci z SLD też niebylegale gardzą swym sojusznikiem, jakby sami byli z arystokracji. W prywatnych rozmowach o Premierze Waldemarze Pawlaku mówią rzeczy straszne, powtarzającym się motywem jest „słoma co mu z butów wystaje”. Gorzej, że wystaje też z głowy. Premier o cokolwiek pytany burczy pod nosem, jak jakiś księgowy GSu pochylony nad zbyt trudną księgą rachunkową. W jego oczach czai się nieustanna czujność, a przerażenie nową rolą jest skryte pod zawsze nieco pochylonym czołem. Podobno zwiększył znacznie swoją obstawę i wszędzie porusza się w tej tłocznej świecie.

Wśród mnogości gąb dookolnych, dostrzegam gęby dawnych działaczy komunistycznego ZSLu, pamiętam ich butę wtedy, teraz jest tylko bardziej brzuchata i siwa. Nadal jednak nie rozumiem Michnika, który z coraz większym rozmachem lansuje tezę odcięcia przeszłości, wejścia w sojusz z SLD, by bronić Polski przed ciulem, chamem, populistą i cholera wie kim jeszcze. Nie rozumiem też elementu miłości i uwielbienia dla generałów, dla Oleksego i Ola Kwaśniewskiego, które to uczucie jest aneksem tej teorii. Niestety są znaki, że odbędzie się próba by w ten tor myślenia wepchnąć Unię Wolności. (Ta „wolność” w nazwie Unii ciągle nie przechodzi mi przez gardło, więc mówię Unia, a potem nagle nie mogę dalej, jakbym przy damach miał powiedzieć słowo staropolskie które pierwotnie znaczyło dziurkę w igle). I pytanie, czy Unia da się wepchnąć do jednego łózka z postkomunistami? Wątpię, ale ta próba bardzo przyspieszy podziały i rozpad partii. *Gazeta Wyborcza* już teraz unika atakowania postkomunistów i przypominania paskudztw stanu wojennego, nie wierzę jednak, że zespół zgodzi się pójść zbyt daleko tą drogą.

Tak, to myślenie, powiedzmy, grupy osób opiera się na historycznej wizji ciemnego polskiego społeczeństwa, gdzie drzemie niedźwiedź faszyzmu, jak się zbudzi to nas zje, a w tej konsumpcji pomogą partie narodowo-prawicowe. Sam wielokrotnie lamentowałem i ostrzegałem przed naszą własną ciemnotą, teraz karmioną przez rozpacz obszarów biedy. Ale nie posuwałbym się tak daleko by snuć wizje Bejrutu i Sarajewa, a potem włączyć do łóżek generałów i mówić — „suń się trochę Wojtek”.

Ci co za bardzo boją się mroku, często sami ze strachu gaszą światła.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

1.

Są sprawy, które co jakiś czas szeroką falą przewijają się przez nasze media. Do takich „tematów dyżurnych”, które drzeźnią w społeczeństwie pod skórą, ujawniając się tylko w mimowolnych słowach, w dowcipach, by wreszcie znaleźć szersze ujęcie — należy na pewno cały splot problematyki polsko-żydowskiej. Do nich należy też stosunek społeczeństwa do elit, a ściślej, do grup rządzących. Tak było za komuny, tak jest i teraz.

Wiosną '94 przez „łamy” przewinęła się dyskusja o postawie moralnej polityków, wywodzących się z Solidarności. Mówiono o tendencji konsumpcyjnej, nastawionej na czerpanie profitów materialnych z tytułu pełnionych funkcji. Mówiąc krótko — mówiono o „braniu”. Tym wielkim, łapówkarsko-aferyjnym, i tym małym, z pozoru niewinnym, bo zgodnym z prawem. Czarno na białym zostało powiedziane to, co od dawna wisiało w powietrzu: że Solidarność nam się popsowała. Nie chodziło o tę obecną roszczeniową od strajków po kopalniach, ale o tę dawną, prawdziwą, od taranowania komunizmu, wolności, demokracji i etosu. Doszło do tego, że słowo „etos” zaczęto brać w cudzysłów, a następnie zastąpiono mocniejszym wyrażeniem „styropian” (od styropianu, na którym spali uczestnicy historycznych strajków w Stoczni Gdańskiej). Gdy wybory wygrała postkomuna i na stanowiskach władzy nastąpiło przemieszczenie, ludzie pytali — w przypadku nieznanej osoby — „czy on z etosu, czy ze styropianu...?” Oba określenia zostały zrównane w negatywnym wydźwięku.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w szerokiej dyskusji publicznej, jaka rozgorzała, nacisk położono nie na błędy merytoryczne byłych solidarnościowców, ale na stronę moralną. Na prywatę cechującą tych ludzi. W głosach polemicznych, jakie padły w obronie „oskarżonych”, przeważały dwa argumenty. Jeden głosił, że przecież wielki ruch społeczny, jakim była historyczna Solidarność, nie naznaczał ludzi z góry stygmatem szlachetności. Przeciwnie, tak wielka fala zagarniała ze sobą również i wszelkie męty. Do Solidarności szli ludzie, tak „dobrzy”, jak i „zli”, zdarzało się z autentycznym wyrokiem kryminalnym, który skwapliwie podciągał pod

politykę. Nie można więc teraz wymagać od nich cech, których nigdy nie mieli. Drugi argument mówił, że władza z natury rzeczy demoralizuje, i że tak jest wszędzie na świecie. Tu padały skandaliczne przykłady z krajów zachodnich.

Więc po co u nas ten cały hałas?

Otóż po to, że niezależnie od uwikłań historycznych i szerokości geograficznej, w ludziach istnieje coś takiego jak niezbywalna tęsknota za „czystym” politykiem. Polityk jest wszak tym, który próbuje zmieniać zastaną rzeczywistość, ingerując w ludzkie życie, więc logika nakazuje ludziom wymagania.

Nic więc dziwnego, że im więcej naokół gorszących zachowań, złodziejstwa i przekupstwa, tym tęsknota ta silniej dochodzi do głosu. Człowiek chce, żeby minister, poseł czy lider partii, na którego stawiał, odróżniał się od reszty postawą. To nieprawda, że ludzie szyczą z autorytetów. Szyczą z fałszywych, na kilometr ten fałsz wywęszą. Natomiast jest w ludziach głębokie pragnienie autorytetu prawdziwego. Bezprzymiotnikowego. Po prostu autorytetu. Pragnienie to podyktowane jest zarówno zdrowym rozsądkiem — czyli troską kto i jak dzieli moje pieniądze — jak i czymś wyższym, z zakresu szerszego porządku społecznego, który nazwać można obywatelskością.

Żeby społeczeństwo rozwijało się pomyślnie — żeby system działał — ludzie muszą ufać swoim politykom. U nas, niestety, nie ufają.

Nie stawiamy im bynajmniej wygórowanych wymagań. Nie chodzi o to, żeby nasi reprezentanci byli doskonałościami. Nie chodzi o to, żeby nie mieli słabości ludzkich. W Polsce nie ma purytanizmu, tak zwane nieuporządkowane życie osobiste, czy próżność, ludzie politykowi wybaczą, podobnie, jak wybaczą księdzu. Nie wybaczą natomiast zimnego wyrachowania i wykalkulowanej prywaty.

Dlatego nie przekonają mnie banalne argumenty o demoralizującej naturze władzy, ani przytaczane gorszące przykłady z terenu demokracji zachodnich, ani wreszcie obrona solidarnościowych elit usiłująca dowieść, że domaganie się od nich pewnego wzorca zachowań obywatelskich jest bezzasadne.

Wydaje mi się, że jeżeli polityk nie widzi, że w swoim własnym interesie powinien zachowywać się porządnie — jest ślepcem. Niestety, na ogół w Polsce nim jest. Dominuje w nim krótkowzroczność i doraźność. Zarówno w postrzeganiu swojej roli, jak i w widzeniu powierzonych mu zagadnień me-

rytorycznych. Polityk polski anno Domini 1994 nie widzi dalej swojego nosa. Dlatego ludzie go lekceważą. Zagłosowali na postkomunę, nie z wiary w obietnice, ale dlatego że zawiedli się na swoich.

Jacek Żakowski, który swoim artykułem rozpętał dyskusję na temat postaw etosowców (*Gazeta Wyborcza*, 17.04.94), powiedział mi, że przeprosił Hannę Suchocką za to, że w jego artykule jej osoba znalazła się w bliskości tych, którzy kradną. Niepotrzebnie przeproszał. Hanna Suchocka nie kradła i nikt jej za złodziejkę nie miał. Jak się tłumaczyła, przyznana sobie i innym ministrom nagrodę podpisała bezwiednie, przy podsuniętej liście płac. Tym gorzej, tym gorzej...

I na co ci były te głupie moniaki, nasza Hanko?!

2.

Zdarzyło się, że gdy premier Pawlak jechał przez Poznań, jak to u nas, w silnej obstawie, unieruchamiającej ruch na drodze, karetka pogotowia wiozła na syrenie chorego z objawami zawału. I została zatrzymana. Między lekarzem, który wyskoczył z karetki, i przechodniami a policjantem z Drogówki wywiązał się krótki żołnierski dialog o pierwszeństwo przejazdu. „Ruchowiec” nie ustąpił, tłumacząc się rozkazami BOR-u (Biuro Ochrony Rządu). Karetka musiała poczekać. Na szczęście, pacjent wyżył, co sprawiło, że relacja z tego zdarzenia pozbawiona została odpowiedniej dozy dramatyzmu. Sprawa przycichła bez rozstrzygnięcia. Aż do następnego razu...

Gdyby premier Pawlak miał odrobinę wyobraźni i nie był tak bardzo oddalony od „ludzi na drodze”, gdyby nade wszystko dbał o swoją reputację w szerszym wymiarze — uchyliłby szybki samochodu i kazał przepuścić karetkę. Podobnie — nie zabrałby w rządowej delegacji dwojga swoich małych dzieci na uroczystości pięćdziesięciolecia Bitwy pod Monte Cassino, w sytuacji, kiedy ubogim uczestnikom bitwy odmawiano dofinansowania na podróż z powodu pustki w budżecie. Tych odruchów jednak premier jest pozbawiony. Założę się, że nawet nie orientuje się, ile bez nich stracił. Jak nie orientuje się, ile stracił jego najbliższy współpracownik, minister Strąk, któremu „wrzuciło się” przez nieuwagę 500 tysięcy złotych do skarbonki charytatywnej i który bez skrępowania zażądał, żeby je wyjąć i wrzucił sumę czterokrotnie mniejszą...

Lud Warszawy, niezrównany w humorze, wymyślił na Pawlaka przezwisko „Portret Pamięciowy” — od nazwy zbudowanego z zapamiętanych elementów rysów sztucznego wizerunku osoby poszukiwanej przez policję. Nic lepiej nie oddaje „zaprogramowanego” charakteru tej postaci — jak ten właśnie epitet.

3.

Migawkowy obraz telewizyjny podany w wieczornych Wiadomościach robił wrażenie kadru z surrealistycznego malarstwa: drzewo wyrastające ze szkieletu rozbitego autobusu na tle zielonego pola. A doszło do tego w niezwykle prosty sposób — oto gruchotowi obsługującemu komunikację samochodową krótkiego zasięgu, czyli łączącemu wioskę z wioską, nagle, na prostej drodze, z wielkim hukiem odpadło koło. Kierowca stracił panowanie nad kierownicą i nadział się na cztery metry w głąb. Od razu zginęło trzydzieści osób z tych, którzy stali w przejściu. Przybyły lekarz pogotowia nie wiedział, od kogo zacząć sprawdzać, komu jeszcze serce bije.

Śledztwo wykazało, że przyczyną wypadku był, zarówno katastrofalny stan pojazdu, jak również katastrofalne przeciążenie pasażerami. Zamiast czterdziestu paru osób, jechało około stu. Jak zwykle.

Cała Polska wie, że do tego typu komunikacji wsiada tylu ludzi, ilu zdoła się wcisnąć. Na tych trasach autobus zdarza się raz, dwa razy dziennie, więc każdy desperacko się wpycha. Egzekwowanie przepisowej liczby podróżnych wymagałoby od kierowcy stacjana z pasażerami regularnej bitwy na każdym przystanku, rzecz niewykonalna. Odkąd pamięć moja sięga, zarówno w miastach, jak i poza nimi, jeździło się w PRL-u w zwartych szeregach, nikt się o wygodę i bezpieczeństwo nie trapił. I tak jest do dzisiaj. Zmiana ustroju nic tu nie poprawiła, choć zdawałoby się — powinna, ponieważ w związku z wolnym rynkiem monopol państwowy został przerwany. Wystarczyłoby, po prostu, wzmóc kontrole techniczne pojazdów dopuszczanych do ruchu i wystarczyłoby stworzyć korzystne warunki dla przewoźników prywatnych, żeby taboru przybyło. Sprawa operacyjnie prosta i nie wymagająca wielkich nakładów. Nic takiego jednak się nie dzieje.

Katastrofa, o której mowa, jest tego dowodem. Nie jest ona bowiem ceną płaconą za postęp, za rozwój motoryzacji,

jak bywa na Zachodzie, ale jest wynikiem zwykłego bałaganu. Ponieważ wypadek zdarzył się w opłotkach Gdańska, w mieście ogłoszono żałobę, arcybiskup odprawił uroczystą mszę w Katedrze Oliwskiej z udziałem pana prezydenta wraz z małżonką. Przez jakiś jeszcze czas telewizja donosiła o kolejnej ofierze wypadku umierającej w szpitalu. No i przychodziło. Aż do następnego razu...

Śmierciom w wojnach domowych, których dzięki telewizji jesteśmy świadkami, zapobiec trudno. Składają się na nie bowiem nawarstwiane od wieków i od wieków tłumione krzywdy i nienawiści. Nam takie śmierci nie grożą. Polacy bić się ze sobą, nie biją. Nienawidzą się bez utaczania sobie żywej krwi. Jesteśmy z tego dumni. Przypisujemy ten fakt naszej tolerancji i naszemu humanitaryzmowi. Wydaje mi się, że nie jest to cała prawda. Zaryzykuję twierdzenie, że niechęć która nie pozwala posunąć się Polakowi do działań gwałtownych ma pewne podobieństwo do tego, iż nie potrafimy zapobiec śmierciom tysiącrotnie łatwiejszym do zapobieżenia, takim, na przykład, jak wyżej opisana. Tym wspólnym mianownikiem jest nasz społeczny niedowład.

Dzieje się tak, zarówno wtedy, kiedy bezmyślnie urywamy sobie odrobinę z „postawu sukna” Rzeczypospolitej, zarówno wtedy, kiedy tylko pokrzykujemy na siebie „zza płota” i zarówno wtedy, kiedy nie potrafimy wdrożyć w życie prostych działań *pro publico bono*.

maj 1994

Ewa BERBERYUSZ

Sprawy i troski

Komentarze do czarno-białej historii

O nieodpłatnych dostawach węgla i umorzonych kredytach

W polskiej publicystyce i polityce nie od dziś występuje silna tendencja do krańcowych, albo czarnych, albo białych ocen przeszłości. W ślad za tym każda rządząca ekipa z reguły przedstawia w idealistycznym świetle swoje (często bardzo wątpliwe, albo nawet fatalne) dokonania, natomiast nie pozostawia suchej nitki na swoich poprzednikach. Wystarczy przypomnieć, jak surowo — w okresie międzywojennym — piłsudczycy oceniali wcześniejsze rządy ugrupowań narodowych, czy ludowych, jak w czasie wojny rządy londyńskie odnosiły się do piłsudczyków, jak — po wojnie — rządy komunistyczne nie szczędziły najsurowszych krytyk pod adresem rządów okresu międzywojennego, jak wreszcie — w latach ostatnich — różne ekipy solidarnościowe wydawały mniej lub więcej miążdzące oceny wyników gospodarki rządów komunistycznych.

Praktyka gloryfikowania własnych osiągnięć i bezwzględnego negowania jakichkolwiek zasług poprzedników jest świadectwem naiwności i niskiej klasy polityków, ale nie tylko. Może ona przynosić ogromne szkody społeczeństwu, przyczyniając się do tworzenia w nim sztucznych podziałów i konfliktów, osłabiając sprawność aparatu państwowego, prowadząc do paraliżu państwa i degradacji gospodarki.

Dlatego sądzę, że czasem warto sięgnąć do przeszłości, aby przekonać się, że nawet w okresie rządów komunistycznych — w niełatwych ówczesnych warunkach — politycy potrafili w stosunkach z potężnym wschodnim sąsiadem sku-

tecnie bronić interesów kraju, a przy tym, co warto podkreślić, spotykali się czasami ze strony tego sąsiada z pozytywnym odzewem.

Historia o której tu piszę jest raczej mało znana, gdyż dotyczy sprawy specjalnych dostaw węgla z Polski do ZSSR w latach 1946-1953, której nagłaśnianie przypuszczalnie rządy obu krajów uważały za niepożądane. Istotne informacje dotyczące tych dostaw zamieścił Henryk Różański w swojej książce „Śladem wspomnień i dokumentów (1943-1948)” (P.W.N., Warszawa 1988).

W obszernej, bo liczącej 560 stron pracy, Autor zawarł duże bogactwo informacji o gospodarce Polski i stosunkach z ZSSR w pierwszych latach po wojnie. Są to informacje — można powiedzieć — „z pierwszej ręki”, gdyż Autor, zajmując wówczas szereg odpowiedzialnych stanowisk (m.in. wiceministra przemysłu, dyrektora Biura Ekonomicznego Rady Ministrów, wiceprezesa Centralnego Urzędu Planowania), bezpośrednio uczestniczył w międzypaństwowych rokowaniach, w tym także w rozmowach z udziałem Stalina, Berii, Malenkowa, Żukowa.

W dwóch niewielkich, a bardzo ciekawych fragmentach autor pisze o interesującym nas problemie węgla. W układach poczdamskich ustalono, że Polska, obok innych aliantów, otrzyma odszkodowania wojenne od Niemiec, przy czym z ogólnej puli przypadającej łącznie na ZSSR i Polskę zostanie wydzielona część dla Polski. Wkrótce po zakończeniu konferencji poczdamskiej wyjechała do Moskwy polska delegacja celem zawarcia umowy w sprawie reparacji (a także traktatu o polsko-sowieckiej granicy). Negocjacje były prowadzone na najwyższym szczeblu. Uczestniczyli w nich m.in.: ze strony Polski — B. Bierut, E. Osóbka-Morawski, S. Mikołajczyk i H. Minc; ze strony ZSSR — J. Stalin, W. Mołotow, A. Wyszynski i W. Lebediew. H. Różański nie brał udziału w pierwszej, decydującej, fazie rozmów, lecz został o ich przebiegu dokładnie poinformowany przez H. Minca, gdy otrzymał zadanie uczestniczenia w opracowaniu i uzgodnieniu tekstu umowy.

Relacjonując rozmowy, Minc podkreślił ich nieoczekiwany dla polskiej strony przebieg, gdy strona sowiecka wysunęła postulat utworzenia na Dolnym Śląsku wspólnych polsko-sowieckich przedsięwzięć eksploatacji węgla kamiennego z założeniem, że połowa ich produkcji będzie przeznaczona dla sowieckiej strefy okupacyjnej Niemiec. Gdy strona polska zgłosiła do tej propozycji zastrzeżenia (uzasadniając,

że byłaby ona źle przyjęta przez społeczeństwo), wówczas Stalin zaproponował, by Polacy — zamiast udziałów — zapewnili Związkowi Sowieckiemu stałe dostawy węgla w wysokości połowy produkcji dolnośląskich kopalń, czyli ok. 13 mln ton rocznie. Strona polska była zaskoczona (wg relacji Minca) tego typu propozycjami i w pewnym momencie wyraziła nawet gotowość rezygnacji z odszkodowań i jednoczesnego odstąpienia od dostaw węgla. Na to z kolei nie chciał się zgodzić Stalin, uważając, że to mogłoby narazić ZSSR na zarzut ze strony państw zachodnich, że nie dotrzymuje zobowiązań uzgodnionych w Poczdamie. Ostatecznie uzgodniono, że udział Polski w odszkodowaniach otrzymywanych przez oba kraje wyniesie 15%, a natomiast dostawy węgla z Polski do ZSSR wyniosą: 8 mln ton w pierwszym roku dostaw, po 13 mln ton przez następne cztery lata i po 12 mln ton rocznie w dalszych latach do czasu zakończenia okupacji Niemiec.

Oczywiście kluczowe znaczenie miała cena, po której ów węgiel miał być dostarczany. Wg Różańskiego Polacy odrzucili propozycję ceny równej połowie kosztów wydobycia, pragnąc uniknąć sytuacji, w których kontrolerzy sowieccy musieliby być dopuszczani do oceny prawidłowości kontroli kosztów w kopalniach. Wówczas, jak pisze Różański, Stalin zapytał Mikojana o cenę węgla w Niemczech w 1938 r. i oświadczył, że ZSSR będzie płacił połowę tej ceny, to jest 1,22 dol. za tonę (albo 1,16 dol. — Autor zaznacza, że dokładnie nie pamięta ceny ustalonej w odrębnym, tajnym, załączniku do umowy!).

W rzeczywistości sprawa przedstawiała się jednak nieco inaczej. Faktyczna cena, po której był dostarczany węgiel, wynosiła istotnie 1,22 dol. za tonę. Przy tym było jednak stwierdzone, że Polska dostarcza węgiel nieodpłatnie, a suma 1,22 dol. stanowi zwrot kosztów transportu kolejowego 1 tony węgla od kopalni do granicy polsko-sowieckiej. W świetle tak uściślonych warunków cenowych jeszcze wyraźniej rysuje się ciężar, jaki stanowiły te dostawy węgla, dla dźwigającej się ze zniszczeń wojennych polskiej gospodarki. W tych latach węgiel i koks stanowiły prawie połowę ogólnej wartości polskiego eksportu, a uzgodniona ilość 13 mln ton reprezen-

1. Umowa z 16 sierpnia 1945 r. między Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej R.P. i Rządem Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich w sprawie wynagrodzenia szkód wyrządzonych przez okupację niemiecką.

towała ok. połowy ogólnej ilości eksportowanego wówczas z Polski węgla. Róžański nie pisze wyraźnie, jakie mogło być uzasadnienie akceptacji przez Polskę tak ciężkiego zobowiązania. Zamieszcza jednak charakterystyczną wzmiankę, iż wysuwając ten postulat strona sowiecka przypominała, że majątek trwały przejętych przez Polskę ziem zachodnich i północnych ma mniej więcej trzykrotnie większą wartość, niż majątek ziem, które odeszły do ZSSR. Uwaga ta może sugerować, że dostawami węgla usiłowano wyrównać jakiś hipotetyczny bilans strat i korzyści.

Niezależnie jednak od zasadności zobowiązania, okazało się ono dla strony polskiej niezwykle trudne do wykonania, z czego przypuszczalnie nie zdawano sobie sprawy w momencie zawierania umowy. Dlatego już w lutym 1947 r. Polska wystąpiła z postulatem obniżenia wielkości dostaw i urealnienia ceny węgla. Argumentacja H. Minca, iż aktualna wartość (wg cen światowych) eksportowanego węgla przewyższa wartość otrzymywanych przez Polskę reparacji, musiała być przekonująca dla Stalina. W rezultacie zgodził się on na zmniejszenie do połowy dostaw węgla przy jednoczesnym obniżeniu do połowy otrzymywanych przez Polskę reparacji, ale nie wyraził zgody na urealnienie cen. Wydatne obniżenie dostaw węgla było dla Polski bardzo ważne, m.in. ułatwiło zrównoważenie bilansu płatniczego w Planie Trzyletnim (1947-1949). Jednak narzucone Polsce warunki dostaw węgla w ramach umowy reparacyjnej pozostawały zawsze sprawą drażliwą. Jeszcze dwukrotnie Polska do sprawy wracała, spotykając się tym razem w każdym przypadku — co trzeba podkreślić — z pozytywnym odzewem ze strony rządu ZSSR. W rezultacie w 1953 r. dostawy węgla w ramach umowy z 1945 r. zostały całkowicie wstrzymane, a w 1956 r. Polska otrzymała wyrównanie pełnej wartości węgla dostarczonego w latach 1946-1953. Nastąpiło to w drodze anulowania odpowiedniej sumy polskiego zadłużenia wobec ZSSR z tytułu wykorzystanych do dnia 1.11.1956 r. kredytów.

Konsekwencje czarno-białego widzenia zjawisk

Czarno-białe widzenie zjawisk jest — jak była już o tym mowa — konfliktogenne, przy czym z równą energią można toczyć spory w sprawach oceny wydarzeń przeszłości, jak i w odniesieniu do aktualnych kwestii zmian systemowych, polityki gospodarczej, czy opieki socjalnej. Jest oczywiste, że

spory dotyczące spraw aktualnych mają dużo większą wagę, gdyż te spory wpływają na bieżące decyzje, kształtują rzeczywistość w dziedzinie gospodarki, polityki i kultury itd. Jeżeli zaś w tego rodzaju sporach zwykle decydujące znaczenie ma władza, skłonna do widzenia wszystkiego w jasnych barwach, to trzeba powiedzieć, że ów „urzędowy optymizm”, często wspierany serwilizmem i ignorancją, stanowi duże zagrożenie dla pomyślnego rozwoju kraju.

Rozpatrzmy ów problem zagrożenia na dwóch, raczej nietypowych, ale ciekawych przykładach. Opisany przypadek dostaw węgla w ramach umowy reparacyjnej może mieć dziś znaczenie nie tylko historyczne, ale także dydaktyczne. Wskazuje on, jak dalece mogą zmieniać się stosunki między tymi samymi partnerami i jak zawodne może być wnioskowanie tylko na podstawie fragmentarycznych informacji. Na przestrzeni jedenastu lat obserwujemy kolejno: bezwzględny dyktat Stalina w pierwszej umowie; radykalne złagodzenie warunków umowy po niespełna dwóch latach; całkowite wstrzymanie dostaw węgla po dalszych sześciu latach i wreszcie w 1956 r. dokonany przez Chruszczowa zwrot pełnej wartości dokonanych przez Polskę dostaw. Ta ostatnia decyzja miała nie tylko znaczenie symboliczne (uznanie wad umowy z 1945 r.), ale też istotne materialne. Anulowanie spłat kredytów, zaciągniętych m.in. na inwestycje w Planie Sześcioletnim, wydatnie poprawiło równowagę bilansu płatniczego w późniejszych latach.

Z perspektywy czasu na tym przykładzie możemy, być może nawet z pewnym zdziwieniem, przekonać się, że ówczesne rządy polskie w warunkach ograniczonej suwerenności potrafiły jednak w określonych przypadkach nie poddawać się „urzędowemu optymizmowi” i, w oparciu o dobre rozeznanie gospodarczych realiów, skutecznie bronić interesów kraju.

Sięgnijmy teraz do innego przykładu, dotyczącego bardzo niedawnej przeszłości. W 1990 r. rząd polski, świadomy paraliżującego oddziaływania zagranicznego zadłużenia na polską gospodarkę, zaapelował do rządów zachodnich o redukcję polskiego zadłużenia o 80 %. Był to niewątpliwie śmiały krok, gdyż znana jest powszechnie niechęć wierzycieli do skreślania długów. W marcu 1991 r. rząd otrzymał przyrzeczenie redukcji długów o 50 %.

Można było zatem oczekiwać, że wkrótce suma naszego zadłużenia zagranicznego poważnie obniży się. Tymczasem zadłużenie to obniżyło się z 48,5 mld dol. na koniec 1990 r.

do 47 mld na koniec 1993 r., a więc zaledwie o 3%. Wskazuje to, jak długa w stosunkach z zachodnimi krajami może być droga od deklaracji zamierzeń do ich realizacji. Może oczywiście ktoś postawić pytanie dlaczego zachodni wierzyciele mają godzić się na częściowe umorzenie polskich długów, jakie są ku temu podstawy? Ponieważ sprawa wymagałaby jednak obszerniejszych wywodów, na które tu nie ma miejsca, zadowolimy się tylko stwierdzeniem, że takie podstawy istnieją. Kraje wierzycielskie widocznie też je uznają, skoro podejmują w tej sprawie negocjacje.

Przytoczyłem dwa przypadki układów finansowych, które niewiele wydają się mieć ze sobą wspólnego. Ale stanowią one dobry przykład skutków owego czarno-białego widzenia zjawisk, które doprowadza do całkowitego rozchodzenia się obiektywnych ocen zjawisk z ich ocenami przez opinię społeczną. Wyrównanie za dostawy węgla przez ZSSR w 1956 r. było ważnym gestem, który — nawet gdyby był szerzej znany — w opinii społecznej nie byłby doceniony ze względu na tradycyjne (zresztą nie bezpodstawne) uprzedzenia do Rosji. Odwrotnie, długie i zawikłane rokowania w sprawie redukcji zadłużenia wobec państw zachodnich obiektywnie mogą zasługiwać na krytykę, która jednak nie będzie akceptowana ze względu na tradycyjne w społeczeństwie polskim sympatie prozachodnie.

Bez względu na to, jak dalece owe sympatie i antypatie są uzasadnione, pozostają one faktem, który tylko z czasem i powoli może podlegać zmianom. Dlatego tym bardziej ważne jest, aby nie mieszać kryteriów sympatii z kryteriami interesu. Antypatie rosyjskie nie powinny przesłaniać faktu, że z wielu względów Rosja może być dla Polski (i odwrotnie Polska dla Rosji) najkorzystniejszym partnerem gospodarczej współpracy. Podobnie prozachodnie sympatie nie powinny skłaniać do ukrywania, że za „dobre” rady niektórych zachodnich doradców gospodarka będzie płacić wiele lat.

Polska racja stanu i niektóre środki jej realizacji

Wyzwolenie się z nawyków czarno-białego patrzenia na świat i dokonywanie właściwych wyborów dróg postępowania między przesłankami sympatii i antypatii z jednej strony, a wymogami interesu kraju z drugiej, jest sprawą trudną. Rozwiązanie tej sprawy ułatwić może określenie i przestrzeganie polskiej racji stanu. Historia dostaw węgla w ramach umowy

reparacyjnej to mały przykład, jak w warunkach ograniczonej suwerenności ówczesne rządy potrafiły czasem skutecznie walczyć o polską rację stanu. Przeciwstawienie się kolektywizacji rolnictwa to inny, dużo ważniejszy przykład tego typu działalności. Jeżeli to było możliwe w latach czterdziestych, czy pięćdziesiątych, to musi być możliwe i dziś. Tego się jednak nie czyni. Wprost przeciwnie, można odnosić wrażenie, że społeczeństwo i wiele działających w nim sił zmierzają w kierunkach sprzecznych z polską racją stanu, w kierunkach wiodących raczej do katastrofy, niż do pozytywnych rozwiązań.

Dlatego z dotychczasowych rozważań nasuwa się wniosek podstawowy, że wszystkie siły społeczne w swoich programowych poczynaniach powinny orientować się na realizowanie polskiej racji stanu. Jak można rozumieć i jak realizować ów postulat najlepiej jest zilustrować przy pomocy kilku wybranych przykładów.

W GOSPODARCE trzeba dążyć do ustanowienia zasad gospodarowania ogólnie stosowanych w krajach gospodarki rynkowej. To znaczy, że rząd odpowiada za politykę gospodarczą państwa; organy terenowe odpowiadają za gospodarkę województw i gmin; właściciel (prywatny lub publiczny) przedsiębiorstwa odpowiada za gospodarkę przedsiębiorstwa.

Jest rzeczą niedopuszczalną, aby związki zawodowe, pod pozorem ochrony interesów pracujących, ingerowały — często z naruszeniem obowiązującego prawa — w prace rządu, organów terenowych lub przedsiębiorstw, doprowadzając do paraliżu państwa i gospodarki. W ten sposób, związki zawodowe, zamiast chronić pracujących, przyczyniają się do ich wydatnego zubożenia.

Celem prywatyzacji jest podniesienie sprawności zarządzania w całej gospodarce i tą drogą podnoszenie dochodów pracujących, a nie uwłaszczanie pracowników poszczególnych zakładów, co musi prowadzić nieuchronnie do uprzywilejowania jednych grup pracowników, kosztem innych. Trzeba prywatyzować przedsiębiorstwa, pamiętając jednak, że szybka prywatyzacja zamiast szkołą gospodarności, staje się sztuką wzajemnego okradania się. Zwolennicy szybkiej prywatyzacji odziedziczyli po socjalizmie wiarę w moc dekretów i nie baczą nawet na to, że łatwiej jest przedsiębiorstwo znacjonalizować na rzecz państwa, niż sprywatyzować na rzecz dużej liczby niezależnych podmiotów. Nawet pozornie prosta metoda rozdziału części akcji między pracowników musi budzić zastrzeżenia z punktu widzenia sprawiedliwości, gdy

los jednemu daje udział w potężnym kapitałochłonnym obiekcie, np. elektrowni, a drugiemu w zdezelowanej fabryce lemoniady.

W POLITYCE ZAGRANICZNEJ trzeba poszukiwać możliwie dużej niezależności. Gdy zakończenie zimnej wojny nie doprowadziło do zwiększenia poczucia bezpieczeństwa w Europie i na świecie, ale przeciwnie to poczucie wydatnie zmniejsza się w związku z pojawiającymi się coraz to nowymi konfliktami zbrojnymi, sprawa polityki zagranicznej staje się szczególnie skomplikowana, delikatna i kontrowersyjna. Położenie geograficzne Polski, które od wieków sprawiało nam kłopoty, dziś wymaga szczególnej rozwagi, gdy każdy zawierany sojusz, czy pakt, od razu rodzi pytania: z kim, przeciw komu, w jakim celu?

W POLITYCE WEWNĘTRZNEJ realizowanie polskiej racji stanu wydaje się zadaniem najtrudniejszym. Wymaga ono bowiem, ni mniej ni więcej, tylko stworzenia warunków, w których demokratyczna władza będzie zdolna do kierowania państwem. W tej chwili powstała sytuacja, w której trudno wyobrazić sobie grupę lub grupy polityczne, które mogłyby objąć władzę i ją skutecznie sprawować. Trudno to sobie wyobrazić, jeżeli, jak pisze Adam Michnik („Polak w trakcie szkody”, *Gazeta Wyborcza*, nr 96 z 23-24 kwietnia 1994): „na polskiej scenie politycznej dominuje dziś klimat wojny wszystkich ze wszystkimi, atmosfera pomieszania języków. Ugrupowania nie szukają kompromisów i konsensusu. Polscy politycy nie rozmawiają ze sobą. Słychać wrzaski i monologi, intrygi i oskarżenia, ale nie słychać debaty”. Tę diagnozę zaś dobrze uzupełniają szeroko dyskutowane w prasie rozważania Jacka Żakowskiego o przeżywanym przez Polskę kryzysie etycznym państwa („Coś w Polsce pękło, coś się skończyło”, *Gazeta Wyborcza*, nr 89 z 16-17 kwietnia 1994).

Autorzy w dwóch obszernych artykułach kreślą pesymistyczny, pełen obaw, obraz polskiej rzeczywistości. Natomiast nie dają żadnych realistycznych wskazań, jak wyjść z tej raczej beznadziejnej sytuacji. J. Żakowski wspomina nostalgicznie ludzi — opoki (Wałęsa, Mazowiecki, Bujak, Geremek) „...razem niosący w sobie kapitał ledwie zaczętej etycznej rewolucji, która się skończyła z wielką wojną na górze”, ale nie sięga do przyszłości. Inaczej A. Michnik, który zajmuje się przeszłością, ale rozwiązanie widzi dość wąsko w zjednoczeniu Unii Demokratycznej i Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Niezależnie jednak od wątpliwej skuteczności połączenia tych dwóch partii, trzeba zauważyć, że rozwiązania

polskich problemów trzeba szukać w rozstrzygnięciach spraw merytorycznych. Takich propozycji u obu publicystów brak, a przecież bez szerszej dyskusji trudno będzie przewyciężyć szerszą się anarchię i korupcję, paraliż władzy i bezwład gospodarczy, upadek etyki i pospolitą przestępczość.

Od publicystów nie oczekujemy programów, bo ich przygotowanie i uchwalenie jest zadaniem rządu i parlamentu. Ale od publicystów możemy oczekiwać propozycji rozwiązań zasadniczych dylematów stojących przed państwem i gospodarką, rozwiązań, które w tych programach powinny znaleźć swoje miejsce.

12.05.1994

Stanisław POLACZEK

Pisarze emigracyjni w pracach doktorskich i magisterskich w Polsce

W połowie lipca 1993 roku przygotowaliśmy i rozesłali do polskich szkół wyższych ankietę z prośbą o sporządzenie wykazu prac magisterskich i doktorskich z następujących tematów:

1. Polska emigracja wojenna i powojenna;
2. Instytut Literacki i „Kultura”;
3. Krąg pisarzy i publicystów związanych z „Kulturą”.

Przez wiele lat Instytut Literacki, pomimo trudności administracyjnych i zakazów cenzury, wysyłał bezpłatnie — jednakże kosztem dużych nakładów finansowych — na adresy bibliotek uniwersyteckich i szkół wyższych wydawnictwa własne i innych oficyn emigracyjnych. Wysyłane do Polski książki i pisma, o ile nie zginęły na poczcie, zapadały w magazyny biblioteczne, lecz były dostępne dla pracowników naukowych i niemal zawsze, po spełnieniu proceduralnych warunków, dla studentów piszących prace magisterskie. Dla wielu z nich, aż do momentu pojawienia się pod koniec lat 70-tych wydawnictw podziemnych, była to jedyna szansa do-

tarcia do książek napisanych i wydanych poza granicami kraju. Nigdy tak naprawdę nie było wiadomo, jaka część tych wysylek dociera do adresata i jak liczne grono osób korzysta z przemyconych w ten sposób do Polski książek. Spodziewaliśmy się zatem odpowiedzi na tak sformułowane pytanie; zebrany materiał w tym wypadku nie pozwala jednak na jednoznaczną ocenę.

Podstawowym zadaniem ankiety było zebranie informacji bibliograficznych na wymienione tematy. Chodziło nam też raczej o stwierdzenie faktów niż o ich komentowanie czy tłumaczenie; dlatego w zestawieniach znalazły się zarówno prace ambitne — sądząc po tytułach — jak i mało wartościowe opracowania o charakterze ideologicznym. W kwestionariuszu ankiety nie wyrażano prośby o ocenę poszczególnych prac czy choćby informację o opinii recenzentów. Nacisk położyliśmy na pisarzy, a nie na poszczególne ich utwory, co pozwoliło zauważyć kilkadziesiąt prac poświęconych wczesnej twórczości Gombrowicza, Miłosza czy Hłaski.

Ankieta objęła 20 polskich wyższych uczelni o profilu humanistyczno-społecznym, tj. Uniwersytety: Jagielloński (UJ), Warszawski (UW), Warszawski — filia w Białymstoku (UW-B), Katolicki Uniwersytet Lubelski (KUL), Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (UMCS), Adama Mickiewicza w Poznaniu (UAM), Wrocławski (UWr.), Łódzki (UŁ), Gdański (UG), Szczeciński (US), Śląski (UŚl.), Mikołaja Kopernika w Toruniu (UMK) i Wyższe Szkoły Pedagogiczne w: Bydgoszczy (B), Opolu (O), Olsztynie (Ol.), Krakowie (K), Rzeszowie (R), Słupsku (S), Kielcach (Kl.), Zielonej Górze (Z). Leżące w kręgu naszego zainteresowania Akademia Nauk Społecznych PZPR, Akademia Spraw Wewnętrznych i Wojskowa Akademia Polityczna w roku 1993 już nie istniały i trudno było odnaleźć właściwego adresata dla listów. Niemniej, dzięki pomocy Jacka Krawczyka, sprawującego opiekę nad biblioteką Instytutu Literackiego, uzyskaliśmy informacje o kilku pracach magisterskich powstałych na tych uczelniach.

ODPOWIEDZI

Uzyskaliśmy 15 odpowiedzi, w tym list z KUL-u (z 2.VIII.ub.r.), w którym poinformowano nas, że „trwa właśnie wpisywanie kart katalogowych z opisem prac magisterskich, licencjackich, doktorskich i habilitacyjnych do komputera. Pra-

ca ma być ukończona w roku akad. 1993/94. Dopiero wówczas będziemy mogli spełnić Pani życzenie”. Skądinąd wiadomo, że na KUL-u wcześniej zainteresowano się twórczością polskich pisarzy przebywających poza krajem, ale pomimo stosunkowo dużego marginesu wolności w badaniach naukowych i swobody dyskusji, literatura emigracyjna i dzieje emigracji politycznej nie znalazły, z przyczyn cenzuralnych, wyrazu w publikacjach oraz badaniach podstawowych. Twórczość ta weszła w krąg zainteresowania pracowników nauki dopiero na początku lat 80-tych, po przyznaniu Literackiej Nagrody Nobla Czesławowi Miłoszowi.

Znakomita większość odpowiedzi wpłynęła do końca 1993 roku; licząc na kwerendę z KUL-u opóźniliśmy moment zamknięcia ankiety do połowy czerwca br. Mimo to obiecany wykaz nie nadszedł.

Na powtórnie wysłaną w kwietniu br. prośbę do Biblioteki Jagiellońskiej otrzymaliśmy informację, że wśród zgromadzonych w Oddziale Rękopisów BJ rozpraw doktorskich żadna nie dotyczy interesujących nas tematów, natomiast Archiwum UJ odpowiedziało, że prace magisterskie przechowywane są skatalogowane do roku 1975 i interesujące nas zagadnienia nie były w tym okresie podejmowane w badaniach naukowych. Kwerenda w zbiorach nieuporządkowanych przekracza możliwości pracowników Archiwum i może być wykonana jedynie na „zlecenie odpłatne”. Brak informacji o pracach magisterskich broniących na KUL-u i UJ jest poważnym mankamentem ankiety. Kwerendę w Archiwum UMK wykonaliśmy sami.

Do czerwca bieżącego roku nie napłynęły odpowiedzi z uniwersytetów w Katowicach i Szczecinie oraz szkół pedagogicznych ze Słupska, Zielonej Góry i Kielc.

Nadesłane wykazy zawierają dane o 338 pracach magisterskich i doktorskich broniących między 1961 a 1993 rokiem. Po opuszczeniu 16, których tematyka wykraczała poza określone w ankiecie zagadnienia (np. emigracja zarobkowa, powieści wojenne i powojenne K. Pruszyńskiego czy twórczość Jacka [!] Bocheńskiego zostały 322 prace. Do końca 1981 roku ukazało się 60 rozpraw, w latach 1982–1989 — 141, a po 1990 — 122.

SZKOŁY WYŻSZE

- UW — Wydział Polonistyki: 2 prace doktorskie i 48 pr. magisterskich z lat 1967–1992.
Wydz. Filozofii i Socjologii: 6 pr. mag. 1968–1988.
Wydz. Dziennikarstwa i Nauk Politycznych: 2 pr. mag. 1978, 1982.
Wydz. Historyczny: 3 pr. mag. 1968–1992.
Najwcześniejsze prace dotyczą przedwojennej twórczości Gombrowicza i „Ocalenia” Miłosza. W latach 1969–1981 nie przygotowano żadnej pracy na powyższe tematy, poza magisterium na Wydz. Nauk Politycznych dotyczącym „wojny psychologicznej imperializmu”.
- UAM — Polonistyka: 24 pr. mag. 1973–1988. Brak prac doktorskich.
Praca z 1973 roku poświęcona jest opowiadaniom M. Hłaski. Do roku 1981 podejmowano interesujące tematy 7-krotnie (Hłasko — 3, Gombrowicz — 4).
- UMCS — Polonistyka: 1 pr. doktorska — „Składnia prozy W. Gombrowicza” (1989).
Obiecany spis prac magisterskich nie wpłynął.
- UMK — Polonistyka: 1 doktorat (twórczość S. Vincenza), 48 pr. mag. z lat 1976–1991. Najwcześniejsze prace z lat 1977–1981 dotyczą twórczości Mrożka, Gombrowicza, Czuchnowskiego, Hłaski, Cata-Mackiewiczza.
- UŁ — Brak prac doktorskich na wskazane tematy.
Fil. Pol.: 43 pr. mag. z lat 1961–1993. Najwcześniejsze prace dotyczą: „Pętli” M. Hłaski (1965), przedwojennych książek W. Gombrowicza (1961, 1968, 1973, 1977), Wierzyńskiego.
- UWr. — Polonistyka: 1 doktorat. Obiecany spis pr. mag. nie wpłynął. Inst. Nauk Politycznych: 1 doktorat (działalność ośrodków dywersyjnych), 4 pr. mag. 1982–1991.
- UG — Brak prac doktorskich. Filologia Pol.: 26 pr. mag. Historia: 3 pr. mag. 1971–1993.
Praca z 1971 roku: „Gombrowicz. Forma albo rzecz o tyranii”. Do roku 1981 obroniono ponadto 3 prace historyczne dotyczące przedwojennego okresu działalności Jerzego Giedroycia oraz

- prace polonistyczne poświęcone twórczości Hłaski (1) i Gombrowicza (3).
- UW-B — Brak prac doktorskich. Fil. Pol.: 19 pr. mag. (1980) 1986–1992. Praca z 1980 roku dotyczy twórczości Gombrowicza.
- B — Brak uprawnień do doktoryzowania. Filologia: 12 pr. mag. Rusycystyka i Bibliotekoznawstwo po: 1 pr. mag. 1981–1992.
Praca z 1981 roku: „Zarys twórczości Cz. Miłosza”.
- O — Brak prac doktorskich na wskazane tematy. Fil. Polska: 17 pr. mag. 1979–1991. Praca z 1979 roku dotyczy twórczości W. Gombrowicza w krytyce i badaniach literackich PRL-u.
- Ol. — Brak prac doktorskich. Fil. Pol.: 7 pr. mag. 1982–1991.
- K — Brak prac doktorskich. Fil. Pol.: 28 pr. mag. 1968–1991.
Przesłany zestaw prac dotyczy wyłącznie Gombrowicza (9), Hłaski (7), Miłosza (9) i Tyrmanda (2). Prace z lat 60-tych poświęcone są twórczości Gombrowicza w XX-leciu międzywojennym (1968, 1969). Do roku 1981 obroniono ponadto 2 prace o twórczości Hłaski.
- R — Brak prac doktorskich. Fil. Pol.: 27 pr. mag. 1990–1993.
Szczególnie dużo prac poświęconych jest twórczości K. Wierzyńskiego.

WYNIKI ANKIETY

Pytanie 1.

Otrzymałmy 1 odpowiedź. Jest to praca magisterska M. Rysińskiego „Główne ośrodki polskiej emigracji politycznej i ich działalność w latach 1954–1960” obroniona w 1969 roku na Wydziale Filozofii i Socjologii UW.

Pytanie 2.

Otrzymałmy 7 odpowiedzi. Dzięki pomocy Jacka Krawczyka mogliśmy je uzupełnić o informacje na temat 3 prac bronionych na uczelniach, które nie zechciały bądź nie mogły wziąć udziału w ankiecie. Udało się zarejestrować jedną pracę

magisterską poświęconą działalności wydawniczej Instytutu Literackiego. Jest to magisterium obronione w Katedrze Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej UJ w 1993 roku przez Krzysztofa Jaśkę, które jednak nie wyczerpuje tematu. Jest to też jedyna obiektywna praca na ten temat. Pozostałe wykazują szczególną predylekcję do przeceniania udziału finansowego amerykańskich służb wywiadowczych w dotowaniu działalności wydawniczej Instytutu Literackiego. Dwie z nich przygotowano na Wydziale Filozofii i Socjologii UW: D. Kobielski „Juliusz Mieroszewski i 'Kultura'” (1971); J. Wykrętowicz „Miesięcznik paryski 'Kultura' wobec wydarzeń politycznych w Polsce w latach 1966–1970” (1971), a jedną na wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych tegoż uniwersytetu: M. Góra „Paryska 'Kultura' — ogniwo wojny psychologicznej imperializmu” (1978). Prace Kobielskiego i Wykrętowicza drukowane były w 1971 roku w wydawnictwach propagandowych KC PZPR, a M. Góry w czasopiśmie *Perspektywy*.

W Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Wrocławskiego powstały trzy magisteria dotyczące omawianego zagadnienia. Pierwsza z nich, W. Palejki „Dywersja ideologiczno-polityczna Zachodu wobec Polski na przykładzie funkcjonowania ośrodka paryskiej KULTURY”, przygotowana w 1982 roku, nosi wszelkie znamiona czasu. Dwie następne bronione były po roku 1990: A. Boduch „Emigracja i Kraj w eseistyce politycznej Juliusza Mieroszewskiego w latach 1950–1964” oraz A. Kamińska: „Kryzys lat 1980–1981 w świadomości intelektualistów polskich na podstawie 'Kultury' paryskiej”.

Dwie prace magisterskie przygotowali absolwenci Akademii Spraw Wewnętrznych: są to K. Czapki „Propagandowe metody dywersyjnej działalności paryskiej 'Kultury'” (1981) oraz E. Czuchnowskiego „Oddziaływanie 'Kultury' paryskiej na środowisko intelektualne Warszawy w latach 1964–1969” (1969). W Akademii Nauk Społecznych PZPR obroniony został w 1985 doktorat Józefa Rudnickiego pt. „Kształtowanie się ośrodka dywersji ideologicznej w Paryskiej [!] 'Kulturze' w latach 1947–1971”.

Pytanie 3.

Otrzymałmy 303 odpowiedzi.

Gombrowicz — ogółem zarejestrowano 88 prac (UŁ — 23, UW — 20, K — 9, UG — 7, UAM — 7, UMK — 6, pozostałe uczelnie od 1 do 5); w tym 37 dotyczących całej twórczości, 16 — „Dziennika”, 15 — „Ferdynand” i twórczości przedwojennej, 7 — „Trans-Atlantyku”, 4 — „Operetki”, po 3 — „Ślubu” i „Porno-grafii”, 2 — „Kosmosu” i 1 — „Opętanych”.

Przy tak znacznej liczbie prac podejmowanych głównie w latach 80-tych łatwo o podobieństwo tematów. W 1982 roku na polonistyce UW Andrzej Grembrowicz bronił pracę pt. „Zjawisko zwielokrotnionego ataku prasowego na podstawie analizy statystyczno-prasoznawczej kampanii antygombrowiczowskiej w r. 1963”; w tymże samym 1982 roku na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW Alicja Grembrowicz przedstawiła pracę „Granice dozwolonej krytyki a atak na Gombrowicza w prasie polskiej w 1963 r.”

Wyraźny jest również brak odniesienia do twórczości innych pisarzy emigracyjnych (poza Miłoszem i sporadycznie Lechoniem).

Miłosz — ogółem zarejestrowano 83 prace (UW — 15, UŁ — 12, UG — 10, K — 9, B — 9, UMK — 7, UW-B — 7, R — 7, pozostałe uczelnie od 1 do 6) w tym 23 dotyczące całej twórczości pisarza, 22 — dotyczące poezji emigracyjnej, 16 — powieści (w tym tylko raz wyraźnie zaznaczono w tytule „Zdobycie władzy”), 12 — eseistyki (w tym głównie „Rodzinnej Europy”), 7 — twórczości do roku 1950, 3 — przekładów z Biblii.

Znakomita większość prac przygotowana została w latach 1986–1993, ale podobnie jak w wypadku twórczości Gombrowicza autorzy nie silą się na oryginalność podejmując tematy opracowane wcześniej lub równocześnie nawet na tej samej uczelni, np. na WSP w Krakowie w 1988 broniono pracę: „Czesław Miłosz: od katastrofizmu do klasycyzmu” oraz „Katastrofizm w poezji Czesława Miłosza”. Na uwagę zasługują dwie z zanotowanych prac „Recepcja twórczości Czesława Miłosza w X–XII. 1980 r. w prasie polskiej” (1991) oraz wczesne studium Alicji Kuczyńskiej „O poezji Czesława Miłosza” obronione na UMK w 1977 roku.

Hłasko — ogółem zarejestrowano 50 prac (UAM — 8, K — 7, UW — 6, P — 6, w pozostałych uczelniach od 1 do 4).

Twórczość pisarza była badana bardzo często przed rokiem 1980, ale analiza tytułów pozwala przypuszczać, że dotyczyło to książek wydanych do roku 1958 — głównie opowiadania „Pętla”. Żaden z późniejszych utworów Hłaski nie jest wzmiankowany w tytułach prac magisterskich.

Herling-Grudziński — zarejestrowano ogółem 24 prace (UW — 6, UMK — 5, R — 5, w pozostałych uczelniach od 1 do 2).

Większość z nich odnosi się do całej twórczości pisarza; w 5 wypadkach omawiany jest „Inny świat”.

Pozostali pisarze emigracyjni współpracujący z „Kulturą” cieszyli się znacznie mniejszym zainteresowaniem badaczy.

Znakomita większość prac badawczych odnoszących się do osób, które wydały książki przed opuszczeniem kraju, dotyczy tej właśnie wczesnej ich twórczości. Poniższe zestawienie jest jednak siłą rzeczy szacunkowe ze względów podanych wyżej:

Wierzyński (18 — głównie twórczość przedwojenna), Tyrmand (10 — w tym głównie powieść „Zły”), Czapski (7), Kołakowski (5), J. Stempowski (4), Czuchnowski (4), J. Mackiewicz (3), Mioszowski (3), S. Vincenz (3).

Pozostali pisarze: Z. Romanowiczowa, Cz. Straszewicz, S. Barańczak, A. Wat, J. Wittlin, M. Czapska, S. Piasecki, M. Danilewicz Zielińska, J. Łobodowski, Z. Herbert, D. Mostwin, J. Pietrkiewicz — od 1 do 2. Zarejestrowano też jedną pracę poświęconą twórczości Solżenicyna.

Badania komparatystyczne, jedno z najważniejszych we współczesnej nauce, są rzadkością; świadczą o niskim poziomie nauczania i niewielkich wymaganiach stawianych studentom.

Z ponad 300 prac tylko w 20 przypadkach mamy do czynienia z badaniami porównawczymi.

Twórczość Marka Hłaski zestawiana jest najczęściej z książkami Tadeusza Konwickiego lub zamiennie M. Nowakowskiego, A. Brychta i J. Głowackiego. Z T. Konwickim porównywana jest też proza Czesława Miłosza. W jednym wypadku „Zdobycie władzy” Miłosza stawiane jest w opozycji do „Popiołu i diamentu” Andrzejewskiego. Miłosz-poeta występuje najczęściej w zestawieniu z Watem, Barańczakiem lub Różewiczem.

Twórczość Gombrowicza badana jest najczęściej oddzielnie; w kilku wypadkach autorzy prac magisterskich szukają

paralel z dorobkiem Miłosza (dialog o poezji lub „tradycja romantyczna”), Dygata lub Gogola. Natomiast „Dziennik” Gombrowicza funkcjonuje wyłącznie w zestawieniu z diarystyką Herlinga-Grudzińskiego lub Lechonia.

Najbardziej schematycznie traktowana jest twórczość Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, którego „Inny świat” przeciwstawiany jest niemal wyłącznie prozie obozowej Tadeusza Borowskiego.

Wyniki ankiety pozwalają obalić mit „modnego Miłosza”. Powszechnie przyjmuje się, że Literacka Nagroda Nobla w 1980 roku stworzyła swego rodzaju modę na pisanie o Miłoszu i jego poezji. Warunki były ku temu wyjątkowo sprzyjające; do końca 1981 roku ukazały się poza cenzurą wszystkie książki autora „Zniewolonego umysłu”, a w wydawnictwie oficjalnym wyszedł obszerny wybór poezji. Zebrany materiał nie potwierdza tych przypuszczeń; w latach 1982–1984 obroniono zaledwie 6 prac związanych z twórczością Czesława Miłosza, z których na uwagę zasługują dwie:

D. Wrzecionkowskiej „Polemika W. Gombrowicza i Cz. Miłosza wokół tradycji romantycznej” (UW — 1982) oraz B. Czeczki „Recepcja twórczości Miłosza w Polsce w latach 1945–1982” (B — 1983).

WNIOSKI

Wypada zauważyć, że istnieje pewna zbieżność między rozpiętością tematyczną prac podejmowanych na wyższych uczelniach w kraju a zainteresowaniem czytelników książki polskiej na emigracji. Z przeprowadzonej pod koniec lat 60-tych przez *Kulturę* ankiety wynika, że największym zainteresowaniem cieszyły się książki M. Hłaski, J. Mackiewicza, W. Gombrowicza, Cz. Miłosza i M. Hemara. Pomijając twórczość Józefa Mackiewicza predylekcje są zbliżone.

„Literatura emigracyjna czy emigracja ogólnie rzecz biorąc nie miały szczęścia do pisarzy krajowych” — pisał w *Kulturze* Leszek Szaruga. Opinia ta w świetle niniejszej ankiety nabiera nowego znaczenia.

W latach 60- i 70-tych nazwiska redaktorów paryskiej *Kultury* pojawiały się na łamach prasy niemal wyłącznie przy okazji przełomów ideologicznych lub głośnych pokazowych procesów politycznych np. „taterników”. Mówiąc o emigracji operowano ogólnikami i jakże często propagandowymi fraze-

sami. Tymczasem, aby zrozumieć emigrację potrzebna była wiedza o niej dostępna w oficjalnych publikacjach, a władza w Polsce dbała o to, by informacje na temat kultury polskiej na obczyźnie były jak najbardziej skąpe. Podejmowanie badań nad emigracją wymagało odwagi i koniecznego zaangażowania, a w sytuacji gdy statutowy obowiązek nakazywał pracownikom nauki, by „kształcili i wychowywali młodzież na ideałach i światłych obywateli PRL oddanych sprawie socjalizmu”, gdy w imię „obrony socjalizmu” Gomułka w 1959 roku oświadczył, że nie będzie dopuszczał do publikacji „prac pseudonaukowych, pisanych z pozycji wrogości do socjalizmu” (*Nowe Drogi* 4/1959 s. 75) — niemożliwe były nie tylko jakiegokolwiek obiektywne publikacje naukowe dotyczące emigracji, ale nawet drobne prace badawcze podejmowane być musiały w ramach programów poświęconych innym zagadnieniom, np. literaturze XX-lecia międzywojennego.

Na swobodę dyskusji pozwolić sobie mógł jedynie KUL, gdzie studenci stykali się z problemami, zagadnieniami i zjawiskami oficjalnie nie istniejącymi w programach nauczania. Kiedy w 1954 roku ogłoszono ogólnopolski (obowiązkowy) konkurs czytelniczy z okazji 10-lecia PRL pt. „Które z dzieł literatury polskiej wydanych w okresie powojennym cenią najwyżej?” — na KUL-u ogromną większością głosów wybrano „Ocalenie” Czesława Miłosza.

Do 1981 roku jedynie nielegalne Towarzystwo Kursów Naukowych prowadziło cykl wykładów o literaturze emigracyjnej.

Pomimo zmian w ustawie o szkołach wyższych z 1958 roku mówiących, że minister ustala jedynie „ramowe programy nauczania cedując opracowanie programów szczegółowych na rady wydziałów” decyzje o głównych kierunkach badań naukowych dotyczących szeroko rozumianych zagadnień historii najnowszej zapadały poza uczelniami. Określały je referaty Biura Politycznego i przemówienia na Plenach KC PZPR. Tym samym osoby niekompetentne decydowały nie tylko o kierunkach i ważności prowadzonych badań, najczęściej przyczynkarskich — jako że polityka, mając charakter doraźny, preferowała tego typu prace badawcze — ale wpływały na zasób gromadzonych w bibliotekach książek, na rozdział stypendiów, na obsadę etatów na wyższych uczelniach, na przyznawane tytuły naukowe. Sposób funkcjonowania cenzury oraz zakres jej ingerencji w tekst publikacji naukowych ograniczały nie tylko swobodę krytyki naukowej, ale doprowadziły do obniżenia poziomu badań w wielu dziedzi-

nach nauki, np. na skutek fałszywie rozumianych interesów bezpieczeństwa państwa doszło do upadku polskiej szkoły kartograficznej.

Podejmowanie badań naukowych nad emigracją wymagało również znacznego nakładu pracy i czasochłonnych, heurystycznych poszukiwań w bibliotekach. Tematy prac doktorskich zatwierdzały Rady Wydziałów, a ponieważ doktoraty były bardzo często drukowane, zarówno promotor jak i autor podejmowanych badań musieli liczyć się z ingerencją cenzury w tekst wydanej książki. Inaczej rzecz się miała z pracami magisterskimi; statuty szkół wyższych oraz ustawy o szkolnictwie dawały nauczycielom akademickim daleko idącą swobodę wyboru tematów i zakresu badań podstawowych. Zagadnienie pracy magisterskiej zależało wyłącznie od umowy między promotorem a studentem, a biorąc pod uwagę słabe przygotowanie studentów do samodzielnego podejmowania trudnych studiów, zależało najczęściej od wyboru jednej z propozycji kierownika seminarium. Inna rzecz, że nauczyciele łatwo rezygnowali ze swoich przywilejów ulegając presji przełożonych i trudno tu mówić wyłącznie o lęku — przyczyny są głębsze i ogólniejsze.

Preferowano uprawianie działalności pozorowanej, karierowiczostwo kosztem ludzi zdolnych i bezkompromisowych. Zwłaszcza gdy angażowali się w działalność organizacji niezależnych lub nieoficjalnych grup samokształceniowych. O wyborze badań decydowały kryteria pragmatyczności.

Minione 40-lecie podkopało w Polsce autorytet inteligencji znacznie osłabionej w wyniku II wojny, a marzec 1968 roku zniekształcił możliwości i mechanizmy „reprodukcji elit”. Względna swoboda wypowiedzi w początkach lat 70-tych zastała badaczy w sytuacji nieumiejętności określenia granic własnego kompromisu w stosunku do zjawisk, których nie akceptowali. Najbezpieczniejszym wyjściem okazało się mówienie półprawd, przemilczanie tematów drażliwych lub politycznie niebezpiecznych. Jednym z symptomów intelektualnego zastoju był fakt, że środowiska naukowe w Polsce nawet w latach 80-tych nie zdobyły się na poważną, obiektywną dyskusję z dorobkiem politycznym i literackim emigracji, a kiedy ideologia komunistyczna przestała w jakikolwiek sposób oddziaływać na nauki humanistyczne, z okoliczności tych skorzystano w niewielkim stopniu.

W podsumowaniu ankiety „Pisarze niedocenieni — pisarze przecenieni” Bogdan Czaykowski napisał: „Postępująco powoli zapoznawanie się zarówno czytelników jak i krytyków

krajowych z dorobkiem pisarzy emigracyjnych do niedawna słabo istniejących w obiegu krajowym wprowadziło w poczet dotychczasowych znakomitości krajowych Wata, J. Stempowskiego, Herlinga-Grudzińskiego, Haupta, J. Mackiewicza, Odojewskiego, T. Nowakowskiego, Iwaniuka i innych, ale jak ustala się ich reputacje gdy minie fala odkrywania, trudno przewidzieć”.

Anna SUPRUNIUK
Mirośław A. SUPRUNIUK

KSIĄŻKI POLSKIE

NOWE I DAWNE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI:

4, rue Frederic Sauton, 75005 Paris

Tel./Fax (1) 40-51-76-40

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

KATALOGI NA ŻYCZENIE

POLSKA ORDEROMANIA

Warszawa uznała następujące ordery i odznaczenia nadawane przez władze RP na uchodźstwie.

1. Medal Wojska, ustanowiony dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 3 lipca 1945 roku,
2. Medal Morski, ustanowiony dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 3 lipca 1945 roku,
3. Medal Lotniczy, ustanowiony dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 3 lipca 1945 roku,
4. Medal Morski Polskiej Marynarki Handlowej ustanowiony dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 3 lipca 1945 roku,
5. Krzyż Kampanii Wrześniowej 1939 r., ustanowiony dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na Obczyźnie z dnia 1 września 1984 roku,
6. Krzyż Pamiątkowy Monte Cassino, wprowadzony rozkazem Naczelnego Wodza z dnia 26 lipca 1944 r.,
7. Krzyż Armii Krajowej, wprowadzony 1 sierpnia 1966 roku przez Dowódcę Armii Krajowej gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego,
8. Krzyż Batalionów Chłopskich, wprowadzony 1 września 1989 roku przez Komendanta Głównego Batalionów Chłopskich gen. Franciszka Kamińskiego,
9. Krzyż Narodowego Czynu Zbrojnego, wprowadzony zarządzeniem Rady Politycznej Narodowych Sił Zbrojnych z dnia 14 grudnia 1944 roku,

Z dniem 23 grudnia 1992 roku powyższych odznaczeń się nie nadaje, za wyjątkiem: Krzyża Armii Krajowej, Krzyża Batalionów Chłopskich oraz Krzyża Narodowego Czynu Zbrojnego, które nadaje się do dnia 8 maja 1995 roku.

Do dnia 8 maja 1995 roku nadaje się również następujące odznaczenia krajowe:

1. Krzyż Czynu Bojowego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie,
2. Krzyż „Za Udział w Wojnie 1918–1921”,
3. Warszawski Krzyż Powstańczy,
4. Krzyż Oświęcimski,
5. Śląski Krzyż Powstańczy,
6. Wielkopolski Krzyż Powstańczy,
7. Krzyż Partyzancki,
8. Krzyż Bitwy pod Lenino,
9. Medal „Za Udział w Wojnie Obronnej 1939”,
10. „Medal za Warszawę 1939–1945”
11. „Medal za Odrę, Nysę i Bałtyk”.

O SPINANIU I WSPINANIU

Na tle rozwijających się wydarzeń w Polsce sprawa wygląda marginesowo, niemniej charakterystycznie. Fundacja Kościuszkowska w Ameryce wydała w 1965-tym roku drugie kolejne wydanie polsko-angielskiego słownika. Na frontowej stronie figurują nazwiska trzech specjalistów — wyrażenia tego nie biorę w cudzysłów, żeby nie uprzedzać do nich czytelników. Tym bardziej, że w przedmowie autorzy powołują się na współpracę z nieżyjącym już prof. Wikto-rem Weintraubem z Uniwersytetu w Harvardzie, po którym schedę objął prof. Stanisław Barańczak. Twórcami słownika są p.p. Kazimierz Bulas, Lawrence L. Thomas i Francis J. Whitfield. Autorzy słownika chcą okazać rozległą wiedzę rozmaitych rodzajów polszczyzny, m.in. tej najbardziej gwarowej. Pewno dlatego wymieniają — mówię tu przykładowo — wyrażenie „siksa” (str. 509), które jest słowem żydowskim, oznaczającym chrześcijańską dziewczynę, z pewną domieszką pogardy. Nie znaczy to wcale „piddler”, co ma coś wspólnego z robieniem siusiu i czego wołę nie wymieniać, bo brzmi nieco wulgarnie. Ale to są drobiazgi. Prawdziwy „cymes” można znaleźć na str. 526 pod hasłem „spinacz”. Na początku wszystko w porządku: *fastener* (do papierów itp.), *clip*, *stapler*. Ale dalej 2. *climber* czyli spinaczka górską, *mountaineering*... Innymi słowy istne nieszczęście. Najoczywiście autorzy pomieszali dwa słowa: „spinać” i „wspinać”. Drobiazg, który może zdarzyć się każdemu prócz twórców słownika. Ci poza gwarą powinni przede wszystkim znać normalny język polski.

Zbigniew BYRSKI

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Z końcem maja 1994 roku wrócił do Rosji Aleksander Sołżenicyn. Odnotować wypada przede wszystkim rzadką w dzisiejszych czasach wierność słowu: mniej więcej rok temu Sołżenicyn zapowiedział, że wróci do ojczyzny. I dotrzymał słowa. Nie zrobił tego żaden inny wybitny emigrant rosyjski. Odnotujmy też wierność pogłodom: autor „Archipelagu GUŁag” trzydzieści lat temu w „Liście do przywódców rosyjskich” napisał, że Rosja musi skierować wzrok na Daleki Wschód i Daleką Północ, tam szukać nowych życiodajnych sił. Sołżenicyn przyleciał ze Stanów Zjednoczonych do Władystoku i stamtąd rozpoczął powrót do Rosji — przez Daleki Wschód i Syberię.

Za wcześniej mówić o roli, jaką może odegrać największy pisarz rosyjski naszych czasów. Na razie zbiera wrażenia i niewiele mówi, chociaż obiecuje, że zweryfikuje swój program „przebudowy Rosji”, napisany pod koniec panowania Gorbaczowa. Za wcześniej też mówić o tym, jak Sołżenicyna przyjęła ojczyzna. Można tylko ogólnie stwierdzić, że bez entuzjazmu. Indagowani przez dziennikarzy bracia pisarze wyrażali przeważnie obojętność. Działacze polityczni, niepewni, co powie autor „Czerwonego koła”, wyrażali brak zainteresowania lub wzdargę. Większość powtarzała: za późno przyjechał! Spóźnił się na pociąg historii!

Przyszłość pokaże, jakie miejsce zajmie pisarz w życiu swojego kraju: czy włączy się do polityki, zajmie wakujący od dawna tron władcy dusz Rosji? Zależy to przede wszystkim od niego, a także od czytelników i słuchaczy.

Po każdej podróży do Moskwy wracam pełen wrażeń, dla których próbuję znaleźć wspólny mianownik. Będąc ostat-

niego maja w Moskwie i na prowincji, czułem przede wszystkim, że wszyscy żyją oczekiwaniem. Każdy, rzecz jasna, czeka na to, co jemu potrzebne — dziś i jutro — natomiast wszyscy razem czekają na człowieka, który wreszcie zaprowadzi porządek, opanuje mafię i doprowadzi życie do normalności. Nie znaczy to, że ludzie czekają na Hitlera albo Stalina. Nie czekają nawet na Żyrynowskiego. Społeczeństwo rosyjskie marzy o umiarkowanym, silnym polityku.

W komedii Gogola „Ślub” wybredna kobieta odrzuca wszystkich pretendentów w oczekiwaniu ideału, który by miał nos jednego, oczy drugiego itd. *Niezawisimaja gazeta* sporządza co miesiąc listę stu czołowych polityków Rosji i przy każdym zaznacza jego pozycję w życiu Rosji. Majową listę można uznać za kolejny zbiorowy portret narzeczonego, o którym marzy Rosja. Na pierwszym miejscu widnieje Borys Jelcyn, na drugim — premier Wiktor Czernomyrdin. Za nim plasuje się burmistrz Moskwy Jurij Łużkow, którego ambicje sięgają znacznie dalej aniżeli granice stolicy. W pierwszej dwudziestce widnieją tylko dwaj przedstawiciele liberałów: minister prywatyzacji Anatolij Czubajs, którego kariera rządowa dobiega końca, i były premier Jegor Gajdar. Wszyscy pozostali to zwolennicy twardej ręki, w większości bliscy współpracownicy Jelcyna.

Ubiegły miesiąc zaznaczył się przede wszystkim tym, że prezydent Rosji postanowił wyjść naprzeciw oczekiwaniom społeczeństwa i zostać twardym przywódcą, którego ono oczekuje. Sytuacja polityczna była w maju spokojna. Prezydentowi udało się doprowadzić do podpisania umowy o zgodzie narodowej, która przewiduje zawieszenie broni w Dumie. Za to w najbliższym otoczeniu Jelcyna trwała zażarta wojna, której celem jest wyrzucenie za burtę wszystkich, których absolutne oddanie prezydentowi nie jest stuprocentowo pewne. Po październikowym puczu Jelcyn skupia uwagę na przywróceniu porządku. 26 maja wystąpił na wszechrosyjskim zjeździe kierownictwa Federalnego Kontrwywiadu (FSK) Rosji i oświadczył: „Kraj pilnie potrzebuje energicznych, intensywnie pracujących organów służb specjalnych”. Przed organami stoją rozległe zadania: walka z przestępcami, obrona konstytucji i kontrwywiad (dla obrony gospodarki rosyjskiej).

Są to zadania wszystkich służb specjalnych świata i nie ma w nich niczego zdrożnego. Wątpliwości budzą tylko słowa Borysa Jelcyna o konieczności „nie tylko zachowania, ale udoskonalenia najlepszych tradycji służb specjalnych”. Zważywszy fakt, że rosyjskie służby specjalne dopiero co

powstały, tradycje mogą być tylko sowieckie. Znamy te tradycje i apel o ich kultywowanie brzmi złowieszczo. Równie dobrze dzisiejsze służby specjalne Niemiec mogłyby apelować o kultywowanie tradycji Gestapo.

Oczekiwanie na wodza, który pozwoli wreszcie Rosji normalnie żyć wynika z faktu, że sytuacja w kraju daleka jest od normy. Rosje są dziś dwie. O pierwszej paryski *Le Monde* (12–13 czerwca 94) pisze w artykule wstępnym: „Rosja jest wielkim mocarstwem”. O tym mocarstwie w Moskwie mówi się zgodnym chórem: „Rosja znajduje się w stanie głębokiego kryzysu ekonomicznego, kraj przeżywa ekonomiczną katastrofę”. Liczby — o ile kogoś interesują — mówią same za siebie. W styczniu 1994 roku produkcja przemysłowa spadła o 23,1% w stosunku do stycznia ubiegłego roku, w lutym o 24,1%, w marcu o 27,4%. Nie widać żadnych oznak poprawy.

Sytuacja wydaje się na pierwszy rzut oka paradoksalna: kraj o słabej i wciąż słabnącej gospodarce uparcie domaga się statusu wielkiego mocarstwa i prawa do współdecydowania o losach świata. Paradoks to pozorny, bo Związek Sowiecki też był zawsze ekonomicznie słaby. Różnica polega na tym, że dawniej była to słabość kontrolowana, bogactwa kraju wykorzystywano w określonych dziedzinach gospodarki, by zapewnić krajowi potęgę militarną, a dziś najwyższe władze straciły wszelką kontrolę.

Aspiracje Rosji są zjawiskiem względnie nowym. Jeszcze rok temu państwo praktycznie nie miało polityki zagranicznej. Związek Sowiecki, jego wrogowie i sojusznicy przestali istnieć, zaś Rosja nie wiedziała jeszcze, kto jest sojusznikiem, a kto wrogiem. Szereg czynników pozwolił ludziom odpowiedzialnym za politykę zagraniczną Rosji zdefiniować jej miejsce na mapie Europy. 11 maja Borys Jelcyn oświadczył w Niemczech: „Nasz kraj rozpościera się na Azję, ale jest to kraj europejski”. W 1766 Katarzyna II zwołała komisję deputowanych wszystkich stanów (poza chłopstwem pańszczyźnianym) i przedstawiła jej swój program reform. W jednym z pierwszych paragrafów tego „Nakazu” mowa była o tym, że „Rosja jest mocarstwem europejskim”. Książ Szcerbatow, krytykując „Nakaz”, powiedział wówczas: „Nie można nazwać całej Rosji mocarstwem europejskim, bo liczne jej części znajdują się w Azji”. Od tamtych czasów azjatyckie włości Rosji znacznie się rozszerzyły, zaś państwo, którego stolica leżała na kontynencie europejskim, zależnie od okoliczności przesuwano punkt ciężkości swojej polityki to na

wschód, do Azji, to na zachód, do Europy.

Wśród wielu powodów, które pozwalają Rosji pretendować do statusu byłego Związku Sowieckiego, wymienimy dwa najważniejsze. Po pierwsze Rosja jest silnym państwem i Europa zachodnia jej potrzebuje. Po drugie — ten czynnik właśnie tłumaczy, że polityka taka jest nieunikniona — mimo tragicznego kryzysu, jaki przechodzi gospodarka rosyjska, sytuacja we wszystkich byłych republikach sowieckich (z wyjątkiem Nadbałtyki i być może Turkmenii) jest jeszcze gorsza. Niebezpieczeństwo, że na byłym sowieckim obszarze wybuchnie nowa, stokroć bardziej krwawa od Bośni Bośnia, zmusza Zachód do specjalnej troski o Rosję.

Pod koniec maja moskiewska *Niezawisimaja gazeta* ogłosiła tezy Rady Prezydenckiej do spraw polityki zagranicznej i obronnej, zatytułowane „Strategia Rosji”. Dokument ten zasługuje na uwagę, bo zawiera ocenę obecnej sytuacji kraju i program na przyszłość. Składa się z dwóch części: pierwsza, „obronna”, dotyczy polityki wewnętrznej, wyprowadzenia gospodarki z kryzysu i przywrócenia krajowi siły. Druga dotyczy polityki zagranicznej. Czyli ofensywy. „Tezy” są ciekawe głównie ze względu na ludzi, którzy wchodzi w skład Rady do spraw polityki zagranicznej i obronnej. Rada ta, zgodnie z literą, jest „społecznym zgrupowaniem polityków, przedsiębiorców, pracowników państwowych, pracowników informacji masowej i uczonych”. Rada — nieoficjalny organ doradczy — składa się z dyplomatów, wojskowych, ekonomistów, wpływowych deputowanych do Dumy... Zasiadają w niej wiceminister spraw zagranicznych A. Adamiszyn, szef sztabu generalnego armii rosyjskiej, generał-pułkownik M. Kolesnikow, prezydent Rosyjskiego Związku Przemysłowców i Przedsiębiorców A. Wolskij i jego zastępca A. Władisławlew, prezes komisji spraw międzynarodowych w Dumie Państwowej W. Łukin, jeden z czołowych ekonomistów i przypuszczalny kandydat do funkcji prezydenta G. Jawlinskij, szef kontrwywiadu generał-lejtnant S. Stiepaszyn, pomocnik prezydenta do spraw zagranicznych D. Rurikow i in.

Radę powołano dwa lata temu i wtedy też (19 sierpnia 1992 roku) ogłoszono pierwsze „tezy”. Nowe tezy (27.5.1994) odzwierciedlają nowe położenie Rosji: upadek ekonomiczny i znaczną poprawę w dziedzinie polityki zagranicznej. Spora część tekstu poświęcona jest byłemu imperium („eks-ZSSR” — „bliskiej zagranicy”). Rosyjscy stratedzy nie mają wątpliwości co do tego, że Rosja nie może być wielkim mocarstwem,

jeżeli nie odtworzy więzów z byłymi wasalami imperium. Pytanie tylko, jakich więzów i w jakiej formie. „Tezy” stwierdzają: W toku minionych dwóch lat „powstała jakościowo nowa sytuacja. W większości krajów 'bliskiej zagranicy' narastają tendencje integracyjne”. Wspomniałszy krótko o rozpadzie ekonomicznym byłych republik sowieckich, „tezy” podkreślają, że „szczególny niepokój budzi sytuacja na Ukrainie” i że „w najbliższych dwóch-trzech latach Ukraina może stanąć wobec wybuchów społecznych, od których zacznie się jej dezintegracja polityczna”.

„Tezy” nie podają żadnych recept ani nie udzielają konkretnych rad, co robić, natomiast widać z nich, jakie są tendencje: „Integracja z wieloma państwami byłego ZSSR jest ze strategicznego punktu widzenia właściwie niezbędna”. O ile dwa lata temu program strategiczny skupiał się na przyszłości Rosji, wycutej ze swych byłych eks-sowieckich republik, o tyle w 1994 główny problem polega na tym, jak włączyć zablakanych braci w nową wspólnotę narodów. Alternatywa jest jedna: „Albo kurs na zjednoczenie ze znaczną częścią byłego ZSSR, lub, w razie ich dezintegracji, z ich rejonami, i stworzenie nowego federalnego państwa, albo kurs na zachowanie niezawisłości politycznej tych państw w zamian za nieograniczony dostęp do ich rynków zbytu, usług i kapitałów, stworzenie skutecznego związku polityczno-obronnego, zapewnienie wspólnego, chronionego prawem terytorium dla wszystkich mniejszości narodowych, zagwarantowanie ich praw”.

Innymi słowy, integracja jest konieczna. Może to być integracja całkowita, wzorem białoruskim, albo integracja pośrednia, według formuły: „Przywództwo zamiast kontroli”. Ważny jest fakt, że Rosja może wybierać: „Rosja nie powinna domagać się byle jakiej integracji, a tylko takiej, która będzie pożyteczna dla Rosjan i państwa rosyjskiego”. Myśl autorów „tez”, aczkolwiek nie wypowiedają jej wprost, jest jasna: o wstęp do Wspólnoty Europejskiej trzeba prosić i nie wszystkich tam przyjmują; niechaj i o wstęp do Rosji proszą, Rosja zaś, zgodnie z „oświeconym egoizmem”, będzie przebierać. Ważnym warunkiem jest przyznanie wszystkim obywatelom byłego imperium prawa do podwójnego obywatelstwa. Autorzy „tez” uważają, że podstawą stosunków Rosji z „bliską zagranicą” powinna być zasada „przywództwo zamiast kontroli”, aczkolwiek przyznają, że formuła ta daleka jest od ideału.

„Tezy” formułują główne zasady rosyjskiej polityki wo-

bec krajów byłego ZSSR, natomiast poświęcają stosunkowo mniej miejsca „stosunkom z zagranicą”. Charakterystyczny jest zresztą sam tytuł tego rozdziału: wynika z niego jasno, że były Związek Sowiecki i dziś nie jest zagranicą. Autorzy „tez” proponują, aby stosunki z „zagranicą” oprzeć na formule A.M. Gorczakowa. Książ Aleksander Gorczakow kierował rosyjską polityką zagraniczną po śmierci Mikołaja I i klęsce Rosji w wojnie krymskiej. Funkcje ministra spraw zagranicznych pełnił do 1882 roku i udało mu się przywrócić Rosji silną pozycję w świecie. Jego formuła brzmiała prosto: „Skupić się”. Po katastrofie krymskiej Rosja — jego zdaniem — powinna była ograniczyć swoje zagraniczne projekty do niezbędnego minimum. Autorzy „tez” przekładają koncepcję „skupiania się” na piękny współczesny język: „Należy utrzymać linię rezygnacji z kosztownej globalnej polityki. Polityka powinna być maksymalnie oszczędna, proporcjonalna do obecnych możliwości”. Nie znaczy to, że Rosja ma zrezygnować z wszelkiej aktywności. Do terenów, na których należy rozwijać współpracę, należą: „Indie, Grecja, Bułgaria, cała południowo-wschodnia Europa, Bliski Wschód”. Poza tym „należy rozwijać politykę maksymalnie przyjaznych i bliskich związków z Chinami”. Niezbędne są, podkreślają „tezy”, „specjalne wysiłki, aby utrzymać i rozszerzyć intensywny dialog i wzajemne stosunki z czołowymi krajami Zachodu, zwłaszcza z Niemcami i Stanami Zjednoczonymi”.

Z krajami Europy Środkowej i Wschodniej „tezy” załatwiają się jednym zdaniem: „Rozszerzenie (na te kraje) strefy dobrobytu i stabilności i jak najszybsze włączenie ich do Wspólnoty Europejskiej odpowiadałoby narodowym interesom Rosji”. Obok jednak widnieje teza, której sens jest nieco mniej życzliwy: „Zważywszy fakt, że możliwe jest rozszerzenie NATO bez udziału Rosji, należy koniecznie zaktywizować poszukiwania alternatywnych dróg zapewnienia bezpieczeństwa i politycznych interesów Rosji”.

Trudno „Strategii dla Rosji” cokolwiek zarzucić: wielkie mocarstwo przeżywa ciężki kryzys i szuka dróg wyjścia z niego. Są to jednak drogi dobrze znane, te same, którymi Rosja w przeszłości pokonywała kryzysy, wychodząc z każdego potężniejsza i większa.

14.6.94

Adam KRUCZEK

Ukraina na lewym torze

Po klęsce wyborczej demokratów życie polityczne na Ukrainie toczy się inaczej niż dotąd. Społeczeństwo jeszcze nie pojęło czego dokonało wiosną swą niedojrzałością przy urnie wyborczej. Nie zrozumiała tego większość przywódców stronnictw i grup politycznych, które w wyborach parlamentarnych poniosły porażkę. W pewnym sensie obraz kaca wśród tych panów przypomina polskich polityków, którzy po ostatnich wyborach do Sejmu znaleźli się w podobnej sytuacji. Wskazywałoby to na to, że mimo różnicy w okresach utraty niepodległości i przy innych strukturach elit posiadamy widocznie dużo wspólnych cech i podobieństw w zatracie kultury politycznej, a może jeszcze bardziej w nieurodzaju na wybitne talenty polityczne. Okazuje się, że stawianie na samorodków typu Wałęsy czy Krawczuka, przy ich całym sprycie, jest w ostatecznym rachunku stratą czasu i wyjątkowych szans, danych nam przez nagły zakręt historii. Nasi politycy szans tych nie wykorzystali. Brak niestety umiejętności zastosowania analiz porównawczych w polskiej i ukraińskiej prasie wszystkich tych zjawisk.

„Niech się Pan nie przejmuję — pocieszają mnie moi zachodni koledzy — zanik talentów i indywidualności w polityce, to zjawisko globalne, a nie tylko Wasze”. „No i co my z tego mamy” — jak zwykł mówić mój przyjaciel sprzedawca gazet w Pińczowie, mądry garbusek Lopek. Przeciętność na Zachodzie i Wschodzie, to niestety nie to samo. Tamci mogą sobie na taką bezpłodność jeszcze długo pozwolić, bez większego szwanku, tym bardziej, że gospodarka, nauka, kultura, prasa i wiele innych dziedzin życia społecznego nie potrzebują ani opieki ani interwencji polityków. W Europie postkomunistycznej funkcje państwa a wraz z tym rola polityków mają i będą miały jeszcze dużą rolę do odegrania.

W Kijowie zaś pierwsze posiedzenie nowego parlamentu rozpoczęło się od skandalu. Komisja statutowa pozbawiła mandatów poselskich dwóch deputowanych; Wołodymyra Hryniowa i Pawła Kodiukina, za rzekomo nieprawidłową procedurę przy głosowaniu na ich kandydatury. Kodiukin jako szef koncernu czarnomorskiej floty handlowej w Odessie ma opinię aferzysty, przeciwko niemu toczy się dochodzenie

w prokuraturze i stąd jego sprawa nie wywołała publicznej reakcji. Inaczej z Hryniowem, który od lat już zajmuje na ukraińskiej scenie politycznej wydatne miejsce. Profesor — bodajże matematyki — na uniwersytecie charkowskim, w życiu prywatnym zapalony sportowiec w ciężkiej atletyce, olbrzym z potężną głową i kudłatą czupryną, politycznie oscyluje między liberalizmem i socjaldemokracją. Rosjanin z pochodzenia nauczył się w międzyczasie bezbłędnie ukraińskiego. W poprzednim parlamencie był wiceprzewodniczącym izby. Jesienią ubiegłego roku zgłosił rezygnację i będąc w międzyczasie szefem międzypartyjnej koalicji Centrolewu „Nowa Ukraina” postanowił stanąć w przyszłych wyborach z własnym programem i stronnictwem. Do spółki z byłym premierem Leonidem Kuczmą stworzył „Międzyregionalny Blok Reform”, który na wyborach przedstawił program zmiany systemu państwowego od współczesnego centralizmu na rzecz regionalizmu a nawet federalizmu, ekonomicznego porozumienia z Rosją i realizacji reformy gospodarczej. Hryniow i Kuczma marzyli o zwycięstwie. Mało z tego zostało. Odnieśli bardzo mierny sukces i tylko we wschodnich i południowych regionach państwa. Zresztą swoją postawą wprowadzili koalicję „Nowej Ukrainy” w krytyczne położenie i tym samym przyczynili się do klęski głównej dotychczas siły Centrolewu, mianowicie Partii Demokratycznego Odrodzenia. W głosowaniu przeciwko mandatowi Hryniowa połączyli się narodowi-demokraci, nacjonaści i komuniści. Jedni jako przeciwnicy regionalizmu i porozumienia z Rosją, drudzy z wrogości do reform gospodarczych. Hryniow nazwał to neobolszewizmem i walczył o unieważnienie dyskryminacyjnej decyzji. Po swej stronie ma czołowych prawników, którzy uważają, że parlament nie działał zgodnie z prawem.

W poprzednim parlamencie komuniści mieli solidną większość w postaci tak zwanej grupy 237 posłów. Ale ponieważ partia komunistyczna była zakazana, więc charakter ich działań był nieformalny, choć w większości wypadków skuteczny. Teraz komuniści mają znowu partię chociaż z dwóch i pół miliona zmniejszyła się do 300.000 członków. Mimo to jest największym stronnictwem politycznym. Ale w nowym parlamencie komunistów jest o wiele mniej. I stąd demokraci liczyli, że uda im się sformować solidną siłę i zdobyć czołowe pozycje w kierowniczych organach zgromadzenia. Przeliczyli się i po klęsce wyborczej ponieśli porażkę w Najwyższej Radzie, bo tak się oficjalnie nazywa parlament Ukrainy, a po ukraińsku to brzmi „Werchowna Rada”. Jej

przewodniczący posiada wbrew konstytucji potężny wpływ na polityczne życie kraju. Stało się to jeszcze za czasów kiedy Leonid Krawczuk, przed wybraniem go na prezydenta w grudniu 1990 roku, podniósł prestiż tego stanowiska bardzo wysoko. Wykorzystał to na swój sposób jego następca Iwan Pluszcz chociaż bez poprzedniego rozmachu i stylu. A kiedy zarysowała się szansa pójścia wyżej w górę, Pluszcz postanowił nie ubiegać się więcej o przewodnictwo w parlamencie i wysunął swą kandydaturę na wybory prezydenta w dniu 26 czerwca.

Rozgorzała więc zakulisowa walka o kierowanie pracami Werchownej Rady. Do konkurencji stanęło najpierw dziewięciu posłów, większość z nich wiedziała, że nie ma żadnych szans na zwycięstwo i apelowała do swych zwolenników, by poparli jednego z dwóch głównych kandydatów: Wasyla Durdynia i Ołeksandra Moroza. Demokraci byli pewni, że zwycięży Durdyneć, doświadczony biurokrata, formalnie bezpartyjny. Durdyneć na podstawie poprzednich doświadczeń mocno się ubezpieczył tworząc z miejsca w nowym układzie sił pierwszą frakcję „Centrum”, w ostatecznym głosowaniu przegrał. Blok lewicy złożony z komunistów, socjalistów i agrariuszy pozyskał poparcie wśród części wówczas jeszcze nie zorganizowanych technokratów, przeforsował swojego człowieka, przywódcę partii socjalistów, Ołeksandra Moroza. Dla wszystkich obserwatorów stało się jasne: obóz lewicy zdecydował się opanować parlament.

Pięćdziesięcioletni Moroz pochodzi ze wsi na Kijowszczyźnie. Z zawodu jest inżynierem agronomek. Po studiach pracował w okolicach Żytomierza. W ostatnich latach przed upadkiem Związku Sowieckiego działał w aparacie partyjnym w Kijowie, w dziedzinie mechanizacji rolnictwa. W ubiegłym roku stanął na czele Socjalistycznej Partii Ukrainy. Opracował alternatywny plan uzdrowienia gospodarki w powiązaniu z polityką ochrony socjalnej. Jest świetnym mówcą. Niedawno wydał zbiór pamfletów i przemówień pod tytułem „Dokąd idziemy?” W akcji wyborczej głosił w ulotce: „Jestem przekonany, że konsolidacja naszego społeczeństwa celem odwrócenia katastrofy nastąpi wówczas, kiedy ludzie zobaczą, że władza prowadzi społecznie zorientowaną politykę, usiłując tym samym polepszyć byt ludzi uczciwie pracujących. Jest to możliwe jedynie na podstawie ochrony i wzrostu produkcji, rozbudowy silnej ekonomicznie Ukrainy na bazie prawdziwego systemu władzy społeczeństwa pracującego”.

W inteligentnym przemówieniu inauguracyjnym Moroz starał się unikać wszelkich zaostreżeń ideologicznych, propażował dzieło reform ale socjalnie zabezpieczonych, żądał energicznych kroków przeciwko korupcji i rozkradaniu mienia społecznego. Jego styl pracy jest zupełnie odmienny od stylu poprzednika. Pluszcz był mistrzem manipulacji, występował z rubasznym humorem, unikał zajmowania stanowiska w kwestiach drażliwych. Moroz stosuje bardziej eleganckie i delikatne metody, usiłuje wpływać na istniejące podziały integrująco. Marzy mu się rola „serca i sumienia” narodu. Trudno mu się jednak opierać naciskom komunistów i agrariuszy, bo jego własna partia jest słabszą.

Przy obsadzie zastępców przewodniczącego Rady, demokraci i nacjonalisci ponieśli kolejną porażkę. Stało się to częściowo z ich własnej winy, gdyż popełnili błędy natury taktycznej w wytypowaniu kandydatów. Ostatecznie lewica przeforsowała swych kandydatów na pozycje zastępców Morozą i zostali nimi agrariusz Tkaczenko i technokrata Djomin, podobno bardzo zdolny Rosjanin, dyrektor wspólnego przedsiębiorstwa rosyjsko-ukraińskiego.

Dobiega końca proces podziału parlamentu na frakcje. Jest to novum w życiu parlamentarnym Ukrainy. W poprzedniej izbie tego jeszcze nie było. Rozwarstwienie nie jest tylko odbiciem struktur partyjnych a raczej społecznych układów i interesów. Niektóre partie — jak na przykład Zielonych — nie zdobyły żadnego mandatu. A ponieważ regulamin ustala, że warunkiem utworzenia odrębnej frakcji jest 25 mandatów poselskich, powstały więc w kilku wypadkach frakcje koalicyjne z bliskich sobie ugrupowań. Komuniści wystawili najsilniejszą frakcję w składzie 87 deputowanych, za nimi figurują członkowie frakcji „Centrum” pod kierownictwem Durdynia (41 posłów), dalej idzie frakcja agrariuszy (34 miejsca), frakcja „Jedność” skupiająca głównie dyrektorów przedsiębiorstw państwowych i prywatnych przeważnie ze wschodnich regionów (28), następnie frakcja „Ruch” (27), dalej frakcja „Reformy” Łanowego (26), socjalistów Morozą (26), frakcja „Derżawnist” czyli „Państwowość” jednocząca konserwatystów i narodowych demokratów (26). Nacjonalisci pozostali na uboczu, gdyż jest ich za mało na utworzenie samodzielnej frakcji, natomiast posłowie z Międzyregionalnego Bloku Reform utworzą prawdopodobnie własną frakcję w sile 25 osób.

W ten sposób zaczęła się dwutorowość w postaci politycznych partii poza parlamentem i frakcji parlamentarnych. Par-

tie wciąż jeszcze oszołomione wiosenną kłeską, obserwują ten proces podejrzliwie. I słusznie, bo owe frakcje mogą się z czasem przemienić w nowe stronnictwa, spychając opozycję pozaparlamentarną na boczny tor.

A na głównym torze polityki jest jeszcze wiele spraw nie załatwionych. Otwartą jest kwestia powołania rządu. Czy będzie czysto lewicowym i politycznym, czy apolitycznym gabinetem fachowców? A w ślad za tym wybory prezydenta i organów samorządu w dniu 26 czerwca i wreszcie uzupełniające wybory do parlamentu w 112-tu okręgach 24 lipca. Lewica chciałaby znieść dotychczasowe przywileje prezydenta i zrobić z tego urzędu coś w rodzaju „królowej angielskiej”. Tak przynajmniej mówi przywódca komunistów Symonenko. On sam nie kandyduje ale popiera Morozą, który w razie sukcesu miałby dokonać dzieła kastracji systemu prezydenckiego. Krawczuk robił co mógł, aby przesunąć termin wyborów na późniejszą datę, uważając, że najpierw należy uchwalić małą konstytucję celem uregulowania podstawowych przepisów ustrojowych. Nic z tego nie wyszło i po namyśle prezydent zgodził się na czerwcowy termin. Początkowo zdawało się, że nie ma najmniejszych widoków na zwycięstwo. Ostatnio jednak szanse jego idą w górę. Jako główni rywale sześćdziesięcioletniego Krawczuka występują: młodszy o cztery lata były premier Leonid Kuczma i były przewodniczący parlamentu Iwan Pluszcz, liczący sobie 53 lata. Dogania ich ostatnio w ankietach obecny przewodniczący Werchownej Rady Ołeksander Moroz. Trzej inni kandydaci a mianowicie ekonomista Wołodymyr Łanowyj, minister oświaty Petro Tałanczuk i właściciel „Ukraińskiej grupy finansowej” Walerij Babyecz nie mają szans na sukces.

Krawczukowi pomaga Zachód, bo ma pozytywne doświadczenia w dotychczasowych kontaktach z prezydentem Ukrainy, a na Kucznię stawia Rosja. Krawczuka poparł również walnie podczas oficjalnej wizyty na początku maja prezydent Turcji, Demirel. Ukraińską pozycję w sprawie Krymu Demirel uznał jako identyczną ze stanowiskiem Turcji. Przyrzekł również pomoc materialną Ankary w sprowadzaniu i osiedlaniu na Półwyspie Krymskim Tatarów, przebywających wciąż jeszcze — od czasów deportacji w 1944 roku — w Uzbekistanie. Elastyczna pozycja Krawczuka podczas kryzysu krymskiego, po fali ostrej krytyki ze strony nacjonalistów, zyskuje coraz częściej słowa uznania. Stało się to po oświadczeniach prawie wszystkich rządów na wschodzie i na zachodzie, popierających punkt widzenia Ukrainy. Poparł Krawczuka ta-

tarski Medzlis na Krymie. Wszystko to wpłynęło ostudniająco na prezydenta Mieszkowa w Symferopolu, który wzbrania się podpisać uchwałę swego parlamentu o przywróceniu konstytucji Krymu z 6 maja 1992, nie uznawanej w Kijowie. Ukraina unika jednak zaostżenia konfrontacji i prowadzi rokowania z secesjonistami w nadziei, że uda się osiągnąć takie rozwiązanie, jakie pozwoliłoby obydwu stronom zachować twarz. Ukraińskim politykom pomógł zresztą niespodzianie syn Nikity Chruszczowa, Sergej, przebywający obecnie w Stanach Zjednoczonych. W czasie moskiewskich uroczystości w stulecie urodzin ojca, Sergej Chruszczow nazwał tezy o rzekomym prezencie dla Ukrainy w postaci Krymu, legendą wyssaną z palca. W istocie Rosja nie była w stanie utrzymać półwyspu, a osadnicy rosyjscy skonfrontowani z pogłębiającym się kryzysem gospodarczym, błagali o przyłączenie do Ukrainy. Sprawa ta stała na porządku dziennym w Politbiurze moskiewskim i gremium to poparło plan przyłączenia Krymu do Ukrainy. „Chodziło nie o prezent a o to, aby Ukraina przejęła ciężar utrzymania półwyspu” — oświadczył Sergej Chruszczow i nikt mu w Moskwie nie zaprzeczył.

Bohdan OSADCZUK

Problem mniejszości niemieckiej

1.

Z uwagą i zainteresowaniem przeczytałem szkic Ryszarda Surmacza (*Kultura* 4/94) „Opolszczyzna”. Autor skupił się na sprawach wciąż jeszcze stanowiących w Polsce — poza doraźnymi reakcjami, które nie mają żadnych ciągów dalszych — obszar politycznej pustki. W Niemczech sprawa niemieckiej mniejszości w Polsce jest problemem politycznym, gdy w Polsce co najwyżej — publicystycznym. Spory o to jak wielka jest owa mniejszość dominują nad kwestią o wiele poważniejszą — jej miejscem w państwie. Ten właśnie zespół problemowy Surmacz odsłania i w tym szczególna waga jego ar-

tykułu. Rzecz w tym, że ów kompleks zagadnień wcale prosty nie jest, zaś historyczna osobliwość Śląska jeszcze go komplikuje.

Stałą tendencją publicystyki polskiej w tej kwestii są próby podważania zasadności zgłaszanej przez część ludności śląskiej opcji niemieckiej. Podobnie postępuje i Surmacz, który pisze wprost o tym, że „pojawiły się dziesiątki tysięcy politycznych Niemców”. Samo wyodrębnienie kategorii „politycznego Niemca” ma być tu podstawą do kwestionowania jego etniczności. I choć osobiście uważam, że kryteria etniczne należą do najbardziej zwodniczych, tu muszę stanowczo stanąć w obronie zasady powiadającej, że określenie narodowości jest sprawą osobistą. Kwestionowanie jej jest niebezpieczne i może stanowić podstawę — delikatnie rzecz określając — politycznych manipulacji. Należy pamiętać o tych wszystkich doświadczeniach, w wyniku których raz wygodne jest przymusowe pozbawienie kogoś jego tożsamości, innym razem narzucenie mu tożsamości mu obcej.

Należy jednak z całą stanowczością podkreślić, że nie jest sprawą osobistą kwestia poszanowania przez poszczególnych ludzi — niezależnie od ich narodowości — konsekwencji wynikających z faktu posiadania obywatelstwa jakiegoś państwa. I tu na pograniczu polsko-niemieckim — ale nie tylko tutaj — trwa od lat gra pozorów i niedomówień. Pisze Surmacz: „Obydwa rządy, polski i niemiecki nie uznają podwójnego obywatelstwa, ale niemieckie paszporty obywatelom polskim wydawane są w Konsulacie wrocławskim. (W polskim też, ale proporcje są nieporównywalne)”. Co prawda nie bardzo rozumiem, o co chodzi w zdaniu zapisanym w nawiasie, lecz warto przy okazji wspomnieć o tym, że każdy Polak może dziś — niezależnie od nabytego w ostatnich dziesięcioleciach obywatelstwa obcego i miejsca zamieszkania — ubiegać się o paszport RP, który na ogół dostaje. Taki jest stan faktyczny, niezależnie od tego, jak się go ocenia — o faktach dyskutować nie sposób.

Otóż sytuacja ta sprawia, że wielu obywateli polskich, także zamieszkałych w Polsce — ma *de facto* dwa obywatelstwa (przykładem najbardziej znanym jest legitymujący się trzema paszportami były kandydat na prezydenta RP). To, iż *de iure* dla władz polskich pozostają wyłącznie obywatelami polskimi, jest kwestią osobną. Nie ulega jednak wątpliwości, że ten stan rzeczy musi skłaniać do ostrożności w ocenie praktyki niemieckiej przyznającej paszporty obywatelom Polski zgłaszającym opcję niemiecką. Tym bardziej, że sprawa ta może się niebawem okazać istotna w odniesieniu do Polaków

zamieszkałych na terenie byłego Związku Sowieckiego. Jest to nie tylko polska i nie tylko niemiecka praktyka — wymaga ona, jak sądzę, szerszej dyskusji na temat skutków wynikających z podwójnego czy wielokrotnego obywatelstwa danej osoby. Przy tendencjach do zaakceptowania podwójnego obywatelstwa — dyskusja na ten temat w Niemczech trwa od wielu lat, przy czym nie chodzi tu wcale tylko o Polaków — kwestia ta powinna stanowić przedmiot zainteresowania prawników. Tym bardziej, że praktyka wyprzedza tu ustalenia teoretyczne.

2.

Surmacz podejmując kwestię opcji narodowych — a także państwowych — na Śląsku Opolskim porusza się po terenie niezwykłe grząskim. Z jego artykułu wynika bowiem, że Ślązacy albo posiadają własną, odrębną od polskiej i niemieckiej, tożsamość, albo też automatycznie winni być uznani za Polaków. Píše: „Może Komitet Helsiński zająłby się nie sprawą mniejszości niemieckiej (ona daje sobie doskonale radę) lecz sytuacją ludności śląskiej, która u siebie we własnym domu zapędzana jest w matnię”. I dalej: „Rzecz polega więc nie na polityce, w której Ślązacy nie mają żadnych szans, lecz na ratowaniu rodzimej śląskiej kultury — tej szlachetnej (nie byle jakiej), która ukształtowana przez wieki eliminowała w sposób naturalny skrajności z obu stron”. Określa autor „śląskość jako wartość”, która „osadziła się pomiędzy polskością i niemieckością”. W konsekwencji postuluje, że należy „umożliwić powstanie reprezentacji Ślązaków”. Takie działanie winno doprowadzić, jak wynika z artykułu, do zablokowania wpływów niemieckich na Śląsku Opolskim, a zarazem do dominacji wpływów polskich.

Jest to konstrukcja czysto życzeniowa. Odpowiada ona, oczywiście, polskim interesom politycznym i jako taka musi być brana pod uwagę. Zwłaszcza w okresie, w którym opcja niemiecka na Śląsku jest w gruncie rzeczy — podobnie jak to było wcześniej — opcją tylko w niewielkim procencie motywowaną etnicznie. Przeważają względy ekonomiczne — ta sprawa w zasadzie nie nadaje się do dyskusji. Rzecz jednak w tym, że racje polskie — poza politycznymi — są tu żadne.

Nie ma możliwości zablokowania indywidualnych opcji narodowościowych — to kwestia osobistego wyboru. Podstawy dla wystąpienia Komitetu Helsińskiego — czy jakiej-

kolwiek innej organizacji — w sprawie „sytuacji ludności śląskiej” nie istnieją tak długo, póki Ślązacy jako Ślązacy właśnie o to się sami nie upomną. Pytanie o to czy tożsamość śląska jest zjawiskiem już historycznym, czy też można mówić o jej trwaniu także dzisiaj — jest pytaniem otwartym. Jest faktem, że na Śląsku organizują się w grupy nacisku i grupy interesów ci, którzy określają się jako Niemcy, nie czynią tego zaś sami Ślązacy.

Należy się też zastanowić czy Polska jako państwo jest czy nie jest zainteresowana w ocaleniu i umacnianiu śląskiej tożsamości. Surmacz widzi w takich działaniach szansę przeciwstawienia się wpływowi niemieckim. Tu ma zapewne rację. Ale nie wynika z tego, że utrwalanie śląskiej tożsamości musi automatycznie prowadzić do otwarcia na wpływy polskie. Istnieje — wcale nie teoretyczne — niebezpieczeństwo wzmocnienia w ten sposób tendencji do realizowania wizji autonomii Śląska. Ta wizja obecna jest nie tylko w Polsce — należy pamiętać o istnieniu podobnych tendencji na Morawach, które historycznie do Śląska ciągną. Jak więc widać, projekt „śląskości Śląska” może — choć nie musi — prowadzić do dodatkowych komplikacji politycznych. Gdy się o tych sprawach píše, trzeba brać pod uwagę różne scenariusze. Wzmacnianie opcji „śląskiej” niekoniecznie więc musi okazać się korzystne dla państwowości polskiej.

Przy czym nie ulega dla mnie kwestii, że śląskość jest wartością rzeczywistą — tak w polskiej i niemieckiej, jak w europejskiej perspektywie. Gwara śląska jest jednym z najbardziej interesujących zjawisk językowych — ukształtowała się bowiem jako język jednego z najbardziej ostrych pogranicznych języków w Europie. Używa jej ciągle — wedle podanych przez Surmacza danych — ponad 60% młodzieży Śląska Opolskiego. To już wystarczający powód, by uznać trwałość śląskiej tożsamości, choć z pewnością nie tylko język ową tożsamość wyznacza. Póki co — sprawa ocalenia tej tożsamości jest sprawą polską. To Polska może stworzyć warunki dla jej umocnienia i ewentualnego rozwoju. Nie oznacza to jednak, że obrócić się to musi na jej korzyść.

3.

Artykuł Surmacza zwraca uwagę na skandaliczne wręcz zaniedbania polityczne na Śląsku. Są one w dodatku obciążone niekorzystną dla Polski polityką komunistów w ciągu powojennych dziesięcioleci — podobnie działo się zresztą na

innych terenach przejętych od Niemców. W ciągu ostatnich lat nie uczyniono nic lub uczyniono zbyt mało, by sytuację naprawić. Tak częste wybory opcji niemieckiej na tych terenach są smutnym potwierdzeniem tego stanu rzeczy.

Nie ulega kwestii, że zmniejszenie ilości owych opcji leży w politycznym interesie Polski. To z artykułu Surmacza wynika jasno. Nie jest natomiast jasne, co czynić należy, by było to w interesie mieszkańców tych terenów. Oni, w odróżnieniu od państwa polskiego, swe życie mierzą latami, a nie stuleciami — chcą je przeżyć w sposób najbardziej korzystny, czemu się dziwić niepodobna. Rozwiązanie owej sprzeczności interesów nie jest z pewnością łatwe — tym bardziej, że w grę wchodzi także polityczne interesy Niemiec, które w tej chwili co prawda nie są skierowane na odzyskanie utraconego po wojnie terytorium, może nawet nigdy w tym kierunku się nie zwróca, lecz ewentualności takiej z całą pewnością wykluczyć się nie da. Bieg historii często zmieniają nie dające się przewidzieć przypadki, w których konsekwencji traktaty i umowy międzynarodowe zmieniają się w historyczne, nie mające żadnej mocy dokumenty. Polityka tyleż winna opierać się na aktualnych ustaleniach, co na zdolności przewidywania niekorzystnego rozwoju sytuacji. To ostatnie, jak się zdaje, w ogóle nie zaprzęta głowy polskim politykom.

Leszek SZARUGA

Kronika niemiecka

SPRAWY GOSPODARCZE I SOCJALNE: W ramach akcji zakupów, 87 zachodniemieckich zakładów przemysłowych zamierza zwiększyć swe zamówienia w nowych landach do ponad 50 miliardów marek (1993 — 35 miliardów), by zmniejszyć dysproporcję między swym zbytem w Niemczech wschodnich (93 r. — 250 miliardów marek). Zamówienia rządowe w roku ubiegłym wyniosły tam 17 miliardów marek (92 r. — ok. 8 miliardów). ■ Co trzecia marka z budżetu Niemiec wydawana jest na cele socjalne. Obciążenie budżetów starych landów tymi wydatkami wynosi 30,3%, w nowych landach 70%. ■ W II połowie 93 r. dochody na głowę w nowych landach osiągnęły

1450 marek miesięcznie, tj. 62% dochodów mieszkańców starych landów. Wartość produktu brutto wypracowanego w nowych landach wyniosła zaledwie 56% ogółu wartości tamtejszego spożycia. ■ Koszty zamówionych przez Rosję wschodniemieckich wagonów kolejowych w wysokości 700 milionów marek opłacane mają być w formie dostaw węgla. ■ W wielu miastach niemieckich powstały w ostatnim czasie polskie i polskoniemieckie organizacje zawodowe, jak np. w Kolonii, gdzie powołano do życia „Niemiecko-Polski Klub Gospodarczy”. ■ Szereg polityków niemieckich zażądało zmniejszenia wkładu Niemiec do kasy Wspólnoty Europejskiej z powodu drastycznego spadku stopy życiowej w wyniku zjednoczenia. Twierdzą oni, iż Niemcy znajdują się pod tym względem na 6-tym miejscu wśród państw Wspólnoty. ■ Na międzynarodowej skali standardu życiowego Niemcy zajmują 11 miejsce na świecie. ■ Dzięki kontrolom nadużyć systemu socjalnego urzędy pracy w roku 93 zaoszczędziły 1,8 miliarda marek. ■ Miesięczne wydatki na jedno dziecko wzrosły w Niemczech do sumy 800-900 marek, co powoduje ubóstwo rodzin wielodzietnych. ■ Również w roku ubiegłym Niemcy odnotowały malejącą liczbę narodzin o 1,3%, tj. o 10.600 dzieci. Spośród noworodków 695.400 posiadało obywatelstwo niemieckie a 103.100 (12%) obce. ■ Pod koniec 93 r. w Niemczech żyło ogółem 6,878 miliona cudzoziemców (92 r. — 6,496 mil.) tj. ok. 8% ogółu mieszkańców. ■ Liczba uczniów z rodzin cudzoziemskich w Niemczech wynosi obecnie 1.056.900, z tego tylko 6.000 uczy się w nowych landach. ■ **POLITYKA:** Nowo wybrany prezydent Niemiec Roman Herzog wyraził sprzeciw w stosunku do prób uformowania „jednolitego Niemca”, stwierdzając, że „Niemcy nigdy nie byli narodem, który można oceniać jedną miarą. Byli zawsze zakorzenieni w swej regionalnej i plemiennej tożsamości. W efekcie wychodziło to nie na szkodę, lecz na korzyść dla ich ogółu”. ■ W tym roku Bonn zamierza przeznaczyć 65 milionów marek na osadnictwo Niemców nadwołżańskich na obszarze Federacji Rosyjskiej. ■ Rząd niemiecki zliberalizował ograniczenia eksportu tzw. „towarów podwójnego zastosowania” (dual-use), tj. do celów cywilnych ale i wojskowych do krajów byłego bloku wschodniego. ■ Głównodowodzący Zachodniej Grupy Wojsk Federacji Rosyjskiej, gen. M. Burlakow ogłosił w Berlinie książkę pt. „Wojska sowieckie w Niemczech 1945-1994” wydaną w języku rosyjskim i niemieckim. Wynika z niej, że w tym okresie stacjonowało w Niemczech Wschodnich 540.000 oficerów, 180.000 podoficerów, 5.380.000 żołnierzy i sierżantów, 416.000 robotników i pracowników cywilnych oraz 1.500.000 członków rodzin żołnierskich; w sumie ponad 8 milionów osób. ■ Bundestag odrzucił możliwość posiadania podwójnego obywa-

telstwa przez cudzoziemców żyjących w Niemczech. ■ Ustępujący ze swego stanowiska prezydent Niemiec Richard von Weizsäcker przestrzegł Rosję przed próbami zdobycia hegemonii w Europie Środkowej. ■ Publiczne zaprzeczanie faktu systematycznego wymordowania przez nazistów milionów Żydów m.in. w komorach gazowych (tzw. *Auschwitzlüge*) uznane zostało za podlegnięcie przeciwko innym narodom i karane ma być w Niemczech więzieniem do lat trzech. ■ W Bawarii i kilku innych landach partia „Republikanie” (Republikaner) uznana została za partię ekstremistyczną i jest kontrolowana przez Federalną Służbę Ochrony Konstytucji. ■ 12.000 osób wzięło udział w demonstracji zorganizowanej w Solingen w rocznicę podpalenia domu, w wyniku którego zginęło w ubiegłym roku pięć Turczynek. ■ Nowym przewodniczącym Związku Wypędzonych w Niemczech BdV został 61-letni prawnik Fritz Wittmann. Zajął on miejsce 79-letniego Herberta Czaji, który już nie kandydował. Wittmann od wczesnych lat 50-tych związał się z bawarską CSU, gdzie pełnił wiele odpowiedzialnych funkcji we władzach landu. Od roku 71-go jest posłem do Bundestagu. Jako specjalista na obszarze prawa międzynarodowego pełnił rozmaite funkcje we władzach federalnych. W latach 70/73 głosił przeciwko tzw. „Układowi Wschodnim”, jak też przeciwko Układowi z Czechosłowacją i układom granicznym. Natomiast wstrzymał się od głosu podczas głosowania nad Niemiecko-Polskim Układem o Stosunkach Sąsiedzkich, ponieważ „chciał uczynić znak dobrej woli”. Swoją decyzję uzasadnił tym, iż ówczesny polski minister spraw zagranicznych jako pierwszy i jedyny minister spraw zagranicznych innego państwa zażądał na forum ONZ zniesienia tzw. „klauzuli przeciwko państwu wrogim”, w tym głównie przeciwko Niemcom. Na moje pytanie (A.S.) o jego własną linię polityczną dr Wittmann stwierdził: „Wypędzenie, to przestępstwo, to mord popełniony na narodzie. I jak długo stan wypędzenia istnieje w sposób wymuszony, istnieje oczywiście ta niesprawiedliwość. Dlatego żądamy prawa do ojczyzny dla tych, którzy w niej żyją, i dla tych, którzy chcą do niej powrócić, ale pod warunkiem, że nie dojdzie do nowych wywłaszczeń czy wypędzenia. Moją linią, która jest też linią polityczną mojego poprzednika, jest linia pojednania.”* ■ Prezydent Republiki Czeskiej Havel odrzucił możliwość rewizji tzw. „dekretów Benesa”, na podstawie których wywłaszczeni zostali po roku 45-tym bez odszkodowań Niemcy żyjący na terenie przedwojennej Czechosłowacji. Dekrety zapoczątkowały akcję wypędzania ponad 3 milionów Niemców Sudeckich. ■ 9-go czerwca br. w Przedstawicielstwie Ambasady RP w Berlinie od-

* Wywiad nie był autoryzowany, A.S.

była się uroczystość dekoracji prof. Bohdana Osadcuka (Aleksander Korab) Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej przez kierownika placówki dra Jerzego Sułka. *Laudatio* wygłosił przyjaciel odznaczonego Wiktor Woroszyński, podkreślając m.in. znaczenie „Kultury” paryskiej jako forum działalności publicystycznej odznaczonego. Dziękując za wyróżnienie, prof. Osadcuk stwierdził m.in. iż „Polska była dla Ukraińców nie zawsze matką, ale i macochą, choć były to w pewnym sensie trudności występujące w wielu rodzinach” i dodał: „Całe życie poświęciłem na usuwanie tych trudności”. ■ KULTURA: Berlin jest największym skupiskiem pisarzy niemieckich. Spośród ogółem 1200 pisarzy berlińskich 500-600 uprawia pisanie jako główne zajęcie, lecz tylko 200 może się z tego utrzymać na skromnym poziomie, 60-70 żyje w miarę zamożnie, a tylko 10-12 zarabia bardzo dobrze. ■ Zdaniem znanego wschodniobrzeńskiego literaturoznawcy, sławisty i popularyzatora literatury polskiej prof. Heinricha Olschowskiego, wraz z upadkiem NRD literatura polska straciła najbardziej uważnych czytelników na niemieckim obszarze językowym, którzy sięgali po polskie książki nie tylko z przyczyn estetycznych i intelektualnych, lecz także z powodu ich treści pozaliterackich. ■ Każdy bilet teatralny w sezonie 91/92 dotowany był przeciętnie sumą 153 marki z kasy federalnej. ■ Od 5-go do 7-go maja odbyła się w Berlinie międzynarodowa konferencja tłumaczy literatury pięknej z 11 krajów pod hasłem „Tłumaczenie: badanie, dystrybucja, recepcja”. ■ Przyznawana przez Dolną Saksonię nagroda literacka *Kulturpreis Schlesien* (15.000 marek) przyznana została w tym roku po raz pierwszy Polsce. Niemiecko-polskie jury przyznało ją Tadeuszowi Różewiczowi. ■ Podczas kwietniowego Kongresu Związku Pisarzy Niemieckich jego nowy przewodniczący pisarz Erich Loest przedstawił projekt antologii literatury polskiej („Polenplan”), nad którym obok niego pracują m.in. Günter Grass, Siegfried Lenz, Christa Wolf i Marcel Reich Ranicki, którzy pochodzą z terenów należących obecnie do Polski. Planuje się dwa bardzo tanie wydania tej książki w Niemczech i Polsce. Stanowić ma ona równocześnie materiał dla wieczorów literackich. Promocję książki w poszczególnych landach zapowiedzieli tacy politycy jak np. Johannes Rau, Norbert Blüm, Helmut Schmidt i Kurt Biedenkopf. Wszyscy uczestnicy kongresu (80 osób) niemal jednogłośnie poparli apel Loesta o skierowanie głównych wysiłków Związku Pisarzy (VS) na wspieranie niemiecko-polskich stosunków na płaszczyźnie literackiej. ■ W drugiej połowie maja w Wolfsburgu odbył się III Kongres Niemiecko-Polski zorganizowany przez organizację Deutsch-Polnische Gesellschaft. Wzięli w nim udział ludzie kultury i sztuki, publicyści i politycy z obu krajów. ■ W połowie czerwca

odbyło się w Berlinie czterodniowe spotkanie poetów, pisarzy, publicystów i literaturoznawców berlińskich i krakowskich, w którym udział wzięli m.in. Jan Józef Szczepański, Julian Kornhauser, Jan Prokop, Zbigniew Baran, Marta Wyka, Teresa Walas, Włodzimierz Maciąg, Lothar Herbst i Kazimierz Tarasiewicz. Stronę niemiecką reprezentowali m.in. Rolf Hauffs, Dietger Pforte, Karin Kiwus, Oskar Pastior i tłumacz Henryk Bereska. Uczestnicy spotkania wzięli też udział w wieczorze literackim z udziałem Karla Dedeciusa i Adama Zagajewskiego. ■ Od maja do września w galerii „Galerie Ucher” w Kolonii ma miejsce wystawa pt. „Dziedzictwo konstruktywizmu w Europie Środkowej”, na której znalazły się także prace twórców polskich.

Berlin 11.06.94

Andrzej STACH

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Kronika kulturalna

Europa, Europa

26 maja br. otwarta została w Kunst- und Ausstellungshalle des Bundesrepublik Deutschland w Bonn wystawa „Europa, Europa. Stulecie awangardy w Europie środkowej i wschodniej”, która trwać będzie do 14 października. Przedstawia ona ok. 1100 dzieł z zakresu sztuk plastycznych (malarstwa, rzeźby, instalacji), fotografiki, wideo, architektury, teatru, filmu i muzyki autorstwa ok. 500 artystów, w tym ok. 40 pisarzy reprezentowanych przez ich publikacje i dotyczące ich dokumenty. Wszystko to zostało wypożyczone ze 130 muzeów i 65 galerii rozsianych po całym świecie, od Houston do Ufy i Astrachania. Katalog wystawy — 4 tomy — waży bez mała 6 kilo.

Ta garść liczb daje chyba jakieś pojęcie o ogromie pracy, jakiej dokonał zespół kierowany przez Ryszarda Stanisławskiego, byłego wieloletniego dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi, przy asyście Christopha Brockhauza, dyrektora Muzeum Rzeźby w Duisburgu. Uwikłany w sprawy związane z tym przedsięwzięciem, nie mogę pretendować do całkowicie bezstronnego spojrzenia na wynik końcowy. Nie oznacza to, jak się zaraz okaże, bezkrytycznej akceptacji. Ale znaczy, że od pierwszej rozmowy na ten temat byłem przekonany o potrzebie takiej wystawy i że uważam za słuszne zasadnicze decyzje, które określiły jej kształt.

W rozumieniu organizatorów wystawy Europa środkowo-wschodnia obejmuje 18 krajów: Armenię i Gruzję, Rosję, Białoruś i Ukrainę, Estonię, Łotwę i Litwę, Polskę, Czechy, Słowację, Węgry, Rumunię, Bułgarię, Słowenię, Chorwację, Serbię i Albanie; nieobecność Mołdowy i Macedonii tłumaczy się zapewne tym po prostu, że nie znaleziono żadnych arty-

stów, którzy by stamtąd pochodzili. Wymienione kraje zaczęły mieć zbliżoną historię dopiero po pierwszej wojnie światowej; po drugiej — wszystkie zostały włączone bądź w skład Związku Sowieckiego, bądź w skład bloku sowieckiego, bądź w skład sowieckiej strefy wpływów, co wystarczało, by ustanowić i utrzymać ustrój komunistyczny.

Takie zakreślenie granic Europy środkowo-wschodniej musi budzić zastrzeżenia w historyku gospodarki, polityki czy kultury doby nowożytnej, dla którego należą do tego obszaru również Finlandia, Niemcy wschodnie — ongiś Prusy, Brandenburgia i Saksonia, a ostatnio NRD, Austria i Grecja. Ale jest ono w pełni uzasadnione z perspektywy historii sztuki. Niemal każdy z tych krajów przeżył między początkiem wieku a końcem lat dwudziestych okres rozkwitu sztuki awangardowej. I niemal każdy z nich przeżył okres realizmu socjalistycznego i izolacji od sztuki Zachodu. Artyści-emigranci, którzy zyskali uznanie na Zachodzie, zostali przezeń wchłonięci, oderwani od świata, w jakim się ukształtowali. Zaś ci, którzy nie wyjechali, popadli w zapomnienie.

Wszystko to sprawiło, że sztuka awangardowa krajów Europy środkowo-wschodniej, nawet jeśli była w jakiejś mierze znana przed wojną, uległa później wytarciu z historii. Przywracanie jej pamięci zaczęło się dopiero po 1956 roku w przypadku Polski, od lat sześćdziesiątych — w przypadku Węgier i Rosji, jeszcze później — w przypadku Czech. Dokonywało się to głównie dzięki wystawom, które przypominały bądź poszczególnych twórców, bądź poszczególne prądy, bądź całe epoki. Niektóre z nich były prawdziwymi wydarzeniami zarazem artystycznymi i politycznymi. Wystawa, o której tu mowa, jest ukoronowaniem i syntezą tej trwającej od blisko czterech dziesięcioleci pracy nad stworzeniem historii sztuki XX wieku, która by uwzględniła wszystkie jej korzenie i całą jej złożoność.

Sztuka awangardy była z założenia międzynarodowa. Odpowiednio do tego wystawa „Europa, Europa” zorganizowana jest wokół podziału na okresy i kierunki, który nie liczy się z granicami państwowymi ani z przynależnością narodową artystów. Jedynym wyjątkiem od tej reguły jest dział zatytułowany „Obecność Żydów”. I tak powinno być. Jakoż jedną z cech wyróżniających do drugiej wojny światowej Europę środkowo-wschodnią jako region był wyższy niż w Europie zachodniej odsetek ludności żydowskiej i obecność tam skupisk żydowskich z ich szczególną kulturą. Zagłada

Żydów dokonana przez hitlerizm była zarazem ludobójstwem i unicestwieniem kultury nie tylko żydowskiej, ale również środkowo- i wschodnioeuropejskiej w tej postaci, w jakiej istniała ona od wieków, gdyż kultura żydowska była niezbywalnym składnikiem jej tożsamości. Sztuka związana tematycznie z tradycją żydowską i z małomiasteczkowym życiem żydowskim nie mieści się w żadnym nurcie awangardy, choć jej związki z nią są niewątpliwe; dotyczy to również prób artystycznego zaświadczenia o zagładzie. Wyjątkowość działu „Obecność Żydów” odpowiada straszliwej odrębności ich losu.

Międzynarodowy charakter sztuki awangardowej nie znaczy bynajmniej jakoby była ona wszędzie taka sama. Jedną z uderzających lekcji wystawy jest złożoność geografii artystycznej Europy środkowo-wschodniej w pierwszym czterdziestolecu XX wieku. Abstrakcja wyrasta z symbolizmu w malarstwie wszystkich krajów z wyjątkiem Polski. Kubizm w malarstwie — ale już nie w rzeźbie — jest głównie czeski; zdominowany przez Czechów pospołu z Rumunami jest również malarski nadrealizm. Natomiast w Rosji, na Węgrzech i w Polsce sztuka awangardowa jest przede wszystkim konstruktywistyczna.

Po drugiej wojnie światowej i epizodzie socrealistycznym, obecnym zresztą bardziej w katalogu niż na samej wystawie, która czyni do niego tylko ironiczne aluzje, te różnice pomiędzy poszczególnymi krajami nie występują już tak ostro. Może to być tylko złudzeniem spowodowanym zatarciem przez bliskość czasową różnic, które uwyrażnią się w przyszłości. Ale może to być również następstwem zaniku po wojnie wyraźnie ukształtowanych prądów, grup i kapliczek takich, jakie istniały dawniej. W sztuce zachodniej występuje, jak się zdaje, podobne zjawisko. Zwiedzając wystawę odnosi się wrażenie, że o ile w okresie przedwojennym dzieła układają się naturalnie w zespoły połączone więzią artystycznego pokrewieństwa, to w okresie powojennym rozmieszczenie ich w różnych rubrykach jest bardziej projekcją poglądów autorów wystawy niż wyrazem więzi, do których poczuwają się sami artyści.

Uwagi te dotyczą wyłącznie tej części wystawy, która poświęcona jest sztukom plastycznym. Omówienie pozostałych przekracza moje kompetencje i rozmiary tego szkicu. Wymagałoby to zresztą zwiedzenia wystawy kilkakrotnie, gdyż za jednym razem nie sposób ogarnąć wszystkiego, co się tam widzi. W tym stanie rzeczy odnotowywanie braków

wydaje się absurdalne. A jednak trzeba to zrobić. Nie chodzi o takie czy inne nazwiska. Postaci, które należą bezdyskusyjnie do awangardy są obecne. A ustalanie granic awangardy i decydowanie w przypadkach spornych, kto należy do niej, a kto nie, jest prawem organizatorów. Pozostaje jednak kwestia nieobecności pewnych dziedzin. Tak więc nie ma na wystawie sztuki użytkowej: mebli, przedmiotów gospodarstwa domowego, wzornictwa przemysłowego. Nie ma szkła. I nie ma plakatu.

Poprzednio wspomniane braki można wybaczyć; nie sposób przecież zawrzeć wszystkiego w jednej wystawie, choćby ogromnej. Ale nieobecność plakatu jest niezrozumiała. Po pierwsze bowiem jest to dziedzina blisko związana z awangardą. Po drugie zaś pełniej niż jakakolwiek inna wprowadziłyby kontekst historyczny z uwagi na bezpośrednie związki plakatu z polityką, gospodarką, obyczajami. Ale może to właśnie sprawiło, że nie został on uwzględniony. Jakoż wystawa ma skłonność do wyłączenia sztuki z jej otoczenia. Do podkreślania jej samostrojnej dynamiki. Odniesienia do historii znajdują się w katalogu. Nie wiem, czy był to przemyślany wybór. W każdym razie trzeba zdawać sobie z tego sprawę.

Te lub inne zastrzeżenia nie naruszają jednak w niczym przekonania, że wystawa „Europa, Europa” jest wielkim wydarzeniem kulturalnym. Pozwala zobaczyć wiele dzieł — w tym sporo arcydzieł — znanych dotąd tylko specjalistom, a godnych powszechnej uwagi. Zestawia ze sobą dzieła, które widywało się dotąd w odosobnieniu, każde w innym miejscu, i których nie sposób było przeto porównać ze sobą. Umieszcza w punkcie wyjścia artystów związanych z symbolizmem — Ciurlionisa, Wojtkiewicza, Wrubla — wyposażając przez to awangardę w genealogię bardziej złożoną i o wiele bardziej międzynarodową niż ta, jaką zwykle się było przypisywać jej dotychczas. Pokazuje, że przyswojenie sobie przez artystów w Europie środkowo-wschodniej zdobyczy awangardy zachodniej — futuryzmu, fowizmu, kubizmu — dokonało się bardzo szybko. I że w zaskakującym tempie nastąpiło wyjście poza już osiągnięte granice. Wszystko to odnawia nasze widzenie sztuki XX wieku i nasze rozumienie jej historii.

W świetle tego, co widzi się teraz w Bonn, Europa środkowo-wschodnia pierwszych trzech dziesięcioleci XX wieku jawi się jako jedno wielkie laboratorium nowej sztuki. Albowiem wszystkie niemal innowacje, które zyskały rozgłos później, zwłaszcza w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, tam właśnie biorą swój początek.

Krzysztof POMIAN

Kontakt 94

To, co politykom naszym nie bardzo wychodziło: nawiązanie nie tylko formalnych, ale znaczących coś konkretnego stosunków z bliższymi i dalszymi sąsiadami, zwłaszcza tymi ze wschodu, udało się ludziom teatru. Dyrektor Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu, Krystyna Meissner, z wielką energią i niebywałym powodzeniem urządza w tym mieście od czterech lat międzynarodowy festiwal teatralny KONTAKT. Nie byłem na trzech pierwszych, ale dochoziły mnie słuchy, że jest to najlepszy festiwal w Polsce i nie tylko. Na tegoroczny, czwarty, jechałem z pewnym niepokojem właśnie dlatego, że jest to impreza modna, na którą udają się wszyscy krytycy i „osoby liczące się” w środowisku artystycznym. A w ogóle uważałem, że największym osiągnięciem festiwalu będzie sam fakt, iż pani Meissner udało się sprowadzić teatry z: Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii, Białorusi, Ukrainy, Rosji (trzy), Gruzji, Turkmenistanu, Uzbekistanu, Czech, Rumunii, Bułgarii, a do tego jeszcze z Francji, Holandii, Włoch, Szwecji, Niemiec, Stanów Zjednoczonych i oczywiście z Polski. Za dużo tego, by mogło być dobre, myślałem. Nie miałem racji.

KONTAKT był istotnie konfrontacją teatrów i ludzi teatru wielu narodów. A choć z kraju rzeczywiście zjawili się „wszyscy ważni” wiedzieli, co robią. Kilkudziesięciu polskich gości miało możliwość nawiązania kontaktów ze stu kilkudziesięcioma gośćmi z zagranicy, w większości ze Wschodu. Zresztą i z Zachodu byli np. przedstawiciele festiwali z Londynu i Edynburga, Kanady, Francji, Niemiec, Litwy, nawet Bośni oraz instytucji teatralnych z około 30 krajów. Jury w pełni międzynarodowe (z udziałem znanych krytyków z Anglii, Niemiec, Rosji, Ukrainy, Czech i dwóch polskich); spektakle tłumaczone przez słuchawki na angielski, rosyjski i polski.

Imponujący zestaw imprez towarzyszących obejmował wystawy: ambalazy Tadeusza Kantora, prac artystów z Turkmenistanu i Polski, pokazy filmów dokumentalnych o Syberii Jurija Schillera z Nowosybirsk (w sumie osiem i pół godziny projekcji), recital pieśni greckich i trzydniową sesję roboczą międzynarodowej organizacji teatralnej JETM, poświęconą zaznajomieniu się z obecną kondycją teatru polskiego i sytuacją teatrów na obszarze tzw. byłego bloku wschodniego. A więc Polska wystąpiła jako gospodarz i pośrednik, w aurze pięknego i wspaniale odnawianego średniowiecznego Torunia. Tak powinno być i tak się wreszcie dzieje, przynajmniej w jednej dziedzinie: zaniedbywanej kultury.

W końcu jednak o kształcie festiwalu teatralnego decydują spektakle. I tu największa niespodzianka. Z kilkunastu spektakli które udało mi się obejrzyć (bo niestety nie mogłem być na całym festiwalu) niemal wszystkie były naprawdę dobre. Nawet teatry, które przybyły z antypodów, chyba po raz pierwszy udając się za granicę, przywiozły przedstawienia ciekawe, dające do myślenia, niekiedy znakomite. Satysfakcji estetycznej towarzyszyło w wielu wypadkach uczucie, że uzyskujemy wgląd w nieznane nam dotąd konwencje i propozycje kulturalne.

Ze występy teatrów rosyjskich „nie przejdą bez śladu” można się było spodziewać. Ale mało kto oczekiwał takiego sukcesu, jaki odniósł moskiewski Teatr na Pokrowie „Trzema siostrami” Czechowa. Reżyser, zarazem dyrektor tego teatru, istniejącego zaledwie od trzech lat, Siergiej Arcybaszew, dał nader niekonwencjonalną inscenizację przestrzenną: widzowie byli gośćmi na imieninach Iriny, siedząc z aktorami przy stole i wokół, co nie oznaczało bynajmniej statyczności. Wydobyć szacownego klasyka ze sceny pudełkowej nie było tanim efektem, ale symbolizowało jego uwspółcześnienie w sferze znaczeń i odczuć. Aktorzy zaczynają grać w ubraniach dzisiejszych, stopniowo, niepostrzeżenie niemal, przechodzących w stroje i mundury z epoki, jakby wracając od naszych czasów do Czechowa. Ma ten spektakl tempo, humor, erotyzm, szereg świetnych pomysłów. Piękny, wzruszający, aktorsko na najwyższym poziomie, ukazuje zachodnim widzom, jak można z wyobraźnią „unowocześnić” Czechowa, nie pozbawiając go istotnych treści.

Tym bardziej żałowałem, że nie mogłem obejrzyć innej klasycznej propozycji rosyjskiej: „Grzeszników bez winy” Ostrowskiego w wykonaniu Teatru im. Wachtangowa z Moskwy. Ale zdążył mnie jeszcze zadziwić teatr z Uljanowska, prezentujący dla odmiany zaniedbanego obecnie klasyka niemieckiego: sztukę „Schluck i Jau” Hauptmanna, w inscenizacji Jurija Kopyłowa. Ta wersja „Z chłopą król” w scenerii średniowiecznej, była swoistym odkryciem teatralnym. Została stylowo i z wyobraźnią przekazana przez Rosjan, którzy wydobyli jej pokrewieństwo z „Henrykiem IV” Pirandella i konkluzję, że nie można bezkarnie kreować fikcyjnej rzeczywistości, manipulując ludźmi.

Przyjemnością było oglądanie teatrów z krajów bałtyckich. Nie widziałem estońskiej inscenizacji „Białego małżeństwa” Rózewicza ale od obecnego na festiwalu autora wiem, że był z niej zadowolony. Zespół z Wilna o długiej nazwie Litewski Międzynarodowy Festiwal Teatralny LIFE przyniósł drugi „hit” KONTAKT-u — inscenizację sztuk Puszkina „Mozart i Salieri — Don Juan — Dżuma”. Jej twórca, Eimuntas Nekrosius, to niewątpliwie jeden z najoryginalniejszych dziś artystów teatru w Europie. Jest to spektakl nacechowany subtelnym liryzmem, zara-

zem ostro surrealistyczny, skrzący się pomysłami do zawrotu głowy. Jest tu pantomima, elementy baletu, „żywe” i dowcipne dekoracje i rekwizyty, a muzyka, podbudowująca efekt, sięga od poloneza Ogińskiego po liturgię prawosławną. I ten spektakl zademonstrował twórcze podejście do klasyki. Na pewno powędruje on w kierunku zachodnim. Dla tych Polaków, którzy tego potrzebują (nie odnosi się to do bywalców KONTAKT-u: Nekrosius ze swymi spektaklami gościł tu już po raz trzeci) — lekcja, że i mała Litwa ma wielką sztukę, której można pozazdrościć.

Tak jednoznacznych opinii nie było już w wypadku innych przedstawień (z tych, które obejrzałem). Teatr Nowy z Rygi zaprezentował „Markizę de Sade” Yukio Miszimy, w formie powolnej pantomimy, punktowanej dialogiem. Ciągłe przemarsze aktorek wzdłuż sceny w tej samej manierze wydawały się monotonne większości widzów, którzy nie dotrwali do końca długiego przedstawienia w późnej porze. A szkoda. Bo ostatnia, trzecia część odeszła od 18-wiecznego salonu i de Sade’a, przemieniając się w teatr rytualny na modłę japońską, zgodnie z koncepcją reżysera Alvisa Hermanisa, zakładającą, że dramat ten dotyczy najbardziej samego Miszimy.

Do najciekawszych dla mnie, ale też niejednoznacznych w odbiorze dla widzów, należały dwa spektakle Teatru Młodego Widza z Aszchabadu, w reżyserii Owlaguli Hodżaguliego. Teatr ten, choć z dość długimi tradycjami, gra podobno w namiocie (w co nie bardzo wierzę, chyba że — na objazdach prowincji). Ale można by tak sądzić po ciemnym kolorycie i prostych, choć pełnych wyrazu środkach scenicznych. Może dla niektórych widzów zaskakujący był fakt, że z muzułmańskiego Turkmenistanu przywieziono spektakl osnuty na Biblii: „Lament proroków” Tirkisa Jumageldiego opowiada dzieje Józefa i oddania go w egipską niewolę, w sposób półrytualny, ale i psychologicznie ciekawy. (Biblijny Józef nie jest tu wyidealizowanym cierpiętnikiem, lecz z krwi i kości dość próżnym i naiwnym człowiekiem). Jedyne elementy scenografii to kopa siana używana wielofunkcyjnie. Reżyser operuje głównie półbaletowym ruchem, bracia Józefa stanowią swoisty chór.

Dруга pozycja turkmeńska sięgnęła w inny krąg kulturowy. Była to „Kobieta z wydm” Kobo Abe. Hodżaguli zrealizował spektakl trochę w podobnej do poprzedniego stylistyce. Aktorzy rozegrali akcję naturalnie i z przekonaniem — może sytuacja japońskich chłopów z wydm nie różni się tak bardzo od sytuacji chłopów na piaskach turkmeńskich. Żałowałem, że nie dane było mi obejrzyć spektaklu z Uzbekistanu „Podróż do Taszkientu”. Inny spektakl, tym razem z pogranicza Euroazji, był już znany z festiwalu w Edynburgu (co by dowodziło, że jed-

nak poza KONTAKT-em też odbywa się jakiś ruch na linii Wschód-Zachód). Był to uroczy i dowcipny, choć nie odkrywczy gruziński „Sen nocy letniej” Teatru Aktora Filmowego z Tbilisi.

Najbliżsi wschodni sąsiedzi Polski nie wypadli zbyt dobrze, ale były to porażki z różnych względów godne uwagi. Teatr Eksperymentalny WERASIN z Białorusi zaprezentował sztukę „Witajcie w naszej wsi” Marczuka w zajezdni tramwajowej. Zaczął od anarchicznej pantomimy, uderzył świeżością aktorów, przestrzennym rozmachem, ale wkrótce pogubił się pomiędzy elementami *commedia dell'arte* i amatorszczyzną. Co gorsza, od czasu zaproszenia na festiwal zespół znacznie rozbudował pierwotny spektakl i gdy po dwóch godzinach (tyle czasu miało trwać przedstawienie) zapowiedziano... przerwę, nikt już nie został na drugą część, którą odwołano. Ale gdyby widzowie, cierpiący na twardych deskach bez oparcia, wsłuchali się w tekst, zauważyliby jaką smutną i prawdziwą opowieść o życiu białoruskich chłopów i robotników usiłovali przedstawić aktorzy i ich reżyser, Nikołaj Dinow.

Twórcy spektaklu ukraińskiego „Duchesse” (Studio Teatralne z Kijowa) starali się podkreślić swoją europejskość i oczytanie. Reżyser Oleg Lipcyn dał jednak zbyt statyczne, surowe przedstawienie i pozostaje sprawą otwartą, czy ewokacja „Ulisesa” Joyce’a (z fragmentami „Hamleta”) tak właśnie powinna wyglądać. Kazamaty fortu, w którym spektakl grano też nie były najlepszym do tego celu miejscem.

Duży „rozziew jakościowy” zaprezentowały przedstawienia skandynawskie. „Sprawy rodzinne” Rosy Liksom (teatr KOM z Helsinek, reżyser Pekka Milonoff) to rozbuchany, anarchiczny spektakl o życiu frywolnej rodziny, w stylu teatru studenckiego z lat 70-tych, spóźniony o 20 lat na tym festiwalu.

Inaczej zupełnie szwedzki Marionetteatern, którego wersja „Sonaty widm” Strindberga w inscenizacji Romana Paski (amerykańskiego reżysera polskiego pochodzenia) była — wraz z „Trzema siostrami” i litewskim Puszkinem — największym sukcesem tej części festiwalu, którą udało mi się obejrzeć. W sposób perfekcyjny współgrały marionetki, żywi aktorzy, plastyka, muzyka, światło. Nigdy chyba przedtem nie widziałem, by lalki do tego stopnia w rękach swych animatorów przypominały ekspresją żywych ludzi. Środkami w sumie prostymi i nowoczesnymi ewokowano atmosferę i treść utworu Strindberga w sposób wielce sugestywny.

Z przedstawień zachodnich widziałem jeszcze niekonwencjonalny spektakl holenderski „Zoll — przypadek graniczny” (Impresariat Wim Visser, reżyser Michael Helmerhorst) — monodram pantomimiczny w wykonaniu Marka Kingsforda. Na

ogromnej, jak na jednego mima, strukturze scenicznej, przedstawiającej posterunek celny niewątpliwie gdzieś na wschodzie rozgrywa się, niczym wczesna sztuka Mrożka bez dialogu, satyra na nasz zwariowany świat. Strażnik, czy celnik, w trakcie rutynowych czynności na swym posterunku, jest mimowolnym świadkiem kolejnych zmian politycznych w państwie. Myślę, że spektakl ten nasuwał uczestnikom z różnych krajów wiele możliwości interpretacyjnych.

Ponadto widzowie KONTAKT-u oglądać mogli dwa spektakle teatru ulicznego: francuski zespół *Plasticiens volants* z „Wielką Gigantomachią” i włoski Silence ze spektaklem „Figurazione”, dwie sztuki Jordana Jowkova w wykonaniu bułgarskiego teatru Studio Sfumato, „Koniec świata” amerykańskiego Teatru dla ptaków (druga festiwalowa inscenizacja Romana Paski). Schauspielhaus z Lipska przywiózł „Króla Ubu”, Czeši „Jaskinię filozofów” Herberta. Rumuński teatr Bulandra niestety odwołał udział i przysłał wideotaśmę swego spektaklu „Il teatro comico” Goldoniego.

I wreszcie odnotować należy silny udział Polaków. Krakowski Stary Teatr przywiózł „Jak wam się podoba” Szekspira w reżyserii Bradeckiego, Teatr Polski z Wrocławia — „Platonowa” Czechowa w reżyserii Jarockiego, Biuro podróży company z Poznania — kreację zbiorową o procesie Giordano Bruno (reżyser Paweł Szkotak). A gospodarze — toruński Teatr im. Horzycy przedstawił „Piosenki przed trybunałem” Pierre-Jean de Bérangera (reżyser Marta Stebnicka).

W sumie KONTAKT był imponującą imprezą — w sferze sztuki, organizacji i kontaktów ludzkich. Jakże uzasadniona i wybiegająca w przyszłość okazała się skromna nazwa tego festiwalu. Przyglądając się nawzajem swoim poszukiwaniom jego uczestnicy i obserwatorzy utwierdzili się w przekonaniu o „jedności w różnorodności” naszego, odkrywanego na nowo (po obaleniu sztucznych i wymuszonych podziałów) świata. Nie dziwię się, że KONTAKT się wciąż rozrasta. Przybywają nowi, a ci, którzy raz tu byli, chcą przyjechać znowu. Teraz sam do nich należę.

Bolesław TABORSKI

P.S.

Nagród przyznanych na festiwalu nie komentuję; nie tylko dlatego, że nie widziałem wszystkich spektakli (choć z przyjemnością odnotowuję, że nagrody otrzymały ocenione przeze mnie wysoko „Trzy siostry” z Moskwy i jednoaktówki Puszkina z Litwy). Uważam, że KONTAKT, jako spotkanie teatrów o tak

odmiennych profilach jak na przykład krakowski Stary, zachodnie grupy *fringe'*owe, czy młodzieżowy zespół z Turkmenii, powinien mieć charakter festiwalu otwartego a nie konkursowego. Wszystkie te teatry powinny być na KONTAKcie obecne, ale nieporozumieniem jest przyznawanie im nagród w tej samej kategorii. Chyba nagród w ogóle nie powinno być. Wtedy uniknęłoby się wybrzydzenia i tonu besserwiserstwa, jaki zaznaczył się w niektórych polskich recenzjach, gotowych niemal już odpisać KONTAKT na straty. Prawdziwe znaczenie tego festiwalu dopiero teraz zaczyna się objawiać. Torpedowanie tej inicjatywy (jakże ulubione polskie zajęcie) byłoby błędem nie do wybaczenia.

B. T.

Ignis ardens

KSIĄŻKA O JULIANIE KRZYŻANOWSKIM

Profesor Krzyżanowski był jednym z najwybitniejszych historyków literatury naszego stulecia i zarazem niezwykle barwną postacią polskiego życia kulturalnego. Autor kilkudziesięciu książek i około 1300 artykułów, rozpraw, wstępów do edycji oraz bohater niezliczonych anegdot i zabawnych opowieści, krążących w środowisku polonistycznym. Admirowany przez swych uczniów (i uczennice) do bałwochwalstwa i z upodobaniem przedrzeźniany przez nich — oczywiście dobrotliwie (ileż radości przynosiły nam parodie jego wykładów wygłaszane przez obdarzonych talentem aktorskim naszych kolegów i koleżanki). Człowiek znany z ostrego języka, nie unikający złośliwości, tworca licznych z upodobaniem powtarzanych przez innych ostrych powiedzeń (nieraz dotyczących znanych osób), obdarzony ogromnym poczuciem humoru i zarazem niezwykle poważnie traktujący i realizujący etos polskiego inteligenta, ukształtowany jeszcze w XIX wieku. Pragmatyk uważający, że w najtrudniejszych warunkach należy trwać w kraju i prowadzić „pracę u podstaw”, programowy zwolennik kompromisu wierzący, że nawet z diabłem da się jakoś dogadać i jednocześnie uczyony, który nigdy nie uczynił najmniejszej koncesji na rzecz panującego marksizmu. Tytan pracy ale również człowiek

nie stroniący od zabawy, lubiący w dobranym towarzystwie spędzić niejedną godzinę na swobodnej rozmowie przy szklaneczce wina (czy innym dobrym trunku).

Postać renesansowo bogata. Nic zatem dziwnego, że książka jemu poświęcona¹ liczy 459 stron dużego formatu, zawiera 12 wspomnień, 16 artykułów omawiających poszczególne dziedziny jego dorobku naukowego, „Kalendarium życia i twórczości” oraz „Bibliografię” (nie licząc „Glosy wydawniczej” i „Noty edytorskiej”). Wydana zaś została staraniem Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza (któremu Julian Krzyżanowski prezesował przez wiele kadencji) oraz Państwowego Instytutu Wydawniczego, w setną rocznicę urodzin Profesora.

Czytam teraz „Ignis ardens” i chcąc nie chcąc przywołuję własne wspomnienia. Przecież Julian Krzyżanowski był i moim nauczycielem oraz mistrzem. Do dziś np. dokładnie pamiętam zdawany u niego w 1954 r. egzamin magisterski. Zadał mi typowe dla niego, przeglądowe pytanie. Chciał, abym wymienił wszystkie spotkania w karczmie, jakie miały miejsce w literaturze polskiej. Wspomniałem oczywiście „Pana Tadeusza”, „Pocioty”, „Zaklęty dwór” (a nie wiedziałem wówczas jeszcze, że to ulubiona powieść Profesora). Gdy do książki Walerego Łozińskiego doszedłem, nie pozwolił mi już od niej odejść. Zaczął zadawać kolejne pytania dotyczące tego utworu. Początkowo byłem przerażony, bo czytałem go dawno, mając 14 lat, niewiele pamiętałem. Ale w miarę rozmowy powoli otwierały się kłapki pamięci i pod koniec egzaminu trwającego półtorej godziny „Zaklęty dwór” pamiętałem już doskonale.

Nazwałem egzamin rozmową. Często bowiem miał on u Krzyżanowskiego taki właśnie charakter. Na egzaminie zachowywał się ze swobodą. Gotów był wysłuchać argumentów, podyskutować. Egzamin właśnie często przemieniał się w dyskusję.

Potem pisałem pod kierunkiem prof. Krzyżanowskiego pracę doktorską. Jako promotor był niezwykle liberalny. Nie wtrącał się do pisania, nie narzucał tematu. Przyszedłem do niego z gotowym pomysłem, który zaakceptował, godził się także na liczne później jego modyfikacje. Nie oznacza to, że praca go nie obchodziła. Dowiadywał się często — nie zdawkowo — o jej postępy, zadawał kompetentne pytania na jej temat. Nigdy też nie odmówił rady i pomocy, gdy przychodziło się do niego z konkretną sprawą.

Największą pomoc uzyskałem od Profesora jednak już po zakończeniu pracy. Poświęciłem ją grupie pisarzy z okresu poprzedzającego powstanie styczniowe, na których pierwszy zwró-

1. „Ignis ardens. Julian Krzyżanowski, człowiek i uczyony. W stulecie urodzin”. Pod red. Marii Bokszczanin. Warszawa 1993.

ciłem uwagę i wyodrębniłem jako całość. Mówiłem o nich opisowo: „grupa twórców, którzy...”. Krzyżanowski, któremu praca bardzo się podobała, powiedział: trudno! Jest pan w sytuacji Pana Boga. Powołał pan do bytu zupełnie nowe zjawisko literackie, teraz trzeba je nazwać. Najlepiej jednym słowem. I doradził: „Pamiętam — powiedział — że któryś z pana bohaterów powiedział o sobie „przedburzowiec”. Zdaje się Bałucki. Niech pan poszuka, idealnie by pasowało”. Zacząłem szukać i znalazłem. Wprawdzie nie Bałucki go użył, lecz Romanowski, ale stało się tytułem mojej książki a z czasem nawet hasła w „Słowniku literatury polskiej XIX wieku”.

Byłem dumny, że — w przeciwieństwie do wielu moich kolegów piszących prace u profesorów mających na swym koncie publikacje, których się wstydzili — moim mistrzem był uczoney, nigdy nie splamiony żadną pracą „marksistowską”. Wiele mu zawdzięczam. I to, że w badaniach swoich nigdy nie zamknąłem się obrębie jednej epoki. W dużym stopniu z jego inspiracji wzięły się też moje zainteresowania zjawiskami pogranicznymi na obszarze literatury.

I oto teraz mam przed sobą książkę poświęconą mojemu mistrzowi. Składa się ona z rozpraw i wspomnień wygłaszanych na rocznicowych sesjach oraz artykułów, które z okazji jego śmierci ukazały się w czasopiśmie (m.in. szkicu Andrzeja Biernackiego, zamieszczonego w swoim czasie w paryskiej „Kulturze”). Referaty i artykuły są na ogół starannie dobrane przez redaktorkę tomu Marię Bokszczanin uzupełnione tekstami dotąd nie publikowanymi, w tym specjalnie napisanymi dla tomu. Z tych ostatnich wyróżnia się staranne i cenne „Kalendarium życia i twórczości” Juliana Krzyżanowskiego przygotowane przez Helenę Kapełus. Artykuły i wspomnienia układają się w całość ukazującą od różnych stron człowieka i uczonego. Posiadają oczywiście różną wartość. Ale są wśród nich znakomite — jak otwierające tom wspomnienie Jerzego Pelca zatytułowane „Mistrz”, jak Marii Bokszczanin „Duch — wieczny optymista”, Andrzeja Biernackiego „Juliana Krzyżanowskiego żywot i sprawy” czy Jerzego Krzyżanowskiego „Wspomnienie o moim ojcu”. W części drugiej książki zatytułowanej „Nad dziełem uczonego” wyróżniają się rozprawy: Wiktora Weintrauba omawiająca dorobek „badacza literatury staropolskiej”, Edmunda Jankowskiego o Krzyżanowskim „jako badaczu literatury okresu pozytywizmu”, Zdzisława Libery o „Roli Juliana Krzyżanowskiego w badaniach nad socjologią literatury”.

Oczywiście i w „Ignis ardens” znajdują się pewne braki i nie byłbym uczniem prof. Krzyżanowskiego, gdybym nie zwrócił na nie uwagi. Niektóre z nich zresztą trudno wyeliminować w tego typu książce zbiorowej. Należy do nich powtarzalność pew-

nych faktów biograficznych czy stwierdzeń charakteryzujących dorobek badacza książki w kolejnych szkicach wspomnieniowych i rozprawach (zwłaszcza w tych pierwszych). Niemniej może przydałaby się w tym zakresie częstsza interwencja redaktora tomu. Także same teksty nie są równe. Ogromna większość spośród nich jest bardzo trafnie wybrana i ułożona a zdarzają się wśród nich — o czym wspominałem wyżej — znakomite. Ale trafiają się całkowicie zdawkowe (np. s. 61) czy wyłącznie powtarzające informacje ciekawiej przywołane już wcześniej przez innych autorów (p. s. 53). I wreszcie ostatnia sprawa. Gdziekolwiek trafiają się też niechlujstwa. Na s. 29 czytamy „Wraz z Tadeuszem Mikulskim i I. Krauze weszli do lokalu Seminarium”. Profesor nie lubił tego rusycyzmu (czy anglicyzmu), który panoszył się po wojnie w drukowanej polszczyźnie: zaznaczania w tekście imion tylko pierwszą literą. Ale tu w dodatku zachodziła niekonsekwencja: bardziej znany Mikulski przywołany jest pełnym imieniem a na pewno większości czytelników nie znany pan (czy też pani?) Krauze tylko pierwszą jego literą — jakby to był przypis, zapis bibliograficzny czy encyklopedyczny. W ogóle zresztą szkic, z którego pochodzi cytat — w przeciwieństwie do reszty książki — napisany jest wyjątkowo topornym językiem.

Pozwoliłem sobie na te kilka krytycznych uwag (dotyczą one zresztą w tomie jego niewielkiego marginesu), ale całość przeczytałem z wyjątkową satysfakcją. Dobrze, że uczoney i człowiek tej miary, co profesor Julian Krzyżanowski został uczony tak ciekawą i potrzebną książką.

Janusz MACIEJEWSKI

Tak, i co dalej?

Skarżył się jeden z uczestników muzealnej prezentacji Grupy Krakowskiej w Zachęcie, że słabe są echa tej wystawy w mediach, że dyrektorka galerii występując ostatnio w telewizyjnym Pegazie nie o Grupie Krakowskiej mówiła — a o Mirosławie Bałce. Mówił też w Pegazie o Bałce kierownik galerii Foksal oraz dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi, gdzie właśnie odbywa się wystawa tego artysty, którego dzieło, według słów dyrektora muzeum, cechuje „monumentalizm aspiracji”. Zaprezentowało

się z Pegazem zjednoczone lobby, które wprowadzanie do światowego obiegu niektórych artystów uważa za ważny cel swej działalności w instytucjach publicznych, bo prywatnych, czyli rynku sztuki powiązane z rynkiem międzynarodowym wciąż w Polsce nie ma.

Wyeksportować, uczynić sławnym, by przyczynić się do sławy kraju? Dopomóc artyście w jego karierze? A może wpłynąć na kształt i bieg sztuki współczesnej? Z tym jest najtrudniej, skoro artyści „promowani” są według już funkcjonujących na świecie kryteriów i dokonań.

Nie ma wystarczających argumentów przeciwko tej koncepcji działania i funkcjonowania sztuki, ale nie ma też przekonujących argumentów „za”. Bo jeśli tak, to co dalej? Jaki jest ten szczyt do osiągnięcia? A może mamy tu do czynienia nie z dążeniem do kariery, sławy, pieniędzy, wpływania na kształt sztuki, lecz z właściwym człowiekowi dążeniem do absolutu, do najwyższego spełnienia?

Gdy Michał Anioł malował Kaplicę Sykstyńską zanotował, że do historii Noego nie używał modelu, bo jakimże byłby rzemieślnikiem, gdyby nie potrafił jej namalować w oparciu o Biblię. Poruszające przypomnienie umocowania tej wspaniałej sztuki w rzemiośle i w słowie, w żywym dla współczesnych opisanu świata przypomina o samotności i braku umocowania sztuki dzisiejszej lub może o przesunięciu jej do innych obszarów? To może być przecież prawdą, że ascetyczne przedmioty, które Bałka umieszcza w salach wystawowych są wyrazem jego potrzeby ujęcia spraw ostatecznych, jego aspiracji monumentalnych jak Kaplica Sykstyńska. Tylko co nam z tego?

Cywilizacja to władza nad światem, kultura — to miłość do świata — cytuje i rozwija słowa profesora Antoniego Kępińskiego Marek Skwarnicki z ostatniej strony *Tygodnika Powszechnego*. Wielu artystów współczesnych jest wciąganych w idee władania, a więc w myślenie cywilizacyjne i kierując wyobraźnię w tę stronę gubi intuicję świata. Niczego już nie odkrywa, nie wciela, nie przepowiada, pozostaje w martwym punkcie zatrzymanej choć nieraz efektownej teraźniejszości.

Bałka jest młodym, zdolnym rzeźbiarzem. Objawił się w „kulturze”, wciągnęła go „cywilizacja”. W gruncie rzeczy jest to nowe wcielenie starego problemu polskiej kultury, na różny sposób w różnych okresach rozwiązywanego, dziś w wydaniu niepodległym i europejskim szczególnie dotkliwego swą sloganową nachalnością i brakiem nowych przemyśleń.

Od kultury do cywilizacji — ale bywa i odwrotnie. W so-

botni, wczesny poranek spotykam na pustym placu Wilsona profesora rzeźby, którego Bałka mógłby być wnukiem i jest nim w tym sensie, że profesor, klasyk współczesności, wypuścił w świat już ze dwa pokolenia twórców cywilizacyjnych wizji, wspaniałych pomysłów, inteligentnych lub poetyckich conceptów i działań. Pytam nad czym pracuje — a jemu oczy jaśnieją — „wie pani, na starość odkrywam rzemiosło”.

29.04.1994

Barbara MAJEWSKA

Stulecie Polskiej Stacji Naukowej w Paryżu

W dniach 8 i 9 czerwca br. polska Stacja Naukowa w Paryżu obchodziła stulecie istnienia. Historia tej placówki zasługuje na to, by ją krótko przypomnieć. Powstała jako część składowa Biblioteki Polskiej na Wyspie św. Ludwika, w wyniku umowy między prezesem Towarzystwa Historyczno-Literackiego, ks. Władysławem Czartoryskim, a władzami krakowskiej Akademii Umiejętności. Główną misją Stacji (pod zarządem AU) miała być pomoc dla uczonych polskich przeprowadzających badania we Francji oraz zadzierzgnięcie kontaktów między nauką polską i francuską. Prezes Towarzystwa Historyczno-Literackiego został pierwszym przewodniczącym komitetu zarządzającego, a sekretarzem Władysław Mickiewicz. Inauguracja odbyła się 3 maja 1893 r. Był to wówczas jedyny niezależny polski ośrodek badawczy za granicą.

Od początku swojej działalności Stacja objęła opieką Polaków przybywających do Paryża jako stypendyści Akademii Umiejętności i nawiązała wymianę z wybitnymi naukowcami francuskimi (jak Pasteur, twórca mikrobiologii i A. Sorel, historyk, obaj zresztą członkowie zagraniczni AU). W okresie II Rzeczypospolitej Stacja nabrała rozpędu, rozszerzyła swoje funkcje, stała się największą zagraniczną placówką naukową w Paryżu. Organizowała serie wykładów, których tradycja przetrwała do dziś. Uruchomiono również Ośrodek Studiów Polskich, gdzie była wykładana literatura polska (przez zasłużonego tłumacza i polonofila P. Cazin) i wiedza o Polsce współczesnej (prof. H. de Monfort). Później dodano również wykłady z historii polskiej wojskowości. Na odczytach bywały tutaj wybitne osobistości świata literackiego (P. Valéry, A. Gide) i politycznego.

Po drugiej wojnie światowej, podczas której Biblioteka Polska uległa dużym zniszczeniom, placówka powracała do życia restaurując pomieszczenia, instalując na nowo wywiezione zbiory. Wydarzenia polityczne w Polsce komplikowały sytuację. Polska Akademia Umiejętności podjęła uchwałę o oddzieleniu Stacji Naukowej od Biblioteki Polskiej, na tle konfliktu między przedstawicielami emigracji i nowymi władzami Polski. Stacja opuściła więc Wyspę św. Ludwika i zajęła gmach przy ulicy Lauriston 74, zakupiony przez rząd polski i przekazany ambasadowi w Paryżu. W r. 1955 Stacja znalazła się pod zarządem Polskiej Akademii Nauk (utworzonej cztery lata wcześniej). Można zauważyć, że rytm jej życia był ściśle zależny od wydarzeń historycznych powojennej Polski. W okresach terroru ideologicznego i politycznej zapaści zamierała, prowadziła istnienie czysto fasadowe. Wielu z nas pamięta ponure wrażenie wyniesione z krótkich wizyt w gmachu na Lauriston, wrażenie martwoty i fałszu w atmosferze.

Okoliczności zmieniły się w r. 1989. Stacja Naukowa PAN w Paryżu przestała być dodatkiem do hotelu dla naukowców (a taką rolę dotąd odgrywała głównie). Zaczęła intensywną pracę nad zdobyciem pozycji rzeczywistego ośrodka debat i wymiany między środowiskami naukowymi w Polsce i we Francji. Posypały się wspólne kolokwia i seminaria, zarówno z nauk humanistycznych jak ścisłych, imprezy typu „okrągłego stołu”, prezentacja książek i ciekawych postaci badaczy bądź artystów. Coraz liczniej gośćmi Stacji są uczeni francuscy dużej klasy, zainteresowani rozwojem różnych dyscyplin wiedzy w naszym kraju.

Obchody stulecia (z rocznym poślizgiem) trafiły więc na sprzyjający klimat. Pierwszy dzień (8.VI.) rozpoczął się odsłonięciem tablicy upamiętniającej wizyty Marcela Prousta w domu na Lauriston 74, wówczas należącym do rodziny Clermont-Tonnerre — i zakończył pogadanką na temat polskich śladów „W poszukiwaniu straconego czasu” (przez B. Raffalli). Prezes PAN, obecny wraz z innymi reprezentantami władz Akademii, powitał zebranych i wręczył dyplomy członków zagranicznych PAN prof. prof. Maugin i Kagan. Dzień drugi (9.VI.), rozpoczęty inauguracją tablicy na cześć polskiej delegacji na Konferencję w Wersalu (przez wicemarszałka Sejmu A. Małachowskiego), skupiony był wokół odczytu K. Pomiana o kształtowaniu się wspólnoty naukowej w Europie. Prof. Charpak, laureat nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, otrzymał medal Kopernika, nadawany przez PAN za wyjątkowe zasługi dla nauki. Medal ten został również przyznany Jerzemu Giedroycowi.

Odczytano również telegramy i listy gratulacyjne, przysłane na ręce dyrektora Stacji, prof. J. Borejszy, od uczonych polskich rozsianszych na całym świecie.

KOMUNIKATY

FUNDUSZ JORDANOWSKICH

Na początku bieżącego roku przy Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku powstał Fundusz Jordanowskich dla upamiętnienia osoby śp. Stanisława Jordanowskiego, wieloletniego prezesa Instytutu. Celem tego Funduszu jest materialne wspomaganie wszelkich inicjatyw istotnych dla rozwoju myśli niepodległościowej Marszałka Piłsudskiego.

Komitet Funduszu przewiduje coroczne przyznawanie jednej lub dwóch nagród pieniężnych w wysokości minimum tysiąca dolarów.

W br. Komitet Funduszu przyznał Dol. 1.000.- na budowę pomnika Poległych i Pomordowanych na Wschodzie, który ma stanąć w Warszawie oraz Dol. 1.000.- na dofinansowanie druku wspomnień śp. płk. Józefa Herzoga.

Adres Funduszu:

Piłsudski Institute of America,
Jordanowski Fund,
180 Second Avenue, New York, NY 10003-5778;
tel.: (212) 505-9077; fax: (212) 505-9052.

WSCHODNIA SZKOŁA LETNIA — SESJA III

Na Uniwersytecie Warszawskim staraniem Studium Europy Wschodniej i Azji Środkowej została otwarta III Sesja Wschodniej Szkoły Letniej, która trwała od 1 do 21 lipca br. Na sesji miały miejsce następujące wykłady:

Jerzy SKOWRONEK — historyk, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Naczelny Dyrektor Archiwów Państwowych, Warszawa: „Schyłek stulecia. Dziedzictwo i perspektywy” (wykład inauguracyjny);

Jerzy SKOWRONEK — „Europa Środkowo-Wschodnia XIX — pocz. XX w. Od dominacji mocarstw do poszukiwania dróg własnych”;

Tadeusz S. JAROSZEWSKI — historyk sztuki, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa: „O siedzibie ziemian-skiej na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej”;

Tadeusz CHRZANOWSKI — historyk sztuki, profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin: „Kultura szlachecka dawnej Rzeczypospolitej”;

Frank GOLCZEWSKI — historyk, profesor Universität der Bundeswehr, Hamburg, Niemcy: „Niemcy a Europa Środkowo-Wschodnia podczas II wojny światowej”;

Jerzy HOLZER — historyk, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa: „Niemcy i Europa Środkowo-Wschodnia w ostatnim półwieczu”;

Aleksandras SHROMAS — politolog, profesor Hillsdale College, USA: „Samostanowienie i suwerenność narodów w świecie postkomunistycznym”;

Jadwiga STANISZKIS — politolog, profesor Polskiej Akademii Nauk, Warszawa: „Dynamika transformacji w Europie Środkowo-Wschodniej”;

Ewa KULEZA — politolog, wykładowca Institut d'Etudes Politiques, Paryż, Francja: „Problem integracji krajów Europy Środkowo-Wschodniej i Unii Europejskiej”;

Leopold UNGER — publicysta, *Le Soir*, Bruksela, Belgia: „Europa Środkowa: obszar pustki strategicznej między Rosją a Zachodem”;

Zbigniew A. KRUSZEWSKI — politolog, profesor University of Texas at El Paso, USA: „Ameryka wobec świata postkomunistycznego”.

KONGRES KULTURY POLSKIEJ NA OBCZYŹNIE LONDYN 1995

Ostatni Kongres organizowany przez polskie uchodźstwo niepodległościowe odbył się w Londynie 1985 r., pod egidą Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Dziesięć tomów prac kongresowych wyszło po polsku, a teraz część ukazała się po angielsku w Rocznikach PTNO.

Przyszły Kongres, który odbędzie się w dniach 20-26 sierpnia 1995 r., ma szeroką podstawę organizacyjną. Prace przygotowawcze są już zaawansowane: 23 lutego br. odbyło się wstępne programowe zebranie, a 27 kwietnia drugie.

Patronat zgodził się objąć Ks. Arcybiskup Szczepan Wesoly.

Komitet Organizacyjny: Przewodniczący — Prezes Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, prof. dr. Edward Szczepanik. Redaktor naczelny prac kongresowych — prof. dr Józef Jasnowski.

PROGRAM PRAC KONGRESOWYCH:

Część 1. Historia Drugiej Emigracji

Sesja I. „Władze RP na obczyźnie podczas II wojny światowej”. Organizator sesji — mgr Zbigniew Błażyński.

Sesja II. „Mobilizacja uchodźstwa do walki politycznej. 1945-90”. Organizator sesji — dr Leonidas Kliszewicz.

Sesja III. „Kierownictwo obozu niepodległościowego na obczyźnie, 1945-90”. Organizator sesji — mgr Aleksander Szkuta.

Sesja IV. „Akcja niepodległościowa na terenie międzynarodowym, 1945-90”. Organizator sesji — prof. dr Tomasz Piesakowski.

Sesja V. „Pomoc Krajowi przez niepodległościowe uchodźstwo, 1945-90”. Organizator sesji — dr Roman Lewicki.

Sesja VI. „Zakończenie działalności władz RP na uchodźstwie (1989-91)”.

Sesja VII. „Wybór dokumentów”. Organizator sesji — mgr Andrzej Suchcitz.

Część 2. Kraj i Emigracja

Sesja VIII. „Zagadnienia ekonomiczne”. Organizator sesji — prof. dr Jan Drewnowski.

Sesja IX. „Zagadnienia technologiczne”. Organizator sesji — prof. dr Zygmunt Makowski.

Sesja X. „Zagadnienia humanistyczne”. Organizator sesji — prof. dr Mieczysław Paszkiewicz.

Sesja XI. „Zagadnienia społeczne”. Organizator sesji — prof. dr Alicja Iwańska.

NAGRODA IM. ROMERÓW

11-go maja br. jury Nagrody im. Romerów w składzie przewodniczący jury: Jerzy Turowicz, członkowie: Teresa Bogucka, Ewa Łętowska, Karol Modzelewski, Jan Józef Szczepański, Edmund Wnuk-Lipiński, Krzysztof Zanussi, przyznało nagrodę za kulturę polityczną *ex aequo* Leszkowi Balcerowiczowi i Jackowi Kuroniowi.

Obaj laureaci przyjadą jesienią do Montrealu na zaproszenie Fundacji Romerów.

Notatki Redaktora

Życie Warszawy w numerze z 24 maja podaje, że prezydent Wałęsa ofiarował miliard złotych na ratowanie wałów na Jasnej Górze. Jak informuje biuro prasowe Belwederu pieniądze te pochodzą z oszczędności poczynionych w kancelarii prezydenta. Nie znam przepisów obowiązujących w Polsce, ale wydaje mi się, że prezydent może samodzielnie dysponować tylko swoim funduszem dyspozycyjnym, a budżet kancelarii państwa może być wydawany zgodnie z jego przeznaczeniem i podlegać kontroli NIK-u. Sprawa jest dla mnie tym dziwniejsza, że jednocześnie przeor klasztoru, ojciec Szczepan Kośnik, oświadczył, że prasa nie powinna dociekać, jak dar prezydenta będzie wykorzystany, gdyż byłaby to „ingerencja o charakterze politycznym”. Jednym słowem, ten hojny dar może być wydany przez klasztor niekoniecznie według życzenia ofiarodawcy. To nie są dobre obyczaje.

Powstała jednocześnie sprawa biskupa polowego, gen. Sławoja Leszka Głódzia. Komu on podlega i jakie są jego kompetencje? Okazuje się, że nikomu, że jest to „żołnierz o specjalnym statusie”, „w doborze metod pracy i programów duszpasterskich ordynariat jest samodzielny”. Nie tak dawno gen. bp Głódź zaproponował, aby kapelani funkcjonowali w jednostkach wojskowych na zasadzie zastępców dowódców. W swoim czasie takie stanowisko w dawnym Związku Sowieckim zajmowali zastępcy do spraw politycznych. Kierownictwo MON-u projekt ten odrzuciło i jest on oceniany w wojsku jako „mały konkordat”.

Prezydent mianował p. Henryka Goryszewskiego szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego. P. Goryszewski był wice-

premierem d/s gospodarczych w rządzie p. Suchockiej i na tym stanowisku złożył głośne w swoim czasie oświadczenie, że „nie jest ważne, czy Polska będzie biedna czy bogata, aby tylko była katolicka” (cytuje z pamięci). A potem odbył podróż turystyczną do Japonii rzekomo dla nawiązania bliższych stosunków gospodarczych. Nominacja p. Goryszewskiego pogłębi tylko kryzys, który przeżywa armia polska, tym bardziej że p. Wałęsa rozpoczął swoją kampanię przedwyborczą właśnie od wojska. Wprowadzenie polityki i rozgrywek do wojska zawsze musi się kończyć katastrofą.

W białostockiej katedrze prawosławnej odbyła się uroczysta inauguracja działalności Prawosławnego Ordynariatu Polowego. Kuria metropolitalna mianowała na to stanowisko arcybiskupa Sawę, ordynariusza prawosławnych diecezji — białostockiej i gdańskiej. Do tej pory nie została załatwiona przez prezydenta sprawa przyznania mu odpowiedniego stopnia*.

Do tej pory nie został załatwiony skandal z uroczystościami bitwy pod Monte Cassino. Sprawa musi być wreszcie załatwiona. Powinien być dymisjonowany szef Urzędu d/s Kombatantów, p. Adam Dobroński. Rząd powinien pokryć długi i deficyty przedsiębiorstwa „Mazovia”, a dyrektor „Mazovii”, Stefan Sulimierski, oddany pod sąd.

Ministerstwo Kultury i Sztuki odmówiło przyznania dotacji redakcji *Przeglądu Prawosławnego*, który ukazuje się w Białymstoku. W ogóle dotacje dla mniejszości narodowych przewidziane w budżecie z niewiadomych powodów nie są do tej pory wypłacone.

Paryski *Le Canard Enchaîné* w numerze z 22 czerwca podaje, że Polska i Węgry zakupiły od grupy francuskiej

* Trzeba przypomnieć, że w Polsce jest 700 tys. prawosławnych.

GIAT-Industries kilka tysięcy masek Arfa. Mają one służyć jako ochrona w razie ataku nuklearnego, biologicznego czy chemicznego. Ciekawe z jaką agresją liczy się rząd polski. Ciekawe również, czy taka produkcja masek istnieje też w Polsce.

Coraz bardziej rozbudowuje się biurokracja w Polsce. Takim przykładem są rady prezydenckie, których jest, jak dotąd, 12 i które liczą około 700 osób. Rady te kosztują Kancelarię Prezydenta około 700 mln zł. rocznie za zwrot kosztów, hotele, etc. Dochodzi do tego jeszcze opłacanie poligrafii, gdyż opracowania rad są wydawane w formie książkowej.

Rady te są rodzajem parawanów czy klubów dyskusyjnych, z których praktycznie prezydent nie korzysta. Podobne rady istnieją w poszczególnych ministerstwach i też są nikomu niepotrzebne.

W tej chwili toczy się wielka dyskusja na temat mniejszości polskiej, przede wszystkim jest sprawa mniejszości polskiej na Litwie i Białorusi oraz sprawa repatriacji Polaków z republik środkowoazjatyckich. Dyskusja chaotyczna, pełna ignorancji, demagogii i chciejstwa. Dużą, niestety, w tym zamieszaniu rolę odgrywa p. Andrzej Stelmachowski, prezes Stowarzyszenia Wspólnota Polska.

Zacznijmy od Litwy. Od dłuższego czasu trwa kampania w sprawie dotowania przez Polskę polskiego uniwersytetu w Wilnie. Parokrotnie *Kultura* poruszała ten problem, twierdząc, że jest to pomysł nierealny i szkodliwy. Na miejscu nie ma kompetentnej kadry profesorskiej, sprowadzanie zaś specjalistów z Polski jest nie tylko niezmiernie kosztowne, ale nie zapewnia ciągłości wykładów. Tak samo jest niecelowe, by studenci w dziedzinach specjalistycznych, jak medycyna, studiowali w Polsce. Przecież po ukończeniu studiów mają pracować na Litwie a nie w Polsce, nie mówiąc już o różnych trudnościach, jak nostryfikowanie dyplomów. Jedynym realnym rozwiązaniem jest rozbudowa studiów na Uniwersytecie Wileńskim, gdzie już bardzo dynamicznie funkcjonuje Katedra Filologii i Literatury Polskiej przy bardzo życzliwym stosunku władz uniwersytetu. Wydaje mi się, że główny wysi-

łek powinien być skierowany na rozbudowę polskiego szkolnictwa powszechnego i licealnego. Tak samo bardzo jest potrzebna pomoc dla polskich rolników, którzy znajdują się w bardzo trudnej sytuacji po likwidacji kołchozów, nie posiadając ani odpowiedniego sprzętu rolniczego ani przygotowania do pracy indywidualnej. Trochę się w tej dziedzinie robi ale w sposób niewystarczający. Ten problem pomocy dla rolnictwa polskiego jest również jak najbardziej aktualny na terenie Białorusi i Ukrainy, gdzie są identyczne trudności w dziedzinie przejścia od gospodarki kolektywnej do indywidualnej.

Jeśli zaś idzie o Polaków w republikach środkowoazjatyckich, to tu jest prawdziwe pomieszanie z poplątaniem. Przede wszystkim praktycznie biorąc o Polakach w tych republikach nic się nie wie. Do tej pory nie ma jeszcze na tych terenach polskiej sieci konsularnej, dopiero teraz projektuje się otwarcie polskiej ambasady w Alma-Acie jak również w Taszkencie i Aszchabadzie. Nie bierze się również pod uwagę, że większość Polaków na tych terenach to są Polacy wywiezieni we wczesnych czasach stalinowskich przy likwidacji polskich okręgów autonomicznych, dla których byłaby to nie repatriacja, ale przeskok do nie znanych im warunków. Nie bierze się również pod uwagę, że np. w Azerbejdżanie sytuacja Polaków jest bardzo dobra i tam odgrywają oni znaczną rolę w republice. Trzeba również pamiętać, że repatrianci w Polsce znajdują się w bardzo ciężkich warunkach. Trudny i ciężki będzie problem adaptacji. Osadzanie ich np. na roli będzie rzeczą praktycznie niemożliwą, gdyż są oni wychowani w kołchozach i nie mają pojęcia o gospodarce indywidualnej. Jak ten problem jest trudny, to widać po mniejszości niemieckiej. Ich zaaklimatyzowanie się w Niemczech okazało się prawie niemożliwe, tak że obecnie Niemcy przeznaczają wielkie sumy na utrzymanie ich w Rosji, ciągle są próby odtworzenia Niemieckiej Republiki Nadwołżańskiej czy osadzania ich w rejonie kalininradzkim. Tak samo nieprzemysłane są pomysły osadzania repatriantów na terenach opuszczonych przez wojska sowieckie w Polsce. Tereny te, jak wiemy, są potwornie zniszczone i już obecnie zagospodarowywane w sposób najbardziej chaotyczny. W tej chwili, to co można zrobić w Rosji, to odbudować inteligencję polską, której praktycznie tam nie ma, bo pionierski wysiłek nauczycieli z Polski i Kościoła jest całkowicie niewystarczający mimo ich imponującej ofiarności. Wykształcenie tam warstwy inteligentnej miałoby dla nas ogromne znaczenie, znajomość

bowiem tamtejszych stosunków a przede wszystkim języka praktycznie nie istnieje na Zachodzie. Tutaj Polacy mogliby odegrać wielką rolę chociażby jako tłumacze. Najlepszym przykładem jest to, że nieliczni ludzie w Polsce znający język turecki są dosłownie rozrywani. Należałoby tutaj rozbudować system stypendiów. Niestety trudnością jest to, że mimo dużych perspektyw, praktycznie nie ma amatorów na studia w republikach środkowoazjatyckich. Wszystkich przerażają trudne warunki bytowe; ogromna jest bierność młodego pokolenia, które marzy o wyjazdach na Zachód, gdzie praktycznie nie mają żadnych szans poza nielicznymi specjalistami. Niewątpliwie w tym jest bardzo duża wina naszych władz, które nie potrafią pokazać tej młodzieży jakie mogą być perspektywy pracy na terenach azjatyckich, a mamy przecież świetne wzory z przeszłości jaką pionierską rolę odgrywali Polacy w okresie caratu na Syberii, w Charbinie, przy budowie kolei transsyberyjskiej, by wymienić kilka przykładów. Niestety to wszystko razem jest wynikiem kompletnego braku naszej polityki wschodniej w najszerszym tego słowa znaczeniu. Wymaga to również przedstawienia opinii społecznej. Charakterystyczne jest dla Polski to, że prasa, radio, telewizja poświęcają tyle czasu, wysiłku i pieniędzy np. Afryce Południowej, a jeśli idzie o Wschód to nie wychyla się praktycznie nosa poza Moskwę i okolice. Niestety za mało jest Kapuścińskich czy prac nielicznych i odosobnionych ośrodków, jak działalność Piotra Mitznera, Jana Malickiego czy Cywińskiego; lista ich jest bardzo krótka.

Ostatnie wybory samorządowe wykazały niepokojącą bierność i zniechęcenie społeczeństwa. Pomijając niezmiernie niską frekwencję, były gminy gdzie nie zgłoszono żadnych kandydatur, a np. w Kleszczowie, jak podają *Donosy*, która jest najbogatszą gminą w Polsce, wybrano radnym byłego wojewodę piotrkowskiego, skazanego na dwa lata więzienia za malwersacje, i który właśnie odsiaduje wyrok.

Wyborami samorządowymi nie interesowało się żadne ugrupowanie polityczne, nie wysunięto żadnych programów reform samorządu, była tylko — jak zawsze — walka o wpływy i mandaty. Jest to bodajże ostatni dzwonek alarmowy.

Stronnictwo Ludowe z premierem Pawlakiem walczy wyłącznie o poszerzenie wpływów. Ostatnio storpedowało projekt reformy ministra Olechowskiego mającej na celu odpolitycznienie i uprofesjonalnienie służby dyplomatycznej. Kolejnym skandalem jest sprawa Banku d/s Żywnościowych czy opłaty wyrównawcze za żywność. To wszystko odbija się na stanie gospodarki ogólnokrajowej, a faktycznie nie przynosi żadnej korzyści wsi.

Jedną z pilniejszych reform jest rozbudowa i zwiększenie liczby punktów granicznych. Obecny stan odbija się fatalnie na naszej gospodarce i ułatwia rosnące afery. Niewątpliwie nie jest to łatwe ze względu na trudności i opory wysuwane przez naszych sąsiadów, niestety głównie wschodnich — Białoruś, Litwę, Ukrainę. Jak najszybsze uregulowanie tego stanu rzeczy powinno być priorytetem naszych polityków. Bez tej reformy nie można mówić poważnie o handlu zagranicznym i walce z korupcją.

Ostatnio wyplęnęła sprawa terenów zwolnionych przez wojska sowieckie w Polsce. Sprawa ta jest prawdziwym skandalem i dowodem nieudolności władz wojskowych. Mimo długotrwałych pertraktacji tereny te zostały przejęte w sposób przypadkowy. Budynki i urzędnictwo zostały rozgrabione. Poszczególne gminy walczą o te tereny zasiedlając je na dziko, a nikt się tym nie zajmuje, co nie przeszkadza naszym decydom w wysuwaniu księżycowych projektów — przeznaczenia tych terenów dla repatriantów ze wschodu.

Osobnym zagadnieniem jest polityka Ministerstwa Kultury i Sztuki a właściwie brak tej polityki. Jest to problem któremu chciałbym w najbliższym czasie poświęcić sporo uwagi. Chciałbym przypomnieć, że już bardzo dawno temu proponowałem zlikwidowanie tego ministerstwa i powrót do form z okresu międzywojennego, tj. ministerstwa wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Te sprawy powinny być przedmiotem troski wszystkich związków twórczych, które niestety, z wyjątkiem PEN-Clubu, są w stanie kompletnego rozkładu.

Ostatnie wystąpienia kardynała Glempa i episkopatu napędzają dużym niepokojem. Jest to próba walki o rząd dusz i państwo, gdzie Kościół odgrywałby decydującą rolę polityczną. Jest to przekreślenie światopoglądu pluralistycznego i zasad demokracji. Można nie lubić, i słusznie, obecnego rządu i parlamentu, ale jednak były one wybrane w sposób demokratyczny i z tym należy się pogodzić. Kościół powinien zdać sobie sprawę, że tego rodzaju polityka pogłębia tylko rosnący antyklerykalizm.

REDAKTOR

Dwutygodnik polonijny

prasa
poliska

Adres redakcji:

Prasa Polska
3, rue Robert Houdin
75011 Paris, FRANCE
Tel. (33-1) 49.29.04.30
Fax (33-1) 49.29.97.60

Ukazuje się od marca 1994 ● Około 40 stron ● Format A4

Polska widziana poprzez najlepsze teksty prasy krajowej – od dzienników do kwartalników. Także międzynarodowy przegląd polonijny i forum polskie, w którym wypowiadają się autorytety naszego życia społecznego.

Celem pisma jest utrzymanie trwałych związków z krajem, zbliżenie środowisk polonijnych oraz wzmacnianie poczucia wspólnoty ziemi, kultury, języka.

Wystarczy wysłać swój adres, aby otrzymać najnowszy numer.
Serdecznie zapraszamy.

Koszt prenumeraty rocznej – 26 numerów (półrocznej – 13 numerów) wynosi:
FF 320 (190), DM 95 (60), £ 38 (25), SUSA 55 (35), SCAN 70(45), SAUS 80 (50)

Sesja „Kultury” w Lublinie

Spotkania z paryską „Kulturą”

W dn. od 10 do 13 maja br. odbyła się w Lublinie sesja „Spotkania z paryską Kulturą”, zorganizowana przez Teatr NN i autora tych słów. Jej pomysł powstał niezależnie od siebie w Warszawie i w Lublinie. W Warszawie planował ją Andrzej St. Kowalczyk, wydawca m.in. pierwszego tomu Archiwum *Kultury* — listów J. Giedroycia i W. Gombrowicza (Warszawa 1993, wyd. „Czytelnik”). W Lublinie na podobny pomysł wpadł szef Teatru NN Tomasz Pietrasiewicz. Gdy okazało się, że w najbliższym czasie nie uda się sesji zorganizować w Warszawie, postanowiliśmy połączyć siły.

Całość otworzył wiceprezydent Paweł Bryłowski („Spotkania” odbywały się pod honorowym patronatem prezydenta miasta) i prof. Jerzy Kłoczowski.

Wystąpienia na sesji dotyczyły kilku zasadniczych problemów. Przede wszystkim próbowano naszkicować sylwetki polityczne Jerzego Giedroycia i Juliusza Mieroszewskiego. Krzysztof Kopczyński, autor niedocenionej moim zdaniem książki o *Kulturze*, skupił się przede wszystkim na ostatnich czterech latach działalności Redaktora Giedroycia, wtedy bowiem najbardziej ujawniły się poglądy Redaktora i jego współpracowników na „metodę robienia polityki”. Zdaniem Kopczyńskiego opinie J. Giedroycia o sprawach bieżących sprowadzić można do trzech zasadniczych zagadnień: 1. To krytyka nowego państwa polskiego, rządzących nim mechanizmów i sprawujących władzę ludzi, polityki zagranicznej kraju a zwłaszcza polityki wschodniej. 2. Dalej — negatywna ocena wystawiona ruchowi „Solidarności”, jako temu, który nie spełnił oczekiwań społecznych. 3. Wreszcie krytyczny pogląd na lustrację i dekomunizację.

Częste wypowiedzi Redaktora (znacznie częstsze niż w latach wcześniejszych, nie tylko na łamach *Kultury*), ich lakoniczność, wielość poruszanych problemów sprawiają, że dla wielu czytelników argumenty J. Giedroycia są niezrozumiałe i kontrowersyjne. Jego wypowiedzi bywają często komentowane i krytycznie oceniane przez przedstawicieli władz polskich. Największy oddźwięk w kraju i na emigracji zyskało jego wystąpienie podczas wręczania mu doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Jagiellońskiego 9 listopada 1991 r. w Paryżu. Redaktor odmówił przyjazdu do kraju. Nie chciał widzieć „niepełnej niepodległości”, nie chciał by jego przyjazd został wykorzystany politycznie przez kogokolwiek. Krajem jego zdaniem rządzą obecnie „mali, miały ludzie, prowadzący Polskę od katastrofy do katastrofy”. Szukając przywilejów pozbawieni są jakichkolwiek wizji strategicznych, czy choćby przekonującego programu na najbliższy czas.

K. Kopczyński określał, że nie istnieje żadna „doktryna Giedroycia”. Przesłaniem Redaktora są uniwersalne zasady, wśród których wyróżnić można:

1. Przechowanie dla współczesności niepodległościowego myślenia o państwie. Ukształtował je wiek XIX, a ugruntowało dwudziestolecie międzywojenne. Nakazuje ono traktować państwo jako „dobro wspólne, zbyt cenne, by poddawać je ryzykownym eksperymentom”.

2. Wizerunek polskości wyzbytej nacjonalizmu i antysemityzmu (polskość jako składnik europejskości). Towarzyszy mu wizja integracji Europy Środkowo-Wschodniej jako skutecznej formy obrony przed sowiezizmem.

3. Przekonanie, że politykę i myślenie polityczne kształtuje się w dyskusji, dialogu — często bardzo trudnym, wymagającym wysiłku intelektualnego czy dobrej woli.

Leszek Szaruga starał się odtworzyć poglądy Juliusza Mieroszewskiego, słusznie domagając się przypomnienia i wydania tego mało znanego w kraju pisarza politycznego. Przypomnił, że autor „Ewolucjonizmu” miał socjalistyczny rodowód, lecz nie związał się z „żadną zdogmatyzowaną ideologią”. Podkreślał, że realizm polityczny zdaniem Mieroszewskiego jest czymś względnym, zależnym od koniunktury, natomiast postulaty polityczne, których osiągnięcie naród uważa za konieczne, nie podlegają fluktuacjom koniunkturalnym. Polska i perspektywa odzyskania niepodległości były dla Mieroszewskiego bardzo istotne, jeśli nie najważniejsze, ale nigdy nie stał się polonocentrystą. Zawsze występował przeciw nacjonalizmowi. Miejsce Polski widział między Wschodem

a Zachodem, zaś w owej „dwoistości” dostrzegał wartość, którą należy rozwijać i pielęgnować, bowiem ona jedynie może nas uchronić przed zdeklasowaniem politycznym i kulturalnym.

L. Szaruga mówił również o szczególnej roli, jaką w wypowiedziach Mieroszewskiego i w publikacjach *Kultury* odgrywał obszar ULB, czyli Ukraina, Litwa, Białoruś. Mieroszewski zakładał taki rozwój sytuacji, jaki mamy obecnie: zjednoczenie Niemiec, rozpad ZSSR na państwa narodowe, upadek komunizmu. W latach sześćdziesiątych wyglądało to na czystą fantazję. Nie wszystko to, co napisał zachowuje swą aktualność, ale nie ulega wątpliwości, że jego dorobek warto i trzeba w kraju upowszechnić.

Oprócz wspomnianych sylwetek politycznych podczas sesji wygłoszono jeszcze inne referaty. Rafał Habielski skupił się na stosunkach emigracji londyńskiej i *Kultury*. Pytał o powody różnic między obydwoimi ośrodkami, dostrzegał w ich poczynaniach przykłady „dwóch sposobów na emigrację”, które odwoływały się do odrębnych tradycji działania wychodźstwa XIX w. Analizując polemiki dot. polskiego Października 1956 r., ewolucjonizmu czy polityki wschodniej (m.in. Mieroszewskiego i jego adwersarza z *Wiadomości* Adama Pragiera) Habielski dochodził do istoty różnic w pojmowaniu roli i funkcji emigracji przez obydwa ośrodki. Był to głos bardzo wyważony i tym bardziej interesujący, że jego autor podważał obiegowe stereotypy i uproszczenia (np. „sprawa Miłosza” czy emigracyjny debiut Gombrowicza).

Równie interesujący był wielogłos „Kultura-Wiara-Kościół”. Wzięli w nim udział Antoni Pospieszalski (listownie), o. Jan Andrzej Kłoczowski (OP) i Tadeusz Chrzanowski. (Dominik Morawski nie mógł przyjechać z Rzymu).

Podczas sesji odczytano dwa listy A. Pospieszalskiego do organizatorów sesji. Autor pisał w nich o współpracy z *Kulturą*, o chrześcijańskim obliczu pisma (chrześcijańskie w pewnym szerokim sensie są bowiem wartości, którym ono służy), o swojej krytyce „z wewnątrz Kościoła”. Gwałtowne reakcje na publikacje *Kultury* dotyczące problematyki religijnej i oskarżenia o antyklerykalizm A. Pospieszalski widział jako część ogólniejszego problemu, jakim jest tożsamość współczesnego chrześcijaństwa. Mówił o skutkach sekularyzacji — pozytywnych i negatywnych, roli Kościoła w świeckiej demokracji, o pośredniej drodze, jaką idziemy „między praktycznym, religijnym indyferentyzmem a forsowaniem tradycyjnej chrześcijańskiej ortodoksji”.

O. Jan A. Kłoczowski skupił się na publicystyce wspomnianego A. Pospieszalskiego i D. Morawskiego. Pospieszalski — zdaniem referenta — był jednym z nielicznych polskich myślicieli, dla których problematyka religijna była czymś ważnym egzystencjalnie. Mimo, że publicystyka jego nie mogła swobodnie docierać do kraju, pełniła ważną funkcję kulturotwórczą, stanowiła rodzaj transmisji między dyskusjami, które miały miejsce w całym Kościele czy chrześcijaństwie, a Polską, żyjącą wówczas innymi zagadnieniami.

Kultura interesowała się Kościołem głównie jako zjawiskiem politycznym. Jaka była jego rola w opozycji przeciw totalitarnej władzy? Na ile było to lojalne wsparcie społeczeństwa, a na ile Kościół próbował tu ocalić swoje interesy? — również i takie pytania padały z ust referenta. W swoim wystąpieniu omawiał kolejno dyskusję wokół wydanej przez Instytut Literacki książki A. Michnika „Kościół-lewicadialog”, fenomen „Solidarności”, okres stanu wojennego. Z tego ostatniego okresu pochodzi wiele krytycznych głosów publikowanych w *Kulturze*, które traktowały wypowiedzi prymasa Glempa czy księży biskupów jako przejaw zbytnej ostrożności Kościoła, czy wręcz kunktatorstwa. O. Kłoczowski traktuje dyskusję z Kościołem na łamach pisma jako część rozważań o kształcie polskości. Przekonany jest jednak, że Redaktor swoje doświadczenia z dwudziestolecia międzywojennego przenosi na czasy obecne. A nie jest to ten sam Kościół. Przez doświadczenia ostatnich dziesięcioleci przeszedł pogłębiony, były to lata próby i w zasadniczy sposób uległ przemianom. Zdaniem o. Kłoczowskiego w spojrzeniu Jerzego Giedroycia i ludzi mu bliskich na katolicyzm brakuje głębi.

Głos ten był bardzo ważny, nawet jeśli jakieś stwierdzenia budziły sprzeciw. Wiele ciekawych refleksji dotyczyło w nim stanu ducha polskiego społeczeństwa i Kościoła „po komunizmie”, tego jak bardzo ów system nas wszystkich okaleczył i „pokieroszował duchowo”.

Do uwag tych dodawał swoje spostrzeżenia Tadeusz Chrzanowski, a później inni dyskutanci. Najostrzejsze zarzuty sformułował Krzysztof Dybciak, zdaniem którego *Kultura* „wyczerpała się” zaś wypowiedzi na jej łamach dotyczące chrześcijaństwa „ranią uczucia czytelnika”, są poniżej pewnego obowiązującego poziomu. Styl ironiczny, libertyński, rodem z Gombrowicza miał sens w latach komunizmu. Kontynuowanie go teraz nie jest niczym nowoczesnym, to jakby „myślenie z innej epoki”. Wypowiedź ta wzbudziła liczne polemiki i kontrowersje (głosy m.in. L. Szarugi, A. Friszke i in.).

Interesujące były również wypowiedzi podkreślające, że nie można problematyki religijnej ograniczać tylko do wypowiedzi publicystycznych czy dotyczących Kościoła jako instytucji. Pominiecie w takiej debacie wymiaru religijnego w twórczości np. Miłosza, Stempowskiego, Gombrowicza, Herlinga czy Czapskiego byłoby wielkim zubożeniem.

Najwięcej namiętności wzbudził Czesław Bielecki swoją wypowiedzią „Polacy na księżycu”. „Kto uprawia księżycową politykę? — pytał autor. Czy my w Polsce jesteśmy na księżycu, czy też *Kultura* paryska (...)?”. Zdaniem Bieleckiego pismo Jerzego Giedroycia miało trzy rzeczy, których nie miały krajowe elity polityczne: 1. Dużo głębsze poczucie upadku komunizmu; 2. Pewną wizję polityki polskiej. (To nie przypadek — twierdził referent — że przez parę lat po powstaniu „drugiego obiegu” nie wydawano w kraju Mieroszewskiego. Jego eseistyka „ustawiała” wszystkie podstawowe kwestie polityki polskiej, a jej publikacja odsłoniłaby „nicość naszych krajowych poszukiwań”); 3. Obraz Trzeciej Rzeczypospolitej jako państwa. Jerzy Giedroyc jest człowiekiem, który zawsze myślał ponadpartyjnie, nie koteryjnie i propaństwowo. Choć Bielecki nie ze wszystkimi jego wyborami się zgadza (np. opcja lewicowa), uważa, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat *Kultura* nie zmieniła zdania na 70%, a w polityce to bardzo dużo. Miała i ma „nieksiężycowe rozpoznanie rzeczywistości” — w myśleniu o państwie i rozumieniu interesu narodowego.

Z diagnozą Bieleckiego i sądami *Kultury* o sytuacji w kraju polemizował Andrzej Drawicz. Uznał je za przesadzone i przeczernione, jakby „rzeczywistość polska składała się tylko z idiotyzmów”. Dyskusja obu adwersarzy z pewnością była jednym z najciekawszych punktów sesji.

Kolejny wielogłos poświęcony był „Rosji-Ukrainie-Litwie-Białorusi”. Rozpoczął go zapowiedziany przez T. Chrzanowskiego „ataman” Bohdan Osadcuk. Opowiadał ze swadą o swoim największym romansie życiowym, jakim była i jest *Kultura*. Poznał Jerzego Giedroycia w 1950 roku i od tego czasu trwa ich współpraca.

Kultura pozbawiła pożytki nacjonalistycznej nieprzejednanych z Ukrainy i Polski. Mówił o znaczeniu deklaracji pisma w sprawie Zachodniej Ukrainy, Ziemi Halickiej lub jak mówili Polacy Małopolski Wschodniej, o rezygnacji z rewindykacji terytorialnych, o polonofilskich nastrojach wśród inteligencji we wschodniej Ukrainie. A także o roli, jaką odegrała wydana przez Instytut Literacki antologia „Rozstrzelane odrodzenie”.

Osadczyk przestrzegał również przed spoczywaniem na laurach. To, co zrobiła *Kultura* dla dialogu polsko-ukraińskiego musi być kontynuowane, rozwijane, trzeba szukać nowych form współpracy, ale okazuje się to często nader trudne.

Ks. prof. Roman Dzwonkowski (z KULu) mówił o swojej współpracy trwającej od 1963 roku z pismem Jerzego Giedroycia, w którym pisywał pod różnymi pseudonimami. Najbardziej interesował go jeden wątek — Polacy i Kościół na Wschodzie. W *Kulturze*, w porównaniu z innymi pismami sprawy te były obecne najpełniej. Teksty dotyczące wspomnianej problematyki czytano w sekretariacie stanu w Watykanie, analizowano je jako doniesienia o dużym stopniu wiarygodności, często tłumaczono je na inne języki, głównie francuski i niemiecki. Ks. Dzwonkowski konfrontował też własne spostrzeżenia z licznych podróży na Litwę, Białoruś i Ukrainę z publikacjami dotyczącymi ich w *Kulturze*, w ostatnich latach. Krytycznie wypowiadał się zwłaszcza o informacjach A. Pospieszalskiego dotyczących kościoła katolickiego na Białorusi i dezinformacjach wynikających najprawdopodobniej z braku wiedzy z autopsji*.

Wielogłos zakończyła krótka, ale bardzo wyrazista wypowiedź Andrzeja Drawicza. Z podziwem mówił o kunszcie redaktorskim Jerzego Giedroycia, o rzetelnym nurcie informacyjnym obejmującym m.in. Rosję i ULB; o wypowiedziach Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, którego uważa za niedyplomowanego rusycystę „pełną gębą”, zasługującego na doktorat *honoris causa*; o rosyjskich numerach *Kultury*. A z drugiej strony o wypowiedziach Adama Kruczka, czyli Michała Hellera. A. Drawicz uznał je za „głęboko destrukcyjne”. Twierdził, że Heller „wmawiał Polakom, że w Rosji nic się stać nie może”, a to co się dzieje jest „absolutną lipą”, zwłaszcza gdy zaczęła się *pierestrojka*. Przeglądając jednak ostatnich kilkanaście numerów pisma Drawicz znalazł u Hellera trzeźwy, rozsądny ogląd sytuacji, opisany w sposób rzeczowy, konkretny, bez dawnych złośliwości. Tego, co robi kronika *Kultury*, systematycznie zamieszczając przeglądy dotyczące Rosji i państw Europy Wschodniej, nie sposób porównać z żadnym innym pismem w kraju. „Polska o Rosji nadal dowiaduje się *via* Paryż”.

* Chodziło o zarzut, iż polscy księża polonizują Białoruś. Wg ks. Dzwonkowskiego było odwrotnie: to właśnie księża z Polski pierwsi wprowadzali język ukraiński, białoruski i rosyjski do nabożeństw w kościołach obrządku łacińskiego.

Wielka szkoda, że podczas sesji nie mogło dojść do dwugłosu A. Drawicz — M. Heller (ten ostatni nie przyjął zaproszenia organizatorów). Zabrakło też rzeczowych wypowiedzi dotyczących Litwy i Białorusi. Niedosyt mógł budzić brak wątków literackich w rozważaniach referentów i słusznie domagał się ich uzupełnienia Arkadiusz Bałajewski. Wszak problematyka związana z Rosją i ULB stale obecna była w eseistyce Miłosza, Vincenza, Stempowskiego, Herlinga czy Mieroszewskiego. Wielkie i ważne utwory literatury rosyjskiej docierały do czytelnika polskiego właśnie w wydaniach Instytutu Literackiego, a później w przedrukach podziemnych. Tak było z „Doktorem Żiwago” Pasternaka, *Requiem Anny Achmatowej*, utworami Sołżenicyna, Sacharowa, Siniawskiego, Daniela czy Maksimowa.

Interesująco (niektórzy twierdzili, że najciekawiej) wypadła dyskusja „Spór o polskość”. Wzięli w niej udział niektórzy uczestnicy sesji (nie wszyscy mogli zostać do końca) i zaproszeni goście, a więc Ewa Berberysz, Czesław Bielecki, Tadeusz Chrzanowski, Andrzej Drawicz, Andrzej Friszke, Rafał Habielski, Jerzy Jarzębski, Andrzej St. Kowalczyk, Krzysztof Kopczyński. Całość sprawnie prowadził Włodzimierz Bolecki.

Dyskusja w pewnym sensie zwińczyła wiele wcześniejszych wątków. Starano się zrekonstruować program *Kultury*, mówiono o tym, wobec jakich cech polskiego życia intelektualnego Giedroyc i jego współpracownicy zawsze ostro występowali, o tym, jak poprzez literaturę i publicystykę opowiadano się za pewnymi modelami kultury i „bycia Polakiem”. Ponieważ w dyskusji przewijało się tyle interesujących wątków, sygnalizuję tylko niektóre. Całość zaś zasługuje na odrębne omówienie, a obszernie jej fragmenty drukować będzie razem z niektórymi referatami lubelski kwartalnik literacki *Kresy* (nr 19, lato 1994).

Cała sesja wypadła niezle. Jako współorganizatora łatwo pośadzić mnie o stronniczość, powołam się więc na głos wspomnianego A. Bałajewskiego. W *Tygodniku Powszechnym* (nr 23 z 5.VI.br.) podkreślał on, że lubelska sesja „na szczęście nie przeistoczyła się w uładową laurkę dla Jerzego Giedroycia i jego współpracowników”. Sprowokowała wiele ciekawych dyskusji (a o to przecież chodziło), cieszyła się, jak na tego rodzaju imprezy, wcale niemałym zainteresowaniem publiczności, pełniła również ważną rolę popularyzatorską. Sesji towarzyszyły wystawy i pokazy filmów. Z Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie przyjechała część

ekspozycji „W kręgu *Kultury* paryskiej”. W siedzibie Teatru NN w tym czasie trwała wystawa fotografii Tomasza Kiznego „Martwa droga”. Dla zainteresowanych wyświetlono dwa filmy paryskiego *Video-Kontaktu*, pierwszy A. Holland i A. Wolskiego pt. „Kultura” (1985) oraz mniej znany „Szkic do portretu” (J. Giedroycia) zrealizowany przez M. Modrzejewskiego i A. Kuczyńskiego (1989).

„Spotkania z paryską *Kulturą*” zakończył wieczór autor-ski Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który odbył się w Teatrze im. J. Osterwy. Samo spotkanie w lubelskim teatrze, mimo głosów malkontentów, było bardzo udane: licznie zgromadzona publiczność zadawała inteligentne pytania dotyczące rozmaitych problemów — od politycznych aż po wybory światopoglądowe. Bardzo często wracały sprawy dotyczące *Kultury*, redaktora Giedroycia czy ludzi związanych z pismem — Zygmunta Hertza, Józefa Czapskiego czy Konstantego Jeleńskiego. Całość była świetnie przygotowana przez organizatorów z Teatru.

Sesji towarzyszyły również audycje radiowe i telewizyjne nadawane w lokalnych programach oraz czterostronicowa wkładka do lubelskiego wydania *Gazety Wyborczej*, przygotowana przez Mirosława Haponiuka. Trudno nie oprzeć się przy tym refleksji, że obszerniejsze informacje o *Kulturze*, J. Giedroyciu czy G. Herlingu-Grudzińskim w *Gazecie Wyborczej* znaleźć można w ostatnich latach jedynie w dodatkach lokalnych. Czyżby znak czasu?

Teatr NN zeszłoroczne „Spotkania” poświęcił Józefowi Czapskiemu. Gdy pisałem o tym (*Kultura* nr 12/1993) wymieniłem ów Teatr wśród najciekawszych inicjatyw kulturalnych ostatnich lat, nie tylko w Lublinie. Czas potwierdził te słowa: Teatr NN został ostatnio wyróżniony w ogólnopolskim konkursie „Małych Ojczyzn” oraz otrzymał doroczną nagrodę artystyczną miasta Lublina.

Zdzisław KUDELSKI

Ci, co odeszli

Prof. Henri Mazeaud

23 października ubiegłego roku zmarł w Paryżu w wieku 93 lat Henri Mazeaud, jeden z najwierniejszych i najwybitniejszych przyjaciół Polski we Francji.

Wieloletni profesor prawa cywilnego na uniwersytetach w Lille i Paryżu; autor, wspólnie z braćmi, również prawnikami, klasycznych traktatów o odpowiedzialności cywilnej¹ i nowatorskiego podręcznika prawa cywilnego², członek Akademii Nauk Moralnych i Politycznych (*Académie des Sciences morales et politiques*), był w swojej dziedzinie jednym z największych autorytetów naukowych i moralnych.

„Romans” jego z Polską można streścić w trzech etapach: przed, podczas i po drugiej wojnie światowej. Okres przedwojenny wiąże się z Instytutem Francuskim w Warszawie, oraz Wydziałem Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie ten młody wówczas, trzydziestoletni profesor zaczął wyklądać podstawy prawa francuskiego.

Kiedy po paru latach prof. Mazeaud objął także ogólne kierownictwo Instytutu Francuskiego w Warszawie, dom jego stał się miejscem ożywionych spotkań ze środowiskiem inteligencji polskiej.

Wojna zaskoczyła go podczas wakacji we Francji. Natychmiast zgłosił się jako ochotnik do służby przy boku formujących się we Francji oddziałów polskich. Towarzyszył im w wyprawie na Narvik. Pod okupacją niemiecką, w Paryżu z ramienia francuskiego ruchu oporu utrzymywał kontakt z polskim pod-

1. Henri et Léon Mazeaud. *Traité théorique et pratique de la Responsabilité civile délictuelle et contractuelle*. 3 vol. Paris, Editions Montchrétien (7 wydań).

2. Henri, Léon et Jean Mazeaud. *Leçons de Droit Civil*. 4 vol. Paris, Editions Montchrétien (1-sze wydanie 1962).

ziemiem, a po wyzwoleniu Paryża towarzyszył polskiej dywizji w wyzwoleniu Holandii.

Utrwalił echa tych przeżyć w napisanej wspólnie z trzema braćmi książce *Visages dans la tourmente 1939-1945*³ nagrodzonej przez Akademię Francuską.

W latach powojennych pozostał wierny Polsce niepodległej, oddając jej przedstawicielom nieustanne przysługi. Jemu to zawdzięczamy w dużej mierze ocalenie Biblioteki Polskiej w Paryżu przed zakusami PRL-u.

Wybrany członkiem Akademii Francuskiej, prof. Mazeaud wystąpił tam w tradycyjnym fraku z przypasaną doń szablą polską!

W dniu 25 października 1983 na dorocznym posiedzeniu publicznym pięciu Akademii, połączonych w Institut de France, rozpoczął swój odczyt o konstytucjach francuskiej i polskiej z roku 1791 słowami: „W roku 1791 Rzeczpospolita Polska i Królestwo Francji ogłaszają swe konstytucje: Konstytucja 3-go Maja, której rocznicę obchodzą wolni Polacy z entuzjazmem każdego roku. Cztery miesiące potem 3 września 1791 we Francji uchwalono konstytucję”.

Walne Zgromadzenie Polskiej Akademii Umiejętności, w uznaniu zasług prof. Mazeaud, wybrało go na posiedzeniu w dniu 9 marca 1991 członkiem czynnym zagranicznym Wydziału Historyczno-Filozoficznego.

Zawiadomienie o tym wyborze zostało mu uroczyście wręcone przez Ambasadora R.P. we Francji, prof. Jerzego Łukaszewskiego, wraz z francuskim tłumaczeniem uchwały tejże Akademii, powziętej poprzednio w dniu 17 listopada 1990 r., w której P.A.U. wyraża profesorowi Henri Mazeaud „wielkiemu przyjacielowi Polski swą wdzięczność i specjalne uznanie za wszystkie starania podjęte celem uratowania Biblioteki Polskiej w Paryżu. Dzięki tym staraniom może ona nadal istnieć jako miejsce studiów nad dziejami Polski i Francji”.

Śmierć zaskoczyła Profesora, gdy wybierał się na nabożeństwo żałobne za niedawno zmarłego prezesa Towarzystwa Historyczno-Literackiego, prof. Andrzeja Folkierskiego.

Andrzej RUSZKOWSKI

3. H.L.J.P. Mazeaud. *Visages dans la tourmente 1939-1945*. 354 p. Paris, Albin Michel, 1946. Specjalnie str. 99-136 (Narvik) i 268-282 (Holandia, Niemcy).

4. Henri Mazeaud. *Les Constitutions française et polonaise de 1791*. 12 pages. Paris 1983. Institut de France 1983. Nr. 12.

Zmarł w Chesnay (Francja) w wieku 83 lat Anatol Estryn. W okresie przedwojennym współpracował blisko z Doktorem Januszem Korczakiem, którego pamięci był wierny przez całe życie. A. Estryn wyjechał z Polski w kwietniu 1940 i osiadł w Tangerze, gdzie uzyskał dużą sytuację jako adwokat.

Zmarł w Warszawie w wieku 83 lat prof. Bohdan Tadeusz Urbanowicz, malarz, architekt. Uczestnik kampanii wrześniowej, ranny w bitwie pod Kockiem, jeniec obozu w Murnau. Odznaczony orderem *Virtuti Militari*. Były dziekan Wydziału Architektury Wnętrz, Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

17 grudnia 93 roku zmarł w Vancouver w wieku 84 lat Piotr Michał Czartoryski wybitny działacz społeczny na terenie Kanady.

Książki

Archiwum Biologii Słowiańskiej

Archives Slaves de Biologie są pod wieloma względami czasopismem unikalnym. Stanowią one pierwszą, a zarazem jedyną w swoim rodzaju próbę przełamania bariery językowej, jaka oddzielała naukę zachodnioeuropejską od publikacji przyrodniczych ukazujących się w językach słowiańskich jakże mało rozpowszechnionych wśród przyrodników strefy języka francuskiego, angielskiego czy niemieckiego. Pierwszy numer *Archiwum Biologii Słowiańskiej* ukazał się w Paryżu 1886 roku, jego inicjatorem i redaktorem naczelnym był jeden z najwybitniejszych, a zarazem najaktywniejszych naukowo i publicystycznie biologów francuskich drugiej połowy dziewiętnastego wieku Charles Richet. Redakcja (drugim redaktorem był Maurice Mendelssohn) mieściła się na Bulwarze Saint Germain pod numerem 111 nie opodal fakultetu medycyny. W przedmowie z 15 stycznia 1886, Charles Richet uzasadnia potrzebę stworzenia odrębnego czasopisma poświęconego pracom przyrodników wschodnioeuropejskich gwałtownym rozwojem nauk biologicznych jaki nastąpił w tej części kontynentu. Pismo miało stworzyć szansę naukowcom publikującym w językach słowiańskich na upowszechnienie ich prac w Zachodniej Europie, a ich francuskim kolegom na zapoznanie się z interesującymi publikacjami bez podejmowania wysiłku tłumaczenia i konieczności prowadzenia poszukiwań w „egzotycznych czasopismach”.

Redaktorzy zdawali sobie sprawę z tego, że niemal wszyscy przyrodnicy wschodniej Europy znają któryś z zachodnioeuropejskich języków, że znaczna część naukowych czasopism rosyjskich ukazuje się po francusku lub niemiecku, że języki te są językami wykładowymi wielu uczelni wschodnioeuropejskich, że znaczna część zainteresowanych autorów publikuje bezpośrednio we Francji, Szwajcarii, Belgii czy Niemczech. Pomimo tego uznali, że znaczenie prac przyrodniczych, pozostających nieznanymi w rezultacie publikacji po polsku, czesku, rosyjsku lub w rezultacie rozproszenia w niskonakładowych czasopismach, uzasadnia potrzebę założenia *Archives Slaves de Biologie*. Być może intuicyjnie wyczuwali oni także swoistą specyfikę i odrębność, pomimo wielu związków z Zachodem, biologii wschodnioeuropejskiej. Odrębność i specyfika kultury Wschodniej Europy, jakże dobrze znana historykom literatury i sztuki, jest zjawiskiem nie docenionym, a często nawet nie zauważanym przez historyków nauki. Bez odwołania się do historii kultury trudno jest na przykład zrozumieć wprowadzenie do biologii myślenia w kategorii grupy, a nie charakterystycznego dla Zachodu spojrzenia indywidualistycznego. Dodajmy, że stało się to jedną z najważniejszych przyczyn narodzin genetyki populacji, fitosocjologii, ekologicznej koncepcji biosfery Wernadskiego. Z punktu widzenia historycznego interesujące jest także podkreślenie istnienia pewnego poczucia wspólnoty uczonych języków słowiańskich, dzisiaj niestety nieobecnej już w świadomości biologów tej części Europy, ale przecież jeszcze w latach trzydziestych odbywały się regularnie m.in. w Warszawie zjazdy botaników słowiańskich. Przeglądając *Archiwum Biologii Słowiańskiej* nasuwa się także refleksja jak bardzo polityka kształtuje nasze postrzeganie geografii. Redaktorzy, będący przecież francuskimi biologami, dla lepszego zobrazowania lokalizacji niektórych badań przyrodniczych, jak choćby przy prezentacji znakomitej pracy entomologicznej Adama Ulanowskiego, używają np. nazwy Inflanty Polskie, nazwy dzisiaj zapewne znanej jedynie nielicznej grupie historyków. Jako słowiańskie uznawane są także prace z terenu Łużyc, nawet te publikowane w języku niemieckim przez niemieckich autorów jak choćby badania anatomii i biologii łososia z Elby prowadzone przez Antona Frica.

Początki wydawania *Archiwum Biologii Słowiańskiej* przypadły na okres bardzo specyficzny dla rosyjskiej biologii. Po klęsce jaką Rosja poniosła w Wojnie Krymskiej w naukach przyrodniczych upatrywano szansy na rozwiązanie niektórych

spośród najważniejszych problemów nekających imperium: zwalczanie nędzy chłopstwa poprzez udoskonalenie agronomii, epidemii dziesiątkujących ludność całych regionów poprzez rozwój mikrobiologii, przyspieszenie rozwoju gospodarczego poprzez lepsze poznanie i wykorzystanie naturalnych zasobów Syberii, zmniejszenie plagi alkoholizmu poprzez lepsze poznanie fizjologii człowieka. Liberalizacja życia intelektualnego, otwarcie na Zachód i błyskawiczne przyswojenie i rozwinięcie teorii ewolucji Darwinowskiej i teorii Pasteura, zainteresowania przyrodnicze elity intelektualnej i administracyjnej w tym i samego cara dokonały reszty. Okres pomiędzy Wojną Krymską, a początkiem dwudziestego wieku uznać należy za szczególnie ważny dla biologii i nauk o Ziemi. Okres ten zaowocował powstaniem wielu nowych koncepcji, opisem nowych terenów i ogromnym międzynarodowym uznaniem dla wschodnioeuropejskiej nauki. Celowo używam określenia wschodnioeuropejska, a nie rosyjska, aby podkreślić wielonarodowy charakter nauki Imperium Rosyjskiego. Wśród biologów znaczną część jeśli nawet nie większość (choć nigdy nie natrafiłem na wiarygodne statystyki) stanowili przecież poddani cara innej niż rosyjska narodowości: Niemcy, Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Finowie. Wschodnioeuropejska przyrodnicza rewolucja naukowa w znacznej części spowodowana była czynnikami politycznymi, a wielu spośród eminentnych przyrodników należało do liberalnej części rosyjskiej inteligencji, wspomnieć choćby twórcę układu okresowego Mendelejewa podpisującego listy w obronie studentów czy twórcę embriologii porównawczej Kowalewskiego, podejmującego się roli kuriera pomiędzy demokratycznymi organizacjami w Rosji, a polską emigracją i przebywającym w Londynie Aleksandrem Hercenem. Nic więc dziwnego, że *Archiwum Biologii Słowiańskiej* zajmuje się nie tylko przyrodniczą częścią życia umysłowego Rosji, ale także śledzi z uwagą polityczną sytuację tego kraju. W związku z zainteresowaniem ale i zaniepokojeniem z jakim obserwowano ograniczanie wolności akademickiej przez rosyjskie władze administracyjne redakcja przetłumaczyła i opublikowała w całości tekst nowego prawa o uniwersytetach z 21 sierpnia 1881. Z dużym zainteresowaniem śledzono także akcję środowiska naukowego mającą na celu utrzymanie żeńskiego fakultetu medycyny. Niejako przy okazji przypominano znakomite prace kobiety — uczonego matematyka, działacza demokratycznej i żony Kowalewskiego.

Jest zrozumiałe, że wobec znaczenia rewolucji pasteurow-

skiej znaczna część publikacji poświęcona jest pracom nad wściekliczną i innymi chorobami zakaźnymi. Autorami tych publikacji są biologowie pracujący w różnych krajach i instytucjach, zacytować należy wywołujące szczególną polemikę prace profesora Obrzuta z Instytutu Anatomiczno-Patologicznego w Pradze. Większość mikrobiologicznych prac wykonanych zostało przez pracowników instytucji rosyjskich zarówno cesarskich jak i prywatnych jak choćby Klinika Terapeutyczna profesora Masseina w Piotrogradzie. *Archiwum* informuje o decyzji z 6 lutego Towarzystwa Lekarzy Rosyjskich o powołaniu specjalnej komisji dla studiów nad wściekliczną i organizacji w Odessie Stacji Mikrobiologicznej, kierowanej przez Miecznikowa, przyszłego Noblistę, odkrywcy zjawiska fagocytozy, po rewolucji emigranta w Paryżu i pracownika Instytutu Pasteura. Odessa stacja została wkrótce przekształcona w Instytut i — co warte jest odnotowania — był to najstarszy (starszy od paryskiego) Instytut Pasteura na świecie. Redaktorzy odnotowali także decyzję o powołaniu analogicznych stacji badawczych w Warszawie i Moskwie. W tym samym numerze *Archives Slaves de Biologie* odnaleźć można informację o Nagrodzie Kaczorowskiego, honorującej konkurs ogłoszony przez Towarzystwo Medyczne Warszawskie, która przyznana będzie za prace na temat badań nad wściekliczną i jej prewencją. Z Warszawy przedrukowana została także praca Nenckiego i Rakowskiego dotycząca zagrożeń epidemiologicznych związanych ze ściekami komunalnymi. O ogromnym uznaniu carskiej administracji dla Pasteura i powstającej mikrobiologii świadczy zresztą przyznanie temu uczonemu brylantowego Orderu Świętej Anny i największy w historii Instytutu Pasteura, bo wynoszący aż sto tysięcy franków w złocie dar cara. *Archiwum* zamieściło także informacje o powołaniu przez rząd rosyjski specjalnej komisji dla zbadania przyczyn nadmiernej śmiertelności w Rosji i znalezienia środków zaradczych dla tego niepokojącego zjawiska. Wiele spośród przedrukowywanych przez Richeta prac wykonanych było bądź na zamówienie administracji bądź aby niezależnie od niej znaleźć rozwiązanie dla ważnych problemów społecznych. Do najbardziej interesujących należą prace Danielewskiego z Charkowskiego Uniwersytetu o chorobach związanych z pasożytami krwi, Mierzejewskiego o fizjologii halucynacji alkoholowych, pionierskie prace Afanasiewa o transfuzji krwi, studia wykonane na zamówienie armii dotyczące ołowicy będącej następstwem stosowania konserw ołowianych. Często autorzy podkreślali, iż roz-

wiązanie badanego problemu znajduje się poza możliwościami nauk przyrodniczych, wskazując na jego społeczne uwarunkowania i konieczność przeprowadzenia reform. Morawicki w pracy o narkotykach i innych substancjach trujących używanych przez populację prowincji Tergan (Turkiestan) nie tylko zanalizował rośliny halucynogenne tego kraju, ale także uwarunkowania lokalne ich użycia tj. nędzę, brak perspektyw dla młodego pokolenia, tradycje religijne, nieobecność alkoholu w kulturze Turkiestanu, łatwą dostępność i powszechną znajomość owych roślin. Wybór artykułów dokonany przez redakcję *Archivum* dobrze ukazuje rosyjską ekspansję na Dalekim Wschodzie i przyrodniczą eksplorację Syberii. Oprócz prac Benedykta Dybrowskiego publikowane są regularnie informacje o ekspedycjach, rezultaty badań organizowanych przez Carskie Towarzystwo Geograficzne, informacje o publikacjach Aleksandra von Bunge, jednej z najciekawszych postaci epoki. Bunge był niemieckim uczonym, profesorem Dorpackiego Uniwersytetu, rosyjskim dyplomatą. Jako jeden z pierwszych uczonych europejskich dotarł do Chin mianowany na stanowisko botanika w Rosyjskiej Misji Prawosławno-Naukowej w Pekinie. W trakcie krótkiego pobytu (po roku wydalono go w związku z podejrzeniem o szpiegostwo na rzecz cara) zdołał opisać i przesłać do Europy kilkadziesiąt nowych gatunków roślin. Organizował także wyprawy botaniczne w Persji i Turkiestanie. Badaniom przyrodniczym towarzyszyło odkrywanie nowych dla Europy kultur, *Archivum* zamieszcza informacje o przetłumaczeniu na rosyjski tybetańskich ksiąg medycznych. Richet przedrukowuje także prace o zaletach medycznych i odżywczych nowych, nie znanych na Zachodzie roślin jak choćby publikację Lipskiego o soi, a także analizę wykonaną przez Kurkonowa „cudownego lekarstwa” Buriatów, kobylego mleka i jego sfermentowanej formy — kumysu. W kolejnych numerach czasopisma odnaleźć można informacje ukazujące rozwój aspiracji narodowościowych i walkę o zwiększenie znaczenia języków narodowych Europy Środkowej. Redaktorzy z dużym zainteresowaniem i sympatią informują o wprowadzeniu języka czeskiego jako wykładowego w Pradze, o utworzeniu *Sbornika Lekarskiego* pierwszego czeskojęzycznego czasopisma medycznego. Pierwszy numer *Archives Slaves de Biologie* otwiera artykuł profesora Fritscha z Uniwersytetu Technicznego w Pradze na temat czaszki z podpraskich wykopalisk. Było to z pewnością uhoonorowanie jakże dużego wkładu Czechów do nauki europejskiej. Z przedrukowywanych prac czeskich warto zauważyć

publikacje Filipa Pocty o gąbkach Czech i Słowacji. Ta osobliwa grupa zwierząt (zwierzęcy charakter gąbki został odkryty przez Kowalewskiego zaledwie kilka lat wcześniej) szczególnie pasjonowała zoologów dziewiętnastego wieku. *Archivum* przedrukowało także prace o słodkowodnych gąbkach Europy i o gąbkach Galicji polskiego uczonego Antoniego Wierzejskiego.

Prace polskich uczonych stanowią znaczną część przedruków w *Archives Slaves de Biologie*. Z sympatią można odnotować, iż przy przedrukach publikacji zarówno z różnych zaborów jak i z emigracji (zamieszczano wiele prac emigrantów m.in. dr Gałęzowskiego i profesora Jana Dąbrowskiego) redaktorzy zawsze podkreślają polskość ich autorów jak i akcentują jedność polskiej nauki. Czasopismo stara się także śledzić życie naukowe Polski, stąd informacje o powstawaniu w 1886 roku nowych czasopism, jak kierowanego zresztą przez współpracownika *Archives* dr. Szpilmana, lwowskiego *Przeglądu Nauk Weterynaryjnych*. Jest zrozumiałe, że w okresie ostrego francusko-niemieckiego współzawodnictwa naukowego, redakcja z zadowoleniem przedrukowała deklarację ze wstępnego artykułu pierwszego numeru *Wiadomości Lekarskich* redagowanych przez lwowskiego uczonego dr. Wicklora „że czasopismo śledzić będzie rozwój nauki niemieckiej starając się jednak przełamać jej monopol w prasie polskiej i rezerwując znaczną część swoich łamów dla prac angielskich, francuskich, rosyjskich, czeskich i innych”. Warto także podkreślić, że *Archives Slaves de Biologie* korzystają z wielu źródeł polskojęzycznych głównie czasopism: *Pamiętnika fizjograficznego*, *Pamiętnika Towarzystwa Lekarskiego* w Warszawie, *Gazety lekarskiej*, *Kosmosu*, *Medycyny*, *Przeglądu lekarskiego*, *Wszecchwiatu*, *Sprawozdań z posiedzeń Akademii Umiejętności* w Krakowie. Zamieszczają także informacje o podjęciu przez *Przegląd Tygodniowy* publikacji Encyklopedii Technicznej. W drugim numerze *Archives* znajduje się tłumaczenie ze „sprawozdania z piśmiennictwa naukowego polskiego w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych z roku 1884” obejmujące 293 prace (185 autorów), opublikowane dzięki pomocy Kasy Mianowskiego. Autorzy sprawozdania podkreślają wagę prac Wróblewskiego i Olszewskiego nad skraplaniem gazów, Czyrniańskiego nad ruchem wibracyjnym cząsteczek, prac botanicznych Janczewskiego, Rostańskiego, Zubra, Słosarskiego, prac fizjologicznych Nenckiego i Adamkiewicza. Dr Alfred Obaliński publikuje w czasopiśmie Richeta listę książek wydanych dzięki wysiłkowi Krakow-

skiego Towarzystwa dla Popierania Publikacji Oryginalnych Prac Medycznych, wśród nich Laryngoskopię dr. Jurasza z Heidelbergu i podręcznik położnictwa dr. Jordana. *Archives Slaves de Biologie* z uwagą śledzą spotkania polskich towarzystw naturalistycznych informując np. o prezentacji nowego urządzenia pomiarowego dla potrzeb geografii fizycznej przez znanego botanika Rehmana na spotkaniu lwowskiego Towarzystwa Przyrodniczego „Kopernik” lub o odczytach Emila Godlewskiego, profesora Szkoły w Dublinach, jednego z najwybitniejszych znawców procesów wymiany gazowej roślin, twórcy polskiej szkoły fizjologicznej. Nazwiska polskich uczonych odnajdujemy także w kronice nominacji na katedry rosyjskich uniwersytetów jak i przy okazji szczególnie ważnych jubileuszy, jak choćby 35 lat pracy naukowej Leona Cieńkowskiego. Ze szczególnym wzruszeniem wśród autorów publikacji *Archives Slaves de Biologie* odnajdujemy nazwiska tych polskich przyrodników, którym udział w powstaniach lub w pracy na rzecz niepodległości utrudnił karierę nierzadko na wiele lat pozbawiając ich możliwości kontynuacji badań.

Antoni Walecki, wybitny polski teriolog, autor studiów nad gryzoniami polskimi przedrukowanych przez Richeta z *Pamiętnika Fizjograficznego* był współpracownikiem Szymona Konarskiego. Aresztowany w 1838 roku jako członek Stowarzyszenia Ludu Polskiego spędził w więzieniu wiele lat. Profesor Eichler wybitny botanik, autor wielu prac botanicznych m.in. zamieszczonego w *Archiwum* Katalogu mchów liściennych, skrzypów, widlaków i paproci, przerwał swoje przyrodnicze studia w Marburgu, by wziąć udział w Powstaniu Styczniowym. Powstańcem był także kilkakrotnie cytowany fizjolog dr Chudziński. Izydor Kopernicki po ukończeniu studiów w Kijowie lekarz wojskowy, autor prac archeologicznych o Horodnicy nad Dniestrem, uczestniczył w Powstaniu Styczniowym. Aresztowany przez Austriaków i internowany w Ołomuńcu zdołał przedostać się do Paryża gdzie w Towarzystwie Antropologicznym współpracował z jednym z największych antropologów dziewiętnastego wieku, Brocą. Po wyjeździe z Francji zorganizował Muzeum Anatomiczne w Bukareszcie, gdzie kontynuował swoje badania. Konstanty Jel-ski wraz z wybitnym botanikiem Kesslerem prowadził badania nad roślinnością Krymu. W 1863 roku zagrożony represjami opuścił Rosję i poprzez europejskie posiadłości Turcji dotarł do Paryża. Jako aptekarz marynarki francuskiej przybył do Gujany, by wkrótce stać się jednym z najwybitniejszych znawców przyrody południowoamerykańskiej. Dzięki

hojności księcia Konstantego Branickiego mógł wraz z Taczanowskim i Stolcmanem prowadzić pionierskie badania nad ptakami Peru, przez wiele lat był ponadto kustoszem Muzeum Raimondiego w Limie. Opisał około osiemdziesięciu nowych dla nauki gatunków zwierząt. Polskie prace przyrodnicze w Ameryce Południowej zostały docenione i przedrukowane przez *Archives Slaves de Biologie*. Lista polskich przyrodników, którym polityka burzyła budowane przez lata warsztaty pracy, jest zresztą wyjątkowo długa. Niektórzy kontynuowali swoje prace na emigracji, inni po latach powracali do pracy na uczelniach rosyjskich, wielu mogło prowadzić badania dzięki ofiarności znacznej części społeczeństwa, dzięki temu, że nauka nie była wyłączną domeną budżetu państwa ale istniała i rozwijała się także dzięki ruchowi amatorskiemu, a także jak byśmy dziś to określili dzięki sektorowi prywatnemu. Józef Nusbaum Hil- rowicz, uczeń Dybrowskiego, Miecznikowa i Kowalewskiego, wielokrotnie publikowany w *Archives Slaves de Biologie* (w czasie pobytu w Paryżu współpracował z Richetem) jako Polak żydowskiego pochodzenia nie mógł uzyskać stanowiska naukowego na żadnym z carskich uniwersytetów, ani posady w szkolnictwie średnim. Nauczał więc w prywatnym szkolnictwie, także na „latającym uniwersytecie” i na zakonspirowanych kursach prywatnych. Swoje badania nad pierścieniami prowadził początkowo w domu, a następnie dzięki pomocy Kasy Mianowskiego zorganizował prywatną pracownię zoologiczną. Zapewne także społeczna ofiarność przyczyniła się do tego, że cytowane i przedrukowywane w Paryżu czasopisma przyrodnicze wydawane były nie tylko we Lwowie, Krakowie, Wilnie i Poznaniu ale także np. w Tarnowie i Gorlicach.

Archives Slaves de Biologie są bardzo cennym źródłem wiedzy o historii biologii środkowo i wschodnioeuropejskiej, a także o jej odbiorze na Zachodzie Europy. Oprócz cytowanych uprzednio prac rosyjskich, polskich i czeskich odnajdujemy rzadkie wprawdzie, ale ze względu na słabą znajomość historii nauki tych narodów jakże ważne informacje o nauce chorwackiej, serbskiej, słoweńskiej i słowackiej. Dla Polaków liczne publikacje tego czasopisma są symbolem trwania nauki polskiej i jej uczestnictwa pomimo jakże złych warunków zewnętrznych w kulturze europejskiej. Pomimo tego jest to czasopismo stosunkowo słabo znane i coraz rzadsze. Wprawdzie informatyczny program o czasopismach w bibliotekach francuskich informuje, że w Paryżu aż pięć bi-

biotek dysponuje *Archives Slaves de Biologie*, to jednak w trakcie swoich poszukiwań przekonałem się iż czasopismo zaginęło w zbiorach Biblioteki Świętej Genowefy, Biblioteki Narodowej i Biblioteki Fakultetu Farmacji. Zbiory Biblioteki Muzeum Historii Naturalnej od przeszło roku są niedostępne ze względu na prace remontowe. Jedyne egzemplarze jakie odnalazłem w Bibliotece Fakultetu Medycyny miały nie rozcięte (od stu dziesięciu lat) strony. Myślę, że czasopismo Charlesa Richeta zasługuje na większe zainteresowanie.

Piotr DASZKIEWICZ

Materii wielkie pomieszanie

Jedna z moich bibliotecznych półek poświęcona jest książkom o literaturze emigracyjnej i coraz mniej na niej miejsca. Zbieram je od studenckich lat, od mojego pierwszego pobytu na Zachodzie, gdy wydawało mi się, że robię odkrycie, poznając autorów, o których w kraju było głucho. Po powrocie nabrałem pasji kolekcjonera i śledziłem wszystko, co ukazywało się w Polsce i poza nią na interesujący mnie temat.

Wśród moich „*reference books*” są ogólne opracowania, ujmujące — z różnych pozycji — całość literatury emigracyjnej; sąsiadują z nimi liczne antologie (poezji, esejów, fragmentów prozy), encyklopedie, słowniki, wywiady z pisarzami itd. Królują w tym zbiorze „*Szkice o literaturze emigracyjnej*” Marii Danilewicz Zielińskiej w oryginalnym wydaniu Instytutu Literackiego w Paryżu (1978) i w niedawnym uzupełnionym wydaniu Ossolineum (1992). Choć nie zawsze zgadzam się z sędziami autorki, nadaję tej pracy pierwszeństwo, gdyż nigdy mnie nie zawiodła, jakiegokolwiek bym szukał w niej informacji. Są tak umiejętnie i przejrzyście uszeregowane, że łatwo je znaleźć.

Najnowsza książka, która obecnie się ukazała, zapowiada jeszcze pełniejszy obraz literatury emigracyjnej, bo gdy „*Szkice*” Danilewicz Zielińskiej kończą się na 1986 r., wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego! nosi tytuł „*Literatura emigracyjna 1939-1989*”. Książka, według wyjaśnienia na obwolucie zawiera „*szkice*

1. „*Literatura emigracyjna 1939-1989*”. Tom I. „*Śląsk*”, Katowice 1993.

omawiające twórczość żyjących na emigracji poetów kolejnych pokoleń; sylwetki twórcze Czesława Miłosza, Witolda Gombrowicza, Aleksandra Wata; a także teksty zbiorcze o eseistyce oraz prozie rejestrującej przeżycia autorów wywiezionych w głąb Rosji po 17 września 1939 r.”. W drugim tomie mają znaleźć się „*teksty omawiające instytucje życia kulturalnego na emigracji oraz szkice poświęcone prozie, teatrowi, dramatowi, przekładom, pisarzom dwujęzycznym i powstałej na obczyźnie literaturze historycznej i dokumentalnej*”.

Niepokoi mnie, że nie widzę w tej zapowiedzi ogromnego działu publicystyki, która była bodajże najważniejszą i najbogatszą częścią twórczości emigracyjnej od samego początku (Zygmunt Nowakowski, Stanisław Stroński, Ksawery Pruszyński, Ignacy Matuszewski, Adam Ciołkosz, Adam Pragier, Juliusz Mieroszewski, W.A. Zbyszewski, bracia Mackiewiczowie, Józef Łobodowski, Wojciech Wasiutyński itd. itd.).

Dużo sobie obiecywałem po tej książce, bo gdzieś szukać pełniejszego, bardziej dokładnego i wiarygodnego obrazu literatury emigracyjnej niż w pracy, powstałej pod patronatem londyńskiego Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie i kierownika Biblioteki Polskiej w Londynie Zdzisława Jagodzińskiego?

Zacząłem czytać — i od razu się zgubiłem. Po paru godzinach pilnej lektury nie umiałem sobie odpowiedzieć na pytanie: co to za książka? O czym? Dla kogo? Błądzą po niej jak błądzą jej liczni autorzy, którzy jakby nie wiedzieli do jakiej książki piszą. I rzeczywiście nie wiedzieli, bo — jak dowiadujemy się — ich eseje pochodzą „*Z prac Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej Uniwersytetu Śląskiego*”. Stąd przypadkowość w całej książce, brak koordynacji, brak jakiegось jednolitej koncepcji.

Pierwszą część, jedną trzecią książki (100 stron) zajmują sylwetki jedenastu „*pisarzy emigracyjnych*”, od Lechonia do Wata. Wybór jest arbitralny i nie zawsze zrozumiały. Brak w nim np. Józefa Łobodowskiego, który także w dziale poezji został zbyty paroma słowami i paroma krótkimi cytatai, a był przecież znanym poetą już w Polsce (przedwojenna twórczość innych pisarzy m.in. Skamandrytów jest szeroko w „*Sylwetkach*” omawiana); na emigracji wydał liczne zbiory poezji, prozy i świetnych przekładów poezji ukraińskiej i hiszpańskiej. I był bojowym publicystą — właśnie *emigracyjnym* — dzięki czemu stał się jednym z najbardziej głośnych i cenionych przez czytelników pisarzy.

Można by się również upomnieć o Hemara, tak dziś u nas popularnego, którego w książce spotkał jeszcze gorszy los niż Łobodowskiego, bo został skwitowany tylko jedną ironiczną uwagą. Był bojowym poetą-satyrykiem politycznym a także autorem pierwszorzędných przekładów Sonetów Szekspira i Ód

Horacego (nie licząc sztuk teatralnych, które może znajdują się w drugim tomie). Lecz na jego opinii zapewne zaciążyło to, że był również autorem kabaretowym i że walczył ostrym dowcipem a nie rozwlekłymi polemikami. „Bo Polacy to mają przekonanie płone/Ze co zabawne-blahe,/Co nudne-uczone”. Krasicki (i Fredro) wiedzieli to przed Hemarem.

Redaktorzy książki nie brali jednak pod uwagę ideowych założeń emigracji. Ich kryteria były inne i dlatego wśród wyróżnionej przez nich jedenastki reprezentacyjnych dla tego okresu pisarzy znaleźli się m.in. Broniewski i Tuwim.

Pierwszy z nich po wyjściu z Rosji napisał i wydał na Wschodzie tomik poezji i w 1945 wrócił do kraju, gdzie umiał dobrze przystosować się do istniejących warunków (oda do Stalina). Tuwim wrócił o rok później (1946) i jego związek z emigracją (której jeszcze nie było) ograniczył się do ogłoszenia nielicznych wierszy, rozpoczęcia „Kwiatów polskich” i pobierania zasiłków z emigracyjnego Funduszu Kultury Narodowej. Ale już w 1942 r., znalazłszy się w Stanach Zjedn. razem z innymi Skamandrytami, z którymi miał coraz luźniejsze kontakty, na wiecach starej Polonii amerykańskiej deklarował swe prosowieckie zachwyty i słał hołdownicze depesze do „radzieckich działaczy kulturalnych” w Moskwie². Nie wydaję tu sądu o tych obu pisarzach tylko nie uważam, by byli przedstawicielami literatury emigracyjnej.

Uniwersytet Śląski, patron „Literatury emigracyjnej”, która ukazała się dzięki jego dotacji, miał u nas, co prawda, opinię „czerwonego”. Nieco spełzł, ale nie zniknął kompletnie i czytelnik od czasu do czasu potyka się o znane mu z dawnych czasów sformułowania: „... w tzw. wolnym świecie, więc poza sferą wpływów realnego socjalizmu”, (emigracyjne) „schematy rozumienia zdarzeń politycznych”; „nowy endecki (!) zespół współpracowników *Wiadomości*” (i ich stosunek do Rosji, który miał być powodem odejścia od nich „zorientowanych na lewo” Słomińskiego i Tuwima) itd.

Ofiarami jedenastu rozgadanych mini-biografii stała się reszta pisarzy emigracyjnych. Nazwiska ich wymieniane są alfabetycznie, od A do Z jak w książce telefonicznej, zależnie od tego gdzie byli w czasie wojny, co robili (wojsko, obozy), gdzie się potem osiedlili itd. Cytowanie wierszy jest przypadkowe, nieraz kosztem ważniejszych poetów wyróżnia drugorzędnych czy nawet takich, o których nikt poza znajomymi nie słyszał.

Z jakiegokolwiek strony spojrzeć na tę książkę, trudno w niej znaleźć jakiś konsekwentny plan. Obok szkolnych wypracowań („opowiedz swoimi słowami co poeta miał na myśli”?) inny esej

2. M. Danilewicz Zielińska, „Szkice o literaturze emigracyjnej”.

pisany jest pseudonaukowym bełkotem („Świadome wykorzystywanie naturalnej polisemii, swoista gra językiem, polegająca na produkcji nowych znaków dzięki nowym wiązaniom słów, gdzie regułą staje się homonimia, czy paronomazja, palimpsetowa metafora poetycka...”); na pociechę znalazł się w tym chaosie rzeczowy esej Niny Taylor o prozie zsyłkowej, domagający się godniejszego sąsiedztwa.

Rozumiem, że w każdym większym opracowaniu, w którym wymienia się wiele nazwisk mogą się trafić przeoczenia, ale tutaj bywają one zaskakujące. W pedantycznie rozbudowanym na parę gatunków rozdziale o eseistyce, na próżno szukałem mojego profesora Jana Kotta, na którego znakomite eseje w londyńskich *Wiadomościach* rzucałem się ile razy znalazłem się na Zachodzie w latach 70-tych. Jeśli nie w tym dziale, to chyba można było znaleźć dla niego miejsce w innych rozdziałach (np. „Po marcu”). Trudno jednak zgodzić się z zestawieniem poetów, urodzonych po wojnie i wychowanych w PRL (Barańczak, Biezin, Szaruga, Zagajewski i.in.) z ich poetyckimi poprzednikami, którzy większość życia spędzili na uchodźstwie i których twórczość miała z tym ścisły związek. Nie słyszałem zresztą, by oni sami uważali się za reprezentantów literatury emigracyjnej.

Podobna tendencja schlebiana modzie charakteryzuje mianowanie nowych Trzech Wieszców: Miłosza, Gombrowicza i Wata.

Wobec ogromnej ilości prac na tematy literatury emigracyjnej może przyszedł czas na syntetyczne ujęcie tego historycznego już zjawiska. Nie setki nazwisk, z których wyrok czasu wybrał już te co ważne, nie wybory uzależnione od indywidualnych preferencji i „układów”, ale odpowiedź na pytanie co to jest literatura emigracyjna. Kto jest emigracyjnym pisarzem.

Powszechnie przyjęty termin na określenie wszystkiego co ukazało się w druku poza krajem od 1939 do 1989 jako „literatura emigracyjna” (zgodnie z tytułem omawianej książki) nie jest ścisłym określeniem.

W latach wojny dla nikogo z Polaków „na obczyźnie” czy „na uchodźstwie” nie istniała perspektywa emigracji i przymiotnik „emigracyjny” nigdy nie był używany. Wszyscy, którzy znaleźli się poza krajem jako uchodźcy, żołnierze, jeńcy, zesłańcy liczyli na powrót do kraju. Autorami utworów, które w pierwszych latach wojny powstawały (głównie poezja, ale i nieliczne zbeletryzowane reportaże wojenne — Narvik, lotnictwo) byli pisarze przedwojenni. Była to, zgodnie z nadaną jej przez Marię Danilewicz Zielińską nazwą, literatura „Polski walczącej” (NIE „Emigracji walczącej”, jak to błędnie cytują redaktorzy książki). „Literatura emigracyjna” ma ściśle określony rok powstania — 1945. Z zakończeniem wojny przybyli do Anglii, ówczesnego

centrum polskiego, pisarze zwolnieni z wojska i z obozów i w Londynie, gdzie chwilowo znalazła się ich większość, zaczęły rodzić się książki — świadectwa przeżyć wojennych (Tadeusz Nowakowski, Herling-Grudziński, Naglerowa, Krakowiecki i in.). W tym samym czasie powstała *Kultura* i paryski Instytut Literacki.

Przełomowym momentem w literaturze emigracyjnej, który można uważać za jej trzeci, końcowy etap, było wydanie w 1958 r. przez Instytut Literacki książki krajowego pisarza Marka Hłaski. Od tej chwili coraz więcej autorów krajowych zaczęło drukować za granicą, włączając się przez to, w ogólnej opinii, do literatury emigracyjnej.

Tutaj autorzy zasadniczej pracy o tej literaturze będą mieli największe trudności. Bo czy każdy, którego książki ukazywały się poza Polską, był pisarzem emigracyjnym? O tym nie mogły decydować formalne względy, jak miejsce zamieszkania czy wydawania książek. „Emigracyjność” była wtedy postawą polityczną, dziś już należącą do historii, była własnym wyborem statusu emigranta, który pociągał za sobą odpowiednie konsekwencje.

Książka „Literatura emigracyjna 1939-1989” nie daje odpowiedzi na te pytania, raczej je zaciemnia. A szkoda, bo najbardziej do tego wyjaśnienia powołany byłby patronujący książce Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Artur ZIELIŃSKI

Od Kijowa do Piccadilly

Tytuł książki „Od Kijowa do Piccadilly”*, choć brzmi turystycznie, nie bardzo nadaje się na przewodnik podróży. Są w niej różne kraje i dużo tematów, ale przede wszystkim jest to historia trzech ludzi, a ściślej mówiąc — trzy historie jednego człowieka, Tadeusza Zabłockiego.

Spotykając go na co dzień, trudno byłoby się domyślić, że ten *gentleman* — bo w brytyjskim krajobrazie to skrótowe

* Stanisław Sławomir Nicieja. „Z Kijowa na Piccadilly. Wokół biografii Tadeusza Zabłockiego-Gwasza”. Wydawnictwo Heliona, Opole 1994.

określenie wygodnie go ustawia — jest przykładem potrójności losów swego pokolenia. I to przykładem bardzo podnoszącym na duchu.

Urodzony na polsko-ziemiańskiej Ukrainie, skoligacony, bogaty paniczyk, z zapewnioną przez fortunę ojca, przyszłością, mógł nie mieć o nią żadnych obaw. Rewolucja jednym pociągnięciem przekreśliła te złudzenia.

Stracił ojca, majątek i razem z matką i siostrą stał się biednym uciekinierem — jak wtedy to nazywano — w biednej po wojnie Polsce. Początek był niełatwy, ale stopień po stopniu szło ku lepszemu, najpierw dzięki dzielnej matce, potem własnym wysiłkom. Szkoła w Bydgoszczy, uniwersytet w Poznaniu, pierwsze kroki dziennikarskie w Lesznie — i już Warszawa a w niej MSZ, upragniona mekka młodzieńców, znających języki i mających światowo-towarzystwie ambicje. Szybko pierwsza placówka zagraniczna, a gdy ta kariera potem się przerwała, rozpoczęła się nowa, prawnicza, najpierw od aplikantury u największego adwokata w Łodzi, potem już w własnej kancelarii. Coraz więcej klientów, piękne mieszkanie, piękny samochód, piękna młoda żona.

To drugie życie było krótkie, trwało dwadzieścia lat. I 1939 rok znowu wszystko zmiotł do czysta. Znowu ucieczki, granice, obce kraje, lata wojny i po wojnie rozpoczynanie wszystkiego od nowa. I to nie na małą emigracyjną skalę — jakieś gdzieś biurko, jakiś sklep, jakieś małe interesy, byle się zaczepić, przeżyć, urządzić. Z konieczności i on zaczynał skromnie, ale prędko obok wrodzonej energii, niespodziewanie odezwały się geny. Ojciec Zabłockiego zrobił w Rosji wielki majątek w nieortodoksyjny dla swej sfery sposób. Nie na hodowaniu pszenicy i buraków, ale na handlu, do którego odkrył w sobie wyjątkowe zdolności. I Tadeusz, przebywszy drogę z Kijowa do Londynu, wstąpił w ślady ojca i podobnie jak on — przez przypadek — zabrał się do handlu.

„Tazab”, który założył w 1947 roku był pierwszą, pionierską firmą wysyłkową, jakie się potem, za jej przykładem, licznie rozmnożyły. To co na początku wyglądało na małą imprezę, trafiło na tak wielkie zapotrzebowanie w Polsce i krajach z Żelazną Kurtyną, że firma zaczęła się błyskawicznie rozrastać. Miała zamawiających klientów w Anglii, Kanadzie, Ameryce, Australii, sklepy w kilku miastach Brytanii, przedstawicielstwa i dostawców w różnych krajach na kilku kontynentach. Skóra na buty z Południowej Afryki, sztuczne futra z Belgii, swetry z Norwegii, banany i kawa z Brazylii, tkaniny z Japonii, wędliny z Danii, pomarańcze z Hiszpanii i Grecji, kolorowe „krakowskie” chustki na głowę ze Szwajcarii...

Nie było takiego zamówienia, którego by „Tazab” nie wy-

końca, zgodnie z wymyślonym przez Karola Zbyszewskiego hasłem firmy „Od baobaba aż do kraba możesz wysłać przez Tazabą”. A bywały i takie zamówienia jak na parę kanarków czy na organy do kościoła.

W latach 60-tych Zabłocki, który doskonale odgadywał potrzeby rynku, odkrył we Włoszech źródło lekkich płaszczy przeciwdeszczowych, dla których wymyślił nazwę „ortalion” i ubrał nimi całą Polskę. Zbyszewski twierdził, że ani Gomułce ani Gierkowi nie udało się tak jednakowo umundurować członków partii, jak to zrobił „Tazab”.

Niezamordowana praca Zabłockiego i jego najbliższych współpracowników, jego pomysłowość, energia w nawiązywaniu kontaktów — (sprawa zdobycia dostaw streptomycyny to nieomal temat do sensacyjnej powieści) — umiejętność załatwiania wszystkiego tak na najwyższym jak na najniższym szczeblu — w pełni uzasadniały niebywały, na międzynarodową skalę sukces firmy o milionowych obrotach.

„Tazab” przyniósł właścicielowi zasłużony majątek, ale korzystali z niego i inni. Nie tylko odbiorcy, dla których paczki bywały dobrodziejstwem, często życiową koniecznością. Ale dzięki „Tazabowi” znalazło pracę mnóstwo ludzi w trudnych powojennych warunkach. Właściciel „Tazaba” nie zapominał też o kulturalnych celach, pomagał pisarzom (Józef Mackiewicz), parokrotnie fundował nagrody literackie *Wiadomości*.

Pisać czyjąś biografię za życia jej bohatera to karkołomne przedsięwzięcie. Bo muszą się tu zetknąć, a często ścierać dwa różne punkty widzenia. Bohater widzi siebie i swoje życie z bliska, gubi się w szczegółach, często je nieświadomie przekształca, przywiązany do własnych wspomnień i jednocześnie, z braku perspektywy, może nie dostrzegać ważniejszych powiązań. Autor książki o Zabłockim dobrze dał sobie radę z eliminacją. I swobodnie obraca się w trzech obcych dla siebie epokach i światach — w przedwojennym Kijowie, międzywojennej Polsce i powojennej Anglii. Zapewne była w tym także zasługa Zabłockiego, który umie opowiadać, a także jego siostry, pisarki Ireny Bączkowskiej, o której losach jest również w książce mowa.

Nicieja przyjeżdża do Londynu od wielu lat i dobrze poznał jego polskie dzieje, zarówno archiwalnie, jak i z licznych kontaktów z ludźmi. Książka ta jest pierwszą z zamierzonego cyklu „Ludzie Londynu”.

Przedwojenna Polska ukazała się w książce najbardziej blade, co łatwo wytłumaczyć tym, że dla kogoś urodzonego 40 lat temu, była to już tylko historia. Tym dziwniejsze jest więc zainteresowanie Niciei przedrewolucyjnym Kijowem i doskonała jego znajomość.

Temat ten wykracza nieco za omawianą książkę. Zabłocki,

jak i jego przyjaciele, bracia Zbyszewscy spędzili tam tylko parę szkolnych miesięcy na początku rewolucji. Ale z tego co Nicieja mówi (jak to zrobił na inauguracji książki w Instytucie Sikorskiego w Londynie), widać że nauka, jaką wyniósł z ówczesnego kijowskiego przykładu była u podstawy jego zainteresowania karierą Zabłockiego. Obok polskiego kulturalnego bogactwa miasta, do którego zjeżdżali wtedy Polacy z kraju, zagrożonego wojną, zwracały uwagę polskie fortuny, powstałe dzięki handlowym zdolnościom, niedocenianym w Polsce, a tak niezbędnym by dać krajowi bogatą klasę mieszczańską.

Nicieja, po skończeniu studiów znalazł się we Lwowie, korzystając z tego zaczął odgrzebywać (dosłownie) polskie cmentarze obrońców Lwowa i po wydaniu głośnej książki o tym, „odkrył” dla powojennych pokoleń w kraju Lwów, który dla nich, jak i dla niego samego, był przedtem nieznanym. I właśnie ze Lwowa wyniósł przykłady polskiego lekceważenia ludzi, którzy służyli krajowi — nie umierając dla niego, ale budując pracą jego solidne podstawy.

Jurek Bishan, który zginął w obronie Lwowa, mając 16 lat, stał się symbolem Orląt, bohaterem wzruszających pieśni i wspomnień. Jednocześnie bogaty przemysłowiec Julian Wang, który oddał jeden swój dom na zorganizowaną przez siebie stółkę dla powstańców, a drugi dom na szpital dla nich, nie pozostawił po sobie śladu w narodowej pamięci. Ani nikt z lwowian (pytanych o to również w Londynie) nie wiedział dlaczego jedna z ulic nazywa się Brejerowska. A Emil Brejer w czasie powstania styczniowego zaopatrywał w broń i pieniądze powstańców, idących z Galicji do Kongresówki, miał w piwnicy skład broni i pomagał ludziom po powstaniu. W pracy Stefana Kieniewicza „Powstanie styczniowe”, liczącej niemal tysiąc stron, nie ma żadnej wzmianki o Brejerze.

Ta dygresja o braku poszanowania dla Wokulskich tłumaczy w dużej mierze pasję Niciei w opisywaniu historii Zabłockiego. Jest to biografia szczególnie ciekawa, bo jej główny bohater był również statystą w rozmaitych historycznych okazjach m.in. na stanowisku prasowego sekretarza Tomasza Arciszewskiego, premiera rządu R.P. na wygnaniu. A że był jednocześnie dziennikarzem, piszącym dużo w latach wojennych, Nicieja przytoczył ważniejsze fragmenty jego komentarzy, wiążąc je z ówczesnymi wydarzeniami.

Książkę czyta się łatwo — jest literacka i anegdotyczna. Poza ludźmi o głośnych nazwiskach, spotyka się w niej mnóstwo bliższych znajomych. Nieraz miałam wrażenie, że wchodzi do londyńskiego Ogniska Polskiego sprzed czterdziestu lat.

„Silva rerum”

Wybór tekstów Mieczysława Grydzewskiego z jego rubryki w *Wiadomościach* pt. „Silva rerum”, który ukazał się właśnie w opracowaniu Jerzego B. Wójcika w prywatnym wydawnictwie w Gorzowie Wielkopolskim jest drugą — po omawianej w kwietniowym numerze *Kultury* antologii Stefanii Kossowskiej „Od Herberta do Herberta” — pracą poświęconą *Wiadomościom* wydaną w ciągu niespełna roku. Drugą, lecz zapewne nie ostatnią, jako że przypadają w tym roku co najmniej dwie bardzo istotne rocznice związane z osobą Mieczysława Grydzewskiego: stulecie jego urodzin oraz 70-lecie założenia *Wiadomości Literackich*.

Rubrykę „Silva rerum” Mieczysław Grydzewski pisał w latach 1948-1969; ostatni tekst, przygotowany w szpitalu oo. Aleksjanów, ukazał się na parę miesięcy przed śmiercią autora. „Silva” zajmowała najczęściej dwie kolumny, na ostatniej lub przedostatniej stronie, w niemal każdym numerze *Wiadomości*, obok stałych felietonów Szperacza, Big Bena czy Pandory. Ale zdarzały się też duże artykuły zajmujące całą stronę. Głównymi tematami „Silvy” była historia, literatura (w której szczególne miejsce zajmował teatr), polityka (również bieżąca), obyczajowość, kultura, ale też plotki, anegdota i sensacje. Nade wszystko jednak szeroko rozumiane *polonica* tzn. odnajdywanie, rejestrowanie i opisywanie z manią dbałością o szczegóły, którym potrafił poświęcić wiele czasu w czytelni British Museum, wszelkich druków, artykułów w prasie czy choćby wzmianek o wydarzeniach i ludziach związanych z Polską.

Grydzewski redagował *Wiadomości* sam, nikogo nie dopuszczając do tajemnic tygodnika. Pozwalało mu to przez lata utrzymywać w sekrecie autorstwo „Silvy” tym bardziej, że w powszechnej opinii uchodził za osobę piszącą mało i raczej niechętnie. Dziś wiemy, że pisał dużo, jakkolwiek debiutował późno i tylko sporadycznie podpisywał teksty własnym nazwiskiem. Właściwie poza trzyczęściowym artykułem o zajęciu Warszawy przez wojska Suworowa w 1794 roku — wydanym pierwotnie w nowojorskim *Tygodniku Polskim*, a później w dwóch edycjach książkowych — sygnował jedynie dwie wojenne antologie poezji i wybór głosów o Henryku Dąbrowskim. Pozostałych swych prac nie podpisywał. Próżno też szukać nazwiska Mieczysława Grydzewskiego na łamach *Wiadomości*, a przecież „Silva rerum” nie wyczerpuje dorobku pisarskiego redaktora omawianego tygodnika.

Kiedy w lutym 1944 roku rząd brytyjski cofnął przydział ściśle reglamentowanego w latach wojny papieru (a był to mechanizm stosowany wobec kilku niepokornych polskich pism emigracyjnych) likwidując *de facto* tygodnik, Grydzewski z lokalu redakcji przeniósł się „na stałe” do pobliskiej biblioteki British Museum. Istniała już wtedy również londyńska Biblioteka Polska. Pasją Grydzewskiego stało się poszukiwanie poloniców, książek obcych a Polski dotyczących, których w czasie wojny ukazywało się niemało w Anglii, Ameryce a nawet na kontynencie. Recenzje z przeczytanych nowości ukazywały się od września 1944 do kwietnia 1946 roku we wszystkich najważniejszych polskich pismach emigracyjnych: *Tygodniku Polskim* (N.Y.), *Orle Białym*, *W Drodze*, *Polsce Walczącej* i innych. Inicjatywa była najpewniej obustronna; główne polskie pisma redagowali przyjaciele Grydzewskiego oburzeni formą likwidacji tygodnika. W ciągu niespełna 2 lat ukazało się ponad 50 oryginalnych, nie będących przedrukami odcinków zatytułowanych najczęściej „Sprawy polskie w książkach angielskich”, podpisywanych przez „Scrutatora” (raz jeden przez pomyłkę — „Spectatora”). Wydaje się, że nigdy nie było wątpliwości, że pisze je redaktor zlikwidowanych *Wiadomości Polskich* tym bardziej, że po wznowieniu tygodnika w kwietniu 1946 roku (pod skróconą nazwą *Wiadomości*), przez jakiś czas na jego łamach ukazywały się artykuły „Scrutatora”, wyparte później przez „Silvę”. Tajemnicę „Silvy” zdradził oficjalnie dopiero Wacław Grubiński w księdze pamiątkowej XXX-lecia *Wiadomości* w 1957 roku pisząc: „Po dwudziestu latach pracy redakcyjnej Grydzewski sam chwycił za pióro. Silva, to Grydzewski...”.

Przed wojną Grydzewski pisał sporadycznie i częściej dla innych niż dla siebie. Posyłał np. Wierzyńskiemu do konkurencyjnej *Kultury* zagraniczne kroniki literackie. Dopiero w latach wojny odkrył rozkosz lektury starych pamiętników, czasopism i herbarzy znajdujących się w czytelniach British Museum, które zastąpić musiało grono warszawskich wszechwiedzących przyjaciół. Czas i zapasy energii dzielił między surową dyscyplinę pracy redakcyjnej i rozpustę erudycji.

„Silva” narodził się w British Museum, gdzie Grydzewski spędzał prawie cały dzień. Wspomnienia Marii Danilewiczowej rzucają nieco światła na metodę pracy redaktora *Wiadomości*: „Poszukiwanie wiedzy o sprawach polskich odbywało się metodą łańcuchową: punktem wyjścia było jakieś wydarzenie lub osoba, — zapoznać się wypadało z dalszym tłem wydarzeń, — to znów przykuł uwagę szkie sąsiedni, w tym samym tonie czy 'klocku' umieszczony, — czasem wreszcie zauważono przypadkiem nazwisko polskie albo ciekawy tytuł w katalogu 'Britiszu'...”. Bohaterami „Silvy” byli pisarze, politycy, monarchowie polscy lub

z Polską związani koleinami życia; w tekstach pojawiały się sprawy i odkrycia, o których pisał Grydzewski w listach do przyjaciół, jak choćby okoliczności wysłania telegramu do Tuwima z prośbą o „więcej kwiatów”, który wzbudził zainteresowanie policji angielskiej.

Jerzy Wójcik przygotował teksty starannie, opierając się na materiałach zgromadzonych w Archiwum *Wiadomości*. Były to wycinki „Silvy” z 21 roczników tygodnika pozostawione po niefortunnej próbie ich wyboru dokonanej przez Mariana Hemara w końcu lat 60-tych, uzupełnione i w znacznej części poprawione przez Grydzewskiego, któremu śmierć nie pozwoliła jednak dokończyć pracy. Tak więc zamieszczone w książce teksty mogą się nieco różnić (i różnią się) od zamieszczonych w *Wiadomościach*. Z ponad 1000 wycinków autor wyboru przedrukował kilkaset nadając im tytuły zasugerowane przez Grydzewskiego. Niestety brak spisu treści utrudnia nie tylko policzenie lecz również pełną ocenę dokonanego wyboru. Zastosowany układ chronologiczny pozwala prześledzić rozwój zainteresowań Grydzewskiego lecz powoduje, że obok „Silvy” o Broniewskim znajdują się anegdoty o Edwardzie VII; obok wspomnień o cenzurze w II RP — omówienie rosyjskiego Baedekera.

Wydaje się też, że teksty tak upchane plotkami, wspomnieniami, erudycyjnymi popisami znakomitego heurysty wymagają choćby niewielkiego indeksu, który ułatwiłby poszukiwania w gąszczu wiadomości. Bez tego odnalezienie informacji o kimkolwiek łączy się z lekturą całej książki, co naturalnie jest zajęciem przyjemnym i pożytecznym lecz bardzo uciążliwym. Wymaga też ogromnej wiedzy; dla Grydzewskiego „Silva rerum” była — cytując słowa Stefani Kossowskiej — „osobistym komentarzem do wszystkiego co działo się i dzieje na świecie, od zamierzchłej historii do ostatnich nowości w teatrze i literaturze”.

M.A. SUPRUNIUK

Edward Stachura — łagodny buntownik

Pięć tomów utworów zebranych Edwarda Stachury ukazało się nakładem „Czytelnika” dwukrotnie w ciągu zaledwie dwóch lat (1982–84) i znikło natychmiast z półek księgarskich, osiągając

na czarnym rynku wielokrotność ceny oficjalnej. W naśladowanych fakturę materiału jeansowego (kolor „blue”, ulubiony przez zmarłego pisarza) okładkach pomieszczono zarówno utwory stanowiące kanon jego twórczości, jak ulotne drobiazgi czy nawet obszerną polemikę z redakcją przekładów Wydawnictwa Literackiego, tworząc całość różnorodną, ale o nierównej wadze.

Ów pietyzm jest poniekąd usprawiedliwiony faktem, że tragicznie przerwane w 1979 r. życie i pisarstwo Stachury stały się już domeną historii literatury, ta zaś zwykła czynić pełny bilans zysków i strat. Pięć tomów w niebieskich okładkach zawiera zarówno osiągnięcia, jak i porażki literackie, na co apologetycznie nastawiona część krytyki jakby nie zwracała uwagi. Legenda „Steda” — jak go nazywali znajomi i wielbiciel — weszła w apogeum w smutnych i dramatycznych latach stanu wojennego, zaś edycja stała się dla fanów czymś w rodzaju Biblii, choć można mieć wątpliwości, czy wszyscy przeczytali ją od deski do deski. W bibliotekach młodzi ludzie poszukiwali usilnie książek Stachury, a nawet potajemnie je sobie przywłaszczali.

Mit jest tworem raczej wiary i uczucia, niż chłodnej rozważli. Legenda Stachury była tworzona przez część krytyki, przyjaciół i samego pisarza jeszcze za jego życia. Wiele materiału mitotwórczego znalazło się w samej twórczości, nawet jeśli Stachura od tego się odzęgnywał. Mitologizacja w pewnych kręgach, zwłaszcza młodzieżowych, zamieniła się niemal w beatyfikację, choć pisarz powiadał we *Wszystko jest poezją*: „W proroka mnie nie wrobicie. Ani we wróżbitę”, zaś w swoim dzienniku zanotował w 1973 r.: „Dlaczego niektórzy chcą koniecznie za mnie zrobić bożyszcze? Potrzebują? Mało mają tych gwiazd i gwiazdorów, co są?” A jednak miał poczucie swojej misji i wielu młodych uważało go nie bez powodu za „guru”, wyczuwając profetyczny ton. Wszystko to solidnie i bezstronnie opisał i skomentował Marian Buchowski w książce *Edward Stachura. Biografia i legenda* (1992), na którą przyjdzie się nieraz powoływać.

W okresie powojennym obserwowaliśmy kilka tego typu zjawisk, by wspomnieć Tadeusza Borowskiego, Andrzeja Bursę, Rafała Wojaczka czy Ryszarda Milczewskiego-Bruno, żadne z nich nie przybrało jednak takich rozmiarów, jak mit Stachury, który przyjął postać wręcz masowego, częściowo sformalizowanego ruchu w środowiskach młodzieżowych. Wielbiono go jako symbol duchowej niezależności; jako tego, który rzucił na szalę walki o lepszy świat swoje życie. Podobnie jak poprzednicy w panteonie „poetów przeklętych” (z wyjątkiem Bursy) zmarł śmiercią tragiczną, dopełniając jak gdyby ofiarę za grzechy świata — i za własne do niego nieprzystosowanie.

Rok 1979, kiedy Stachura popełnił samobójstwo, to finał de-

kady pozornej stabilizacji, gdy czuło się już zapowiedź kryzysu, choć trudno było przewidzieć jego formę i rozmiary. Pisarstwo i legenda autora *Falując na wietrze* stały się jednym z kamieni granicznych odchodzącej powoli epoki dla młodego pokolenia, którego świadomość została wkrótce przeorana przez sierpień 1980 r. i stan wojenny. „Sted” okazał się zatem bardem czasu kryzysu wartości oraz sprzeciwu. Jego twórczość, narastająca przez dwa poprzednie dziesięciolecia, zdawała się być — przynajmniej w pierwszej fazie — wezwaniem do otrząśnięcia się z marazmu i frustracji, na rzecz życia autentycznego.

Jan PIESZCZACHOWICZ

Nadesłane nowości wydawnicze

- Polski dramat emigracyjny 1939-1969. Antologia.* Wybór i opracowanie Dobrochna Ratajczakowa. Str. 892. (Wyd. LEKTOR, Poznań 1993).
- MURAWSKI (Krzysztof). *Filozofia polityki.* Wybrane zagadnienia prakseologiczne. Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. IFiS PAN, Warszawa 1993).
- Historycy wobec problemów tożsamości narodowej i europejskiej — między nacjonalizmem a uniwersalizmem XVIII-XX wiek.* Międzynarodowa konferencja zorganizowana przez Instytut Europy Środkowo-Wschodniej w dniach 10-12 czerwca 1992 r. Str. 76. (Wyd. Inst. Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 1992).
- KŁOCZOWSKI (Jerzy). *Europa Środkowowschodnia w historiografii krajów regionu.* Str. 42. (Wyd. Inst. Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 1993).
- Mniejszości narodowe i religijne w Europie Środkowowschodniej.* Wybrane materiały z konferencji „Samoidentyfikacja narodowa i religijna a sprawa mniejszości narodowych i religijnych w Europie Środkowo-Wschodniej” 19-21 października 1993 r. Str. 86 i 2 nlb. (Wyd. Inst. Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 1993).
- ZELENKO (Konstantyn). *Stosunki polsko-ukraińskie w II Rzeczypospolitej 1918-1939.* Str. 50. Wydano w nakł. 500 egz. z okazji pobytu Autora w Lublinie. (Wyd. FIS, Lublin 1994).
- TUSZYŃSKA (Agata). *Singer pejzaże pamięci.* Str. 342 i 2 nlb. (Wyd. MARABUT, Gdańsk 1994).
- BARAN (Józef). *115 wierszy.* Wiersze z lat 1985-1993. Str. 140. (Wyd. COMDRUK, Tarnów 1994).
- NASIŁOWSKA (Anna). *Miasta.* Str. 152. (Wyd. VERBA, Warszawa 1993).

- ZIEMNY (Aleksander). *Problem osobisty.* Wiersze z pięćdziesięciu lat. Str. 164. (Wyd. VERBA, Warszawa 1994).
- PRUSZYŃSKI (Mieczysław). *Dramat Piłsudskiego — Wojna 1920.* Str. 298 i 34 nlb. (fotografie) oraz errata i indeks nazwisk. (Wyd. Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”, Warszawa 1994).
- KOREY-KRZECZOWSKI (Jerzy, dr). *Zasady strategicznego myślenia i planowania.* Odbitka z *Obrona Polski dziś i jutro.* Str. 10 i 2 nlb. (Wyd. BEL-LONA, Warszawa 1993).
- KOREY-KRZECZOWSKI (Jerzy, dr). *Futurologia zarządzania.* Str. 30 i 2 nlb. (Wyd. CSM Press, Toronto 1994).
- BAKUŁA (Bogusław). *Człowiek jako dzieło sztuki.* Z problemów metafleksji artystycznej. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. „WiS”, Poznań 1994).
- FRIEDMAN (Herbert). *Tryptyk.* Opowiadania. Str. 132. (Wyd. KONTURY, Tel. Awi 1993).
- Teksty i podteksty.* Str. 128 w języku polskim i angielskim. Wydanie sponsorowane przez The British Council, Uniwersytet Jagielloński i University of London. (Wyd. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „UNIVERSITAS”, Kraków 1993).
- OWCZAREK (Anna). *Pejzaże wewnętrzne.* Poezje. Str. 82 i 2 nlb. (Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1992).
- SIERADZKI (Makary). *Życie bez chorób.* Wydanie 3 (poprawione i uzupełnione). Str. 324. (Wyd. Centrala Usługowo-Wytwórcza „Różdżkarz”. Bibl. Różdżkarza tom XV, Poznań 1993).
- Polska Bibliografia Literacka za rok 1985.* Cz. I — str. 530, Cz. II — str. 696. Opracowanie: Zespół Poznańskiej Pracowni Bibliograficznej IBL PAN. (Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa-Poznań 1993).
- KADZIELA (Łukasz). *Między zdradą a służbą Rzeczypospolitej.* Fryderyk Moszyński w latach 1792-1793. Str. 384. (Wyd. Oficyna Wydawnicza VOLUMEN, Warszawa 1993).
- WIECZORKIEWICZ (Paweł Piotr). *Sprawa Tuchaczewskiego.* Str. 264. (Wyd. WOW „Grzyf”, Warszawa 1994).
- ŻBIKOWSKI (Piotr). *Poezje więzienne Hugona Kołłątaja.* Str. 202. (Wyd. „Wiedza o Kulturze”, Wrocław 1993).
- ŻBIKOWSKI (Piotr). *Insurekcja i upadek Rzeczypospolitej w poezjach Hugona Kołłątaja.* Str. 178 i 2 nlb. (Wyd. Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Rzeszów 1993).
- Kraków w czasie II wojny światowej.* Materiały Sesji Naukowej z okazji Dni Krakowa w roku 1991. Str. 134 i 2 nlb. (Wyd. Towarzystwo Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, seria: Rola Krakowa w dziejach Narodu, Kraków 1992).
- TREUGUTT (Stefan). *Geniusz wydziedziczony.* Studia romantyczne i napoleońskie. Redakcja: Maria Prussak. Str. 146 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1993).
- BONIECKI (Edward). *Struktura „Nagiej duszy”.* Studium o Stanisławie Przybyszewskim. Str. 152 i 4 nlb. (Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1993).
- TOMKOWSKI (Jan). *Mój pozytywizm.* Str. 422 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1993).
- Blok-Notes Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza.* 1994 — 11. Str. 392. (Wyd. Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, Warszawa 1994).

- Mała muza — Od Reja do Leca.* Antologia epigramatyki polskiej. Wybór i opracowanie Alina Siomkajło. Str. 1048. (Wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, seria: Biblioteka poezji i prozy, Warszawa 1986).
- Edward Krasieński. Opracowanie bio-bibliograficzne w języku polskim i francuskim, oraz katalog wystawy w Łodzi w 1991 r. (Wyd. Muzeum Sztuki w Łodzi).
- Sporne postacie polskiej literatury współczesnej.* Praca zbiorowa. Str. 204 i 4 nlb. (Wyd. Instytut Literacki PAN, Warszawa 1994).
- BOLECKA (Anna). *Biały kamień.* Str. 166 i 2 nlb. (Wydawnictwo SZPAK, Warszawa 1994).
- WEBER (Max). *Etyka protestanccka a duch kapitalizmu.* Z niemieckiego tłumaczył Jan Miziński. Przedmowa Jadwiga Mizińska (str. VI-XXII). Str. 194 i 6 nlb. (Wyd. TEST — Bernard Nowak, Lublin 1994).
- Eugeniusz Lokajski „Brok” — *fotografie z Powstania Warszawskiego.* Słowo wstępne: Władysław Bartoszewski, Zofia Lokajska-Domańska i Bohdan Tomaszewski. Str. 264. (Wyd. Gebethner i Ska, Warszawa 1994).
- Polonika zagraniczne.* Bibliografia — 1984. Str. 246 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1994).
- Rocznik Polskiej Polityki Zagranicznej.* 1992. Str. 450. (Wyd. Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, Warszawa 1994).
- PARZYMIŚ (Stanisław). *Przyjaźń z rozsądku.* Francja i Niemcy w nowej Europie. Str. 264. (Wyd. Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, Warszawa 1994).
- MULARSKA-ANDZIAK (Lidia). *Franco.* Str. 256 i 16 nlb. (Wyd. PULS Publications Ltd., seria: Biografie, Londyn 1994).
- WESOŁY (Szczepan, Książd Arcybiskup). *W służbie emigracji.* Wybór listów pasterskich, kazań, przemówień, artykułów. Str. 440. (Wyd. Instytut Polski Akcji Katolickiej, Veritas Publications Centre, Londyn 1994).
- TALLEYRAND (Charles). *Pamiętniki 1754-1815.* Z francuskiego przełożył Wiktor Dłuski. Str. 568 i 8 nlb. (Wyd. PULS Publications Ltd., seria: Historia, Londyn 1994).
- Współczesna broń myślowa i wychynowa.* Ilustrowana encyklopedia. Redakcja Jan Stevenson, przekład Leszek Erenfeicht i Piotr Błaszkiwicz. Str. 192 i 2 nlb. (Wyd. ESPADON, Warszawa 1994).
- MYATT (Frederick M.C. Major). *Pistolety i rewolwery.* Ilustrowana historia broni krótkiej od XVI wieku do czasów współczesnych. Przełożył Leszek Erenfeicht. Str. 208 i 2 nlb. (Wyd. ESPADON, Warszawa 1994).
- ŁYSIAK (Stanisław). *Jak kochać to żarliwie.* Pamiętnik uchodźcy wojennego. Str. 382. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1989).
- ŁYSIAK (Stanisław). *Biała księga Polskich Oddziałów Wartowniczych przy Armii Amerykańskiej we Francji i NRF.* Str. 254. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1981).
- DARSKI (Józef). *Rumunia — historia, współczesność, konflikty narodowe.* Str. 154 i 4 nlb. (Wyd. Instytut Polityczny, Warszawa 1994).
- KRAWIEC (Jan). *Lobby.* Str. 144. (Wyd. Alliance Printers and Publishers, Inc., Chicago 1993).
- Referendum z 30 czerwca 1946 r.* Przebieg i wyniki. *Dokumenty z Dziejów PRL — Zeszyt 4.* Opracował Andrzej Paczkowski. Str. 224 i 4 nlb. (Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1992).

Polemiki

W sprawie „doktryny odtrącenia”

Z zainteresowaniem czytałem artykuł p. Jerzego Hucz-kowskiego „Historia i skutki pewnej politycznej doktryny” (*Kultura* nr 4/559). Z generalnymi wnioskami p. Hucz-kowskiego w pewnej mierze się zgadzam, znajduję tam jednak szereg twierdzeń — moim zdaniem — niesłusznych, które muszą budzić stanowczy sprzeciw. Dla polemisty pewną niedogodność stanowi niewiedza kim jest autor artykułu. Oczywiście *Kultura* nie ma obowiązku mówić kim są jej autorzy, ani też sam autor nie ma obowiązku się przedstawić. Rad bym jednak wiedzieć czy Jerzy Hucz-kowski to nazwisko czy pseudonim, do jakiego pokolenia należy, w jakim środowisku profesjonalnym się obracał i wreszcie — czy i jaką legitymację partyjną nosił w kieszeni. Odpowiedź na te pytania ułatwiłaby zrozumienie czy rozważania p. Hucz-kowskiego są tylko owocem przemyśleń i studiów, czy też bezpośredniej obserwacji i osobistych doświadczeń.

Zgadzam się więc z p. Hucz-kowskim w jego proteście przeciw temu co nazywa on „doktryną odtrącenia” to znaczy przekonaniem, że ludzie, którzy „uczestniczyli” w Polsce Ludowej a więc „zajmowali różne miejsca w strukturach państwa, byli członkami Partii (prawie wszystko jedno w jakim okresie czasu), działali w związanych z partią organizacjach — są wszyscy ludźmi niegodnymi szacunku, zaufania, naznaczeni piętnem hańby”.

Zgadzam się, że nikogo nie wolno potępiać czy dyskryminować dlatego tylko, że posiadał kiedyś partyjną legitymację, zgadzam się z protestem przeciw „dekomunizacji” pojmowanej jako odpowiedzialność zbiorowa, czy przeciw projek-

tom „lustracji”, takim jakie zamierzał przeprowadzić p. Macierewicz.

Ale na tym moja zgoda z tym co pisze p. Huczkowski się kończy. Całkowicie niesłuszne i niedopuszczalne jest jego twierdzenie: „Różnica między Polską początku lat 50-tych a Polską po roku 1956 jest znacznie większa niż między Polską przed i po 1989 roku”.

To twierdzenie to po prostu nieprawda. Nikt nie zaprzeczy, że rok 1956 wiele zmienił w polskiej rzeczywistości społeczno-politycznej (acz październikowa „odwilż” była dość krótkotrwała). Niemniej faktem jest, że od roku 1945 aż po rok 1989 Polska nie była państwem niepodległym ani suwerennym, żyła — tak, aż do roku 1989! — pod narzuconym z zewnątrz ustrojem totalitarnym, ustrojem gwałcącym niemal wszystkie podstawowe prawa człowieka i narzucającym społeczeństwu swoją ideologię, państwem rządzonym przez partię nie posiadającą żadnej demokratycznej legitymacji, rządzącą przy pomocy strachu, przymusu i kłamstwa, a w pewnych okresach i terroru. Różne pozytywne osiągnięcia PRL-u, zagospodarowanie Ziemi Zachodnich, rozbudowa przemysłu czy awans społeczny mas, na które można by się powoływać, w żadnym stopniu nie równoważą braku niepodległości, wolności i demokracji.

Oczywiście, na przestrzeni lat 1945-1989 były okresy odprężenia i napięcia, zmieniał się stopień nasilenia różnych aspektów totalitaryzmu, niemniej, aż do końca był to totalitaryzm. Twierdzeniu, że np. w ostatnim 10-leciu przed 1989 Polska nie była już ustrojem totalitarnym, przeczą konkretne fakty: działalność cenzury, organów bezpieczeństwa czy wymiaru sprawiedliwości.

Za to co się działo z Polską i w Polsce w latach 1945-1989 historyczną odpowiedzialność ponosi Stalin i Jałta, natomiast odpowiedzialność bezpośrednią PZPR — Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Czy to znaczy że wszyscy jej członkowie? Powiedzieliśmy że nie, że nie wolno stosować odpowiedzialności zbiorowej, człowiek może odpowiadać tylko za to co sam uczynił. Są jednak w Polsce, wśród byłych członków PZPR ludzie osobiście odpowiedzialni za różne szkody i krzywdy wyrządzone narodowi polskiemu, za konkretne przestępstwa a czasem i zbrodnie. Za te swe czyny winni oni — jeśli to możliwe — ponosić odpowiedzialność, jeśli nie karną to przynajmniej moralną, to jest, że te ich konkretne czyny będą podane do wiadomości publicznej.

To nie znaczy jednak, że odrzucenie zasady odpowiedzialności zbiorowej prowadzić musi do całkowitej „amnestii” dla wszystkich byłych członków partii czy też aparatu Polski Ludowej, którym nie można nic konkretnego zarzucić, czyli że to, że ktoś należał do partii nie ma dziś żadnego znaczenia. Jeśli chodzi o stosunek do nich, trzeba brać pod uwagę kto, kiedy i dlaczego do partii wstępował, co jako członek partii robił, a także kiedy i dlaczego z niej — ewentualnie — wystąpił.

Wstępowali do partii młodzi idealisci, wierzący że komunizm zrealizuje szlachetne ideały sprawiedliwości społecznej, wyzwolenie od wszelkiej alienacji.

Wstępowali do partii ludzie przekonani, że przyszłość świata należy do komunizmu, i jeśli nawet byli świadomi pewnych złowrogich aspektów tego systemu, wierzyli że to jest zjawisko przejściowe, nieuniknione, cena którą trzeba płacić za rewolucję.

Wstępowali do partii ludzie, którzy wierzyli, że tylko w ten sposób będą mogli zrobić coś dobrego dla kraju. Wstępowali „Wallenrodowie”, którzy wierzyli, że uda im się zmienić partię od wewnątrz, wpłynąć na ewolucję tej partii w stronę „socjalizmu z ludzką twarzą”.

Wstępowali do partii ludzie słabi i bezbronni, nie mający siły by oprzeć się naciskom władzy czy otoczenia, np. nauczyciele czy urzędnicy w małych miasteczkach, często ze strachu, obawiający się o los swej rodziny, o utratę miejsca pracy.

Wstępowali do partii mali ludzie nie wiedzący czym jest komunizm, nie rozumiejący sytuacji w jakiej znalazł się ich kraj.

Ale wstępowali także do partii — i to w dużej liczbie — z konformizmu, z oportunistu, dla zrobienia kariery (o czym za chwilę), dla osiągnięcia różnych korzyści i przywilejów, wreszcie dla udziału we władzy.

Dlatego też jeśli chodzi o stosunek do byłych członków partii, o sprawę ewentualnego powierzenia im stanowisk w życiu publicznym, to odrzucając „doktrynę odtrącenia” nie można rezygnować z oceny o charakterze moralnym, nie można nie uwzględniać tego co ów człowiek robił jako członek partii czy aparatu władzy, a także kiedy ew. z tej partii występował, czy się od niej odzegał, czy i jak swoją działalnością, postawą swoje ewentualne winy odkupił.

P. Huczkowski broni ludzi, którzy wstępowali do partii dla zrobienia kariery, dla odegrania odpowiedniej roli w życiu

społecznym czy zawodowym, mówiąc że w dążeniu do zrobienia kariery nie ma nic zdrożnego, a czasem bez członkostwa w partii tej kariery zrobić się nie dało, albo bardzo trudno.

Otóż to nie takie proste. Wielu ludzi (na pewno większość) mając dane do zrobienia „kariery” ale uważając, że normalną drogą do jej zrobienia są kwalifikacje, kompetencje i praca, rezygnowało z robienia kariery „na skrót”, poprzez członkostwo w PZPR, bo nie pozwalał im na to negatywny stosunek do reżimu i jego ideologii.

P. Huczkowski zdaje się nie pamiętać o zasadzie nomenklatury. Że kiedy np. na wakujące stanowisko ordynatora szpitala było dwu kandydatów, otrzymywał je nie ten który miał lepsze kwalifikacje, lecz partyjny, choć dużo mniej kompetentny. Czy w świetle tego wszystkiego można uznać robienie kariery „na skrót” poprzez członkostwo w partii kosztem innych za moralnie obojętne?

Jeśli nie można stosować odpowiedzialności zbiorowej i potępiać czy dyskryminować kogoś za sam fakt posiadania legitymacji partyjnej, to należy się z szacunkiem odnosić do tych, którzy ze względów ideowych wcześniej lub później z partii wystąpili, odcięli się od jej metod i ideologii, a nawet czynnie ją zwalczali. Jest nieprzyzwoitością wyrzucać Leszkowi Kołakowskiemu jego dawne członkostwo w partii i ówczesną — zapewne mało chwalebną, acz płynącą z przekonania, działalność, zważywszy że mało kto w większym stopniu przyczynił się do kompromitacji marksizmu i obalenia systemu komunistycznego, niż właśnie on przez swoje książki i swój wpływ na światowy establishment intelektualny i kiedy niewiele wiadomo jakimi osiągnięciami mogą się poszczycić ci, którzy go potępiają. Podobnie nieprzyzwoite byłoby dziś wyrzucanie partyjnej przeszłości Jackowi Kuroniowi, Bronisławowi Geremkowi, Leszkowi Balcerowiczowi czy śp. Janowi Strzeleckiemu, jednemu z najszlachetniejszych ludzi jakich znałem, który pozostawał członkiem partii do chwili, w której go z niej usunięto, do końca — może naiwnie — wierząc w jej reformowalność.

Jest w artykule p. Huczковского szereg twierdzeń, które należy traktować co najmniej z wielkim sceptycyzmem. Np. kiedy twierdzi, że wielomilionowa rzesza aktualnych i byłych członków PZPR, stanowiąca — jego zdaniem — ok. 1/3 dorosłego społeczeństwa, zareagowała na powstanie Solidarności „dokładnie tak samo” jak pozostałe 2/3 społeczeństwa (a zareagowała tak „ponieważ niczym się od tej reszty

nie różniła”!), że „procent zażartych antykomunistów był zapewne podobny w obu grupach”, oraz że „szczególnie entuzjastycznie” przyjęła rodzącą się „Solidarność” inteligencja partyjna!

W sumie z wywodów p. Huczковского wynikałoby, że należy „przywrócić honor” Polsce Ludowej, ogłosić moralną „amnestię” dla wszystkich byłych członków PZPR, oraz uznać tzw. postkomunistyczne partie za nie tylko równoprawne ale i równie „przyzwoite”. Otóż znowu sprawa nie jest taka prosta. Równoprawne, tak. Są partiami politycznymi działającymi legalnie, co więcej, wyborcy w demokratycznych wyborach oddali w ich ręce władzę i nie należy wykluczyć (choć wolno mieć wątpliwości), że będą tę władzę sprawować z pożytkiem dla społeczeństwa. Jeśli jednak chodzi o „przyzwoitość”, to nie wolno zapominać, że między partiami „postkomunistycznymi” a stronnictwami politycznymi powstałymi po r. 1989 zachodzi pewna bardzo zasadnicza różnica. Oto bowiem np. SdRP (a z niej SLD) powstała, jak feniks z popiołów, w momencie samorozwiązania się PZPR, ogłaszając się jako spadkobierca (także majątku!) i kontynuator PZPR, a ta nowa partia od swej przeszłości i od obciążającej ją za tę przeszłość odpowiedzialności nigdy się wyraźnie i wiarygodnie nie odcięła, ani też tej przeszłości nie potępiła. P. Huczkowski lekceważy obawy, że „za plecami Kwaśniewskiego czai się towarzysz Szmaciak” czyli właśnie ludzie w tę przeszłość uwikłani. Otóż aczkolwiek do Polski Ludowej i do socjalizmu realnego nie ma już powrotu, to nie znaczy, że w obecnej niezbyt szczęśliwej fazie naszej rzeczywistości politycznej nie próbuje „wracać stare”. Świadczą o tym — niestety — liczne słowa i czyny, arogancja nowej ekipy, powrót do dawnych metod. Oto np. niedawno, w debacie telewizyjnej, poseł Szmajdziński, rzecznik SLD, w odpowiedzi na krytykę pod adresem Premiera Pawłaka z powodu odwołania przez niego 26 wojewodów, po to by ich zastąpić „swoimi ludźmi”, oświadczył dość cynicznie, że wolno Pawłakowi odwoływać wojewodów, skoro to samo uczynił Mazowiecki gdy został premierem! Tak jakby nie było żadnej różnicy między zmianą rządu a zmianą ustroju!

W Polsce przejście od totalitaryzmu do demokracji, poczynając od „okrąglego stołu”, dokonało się w sposób łagodny, na raty. Zabrakło ostrej cezury między tym, co było przed rokiem 1989, a tym co zaczęto budować 5 lat temu, nad czym słusznie ubolewa Herling-Grudziński. „Gruba kreśka” Tadeusza Mazowieckiego nie była w żadnej mierze am-

nestią dla „budowniczych Polski Ludowej”, była tylko stwierdzeniem, że od rozliczenia przeszłości ważniejszy jest trud budowania przyszłości wolnej i niepodległej Polski. Ale odrzucenie „doktryny odtrącenia” oraz sprzeciw wobec „dekomunizacji” opartej o zasadę odpowiedzialności zbiorowej, nie oznacza, że w Polsce dekomunizacja nie jest potrzebna. Dekomunizacja słuszna i potrzebna to dekomunizacja całego systemu prawa, dekomunizacja mentalności i postaw ludzkich, ale także pamięć o tym co się działo w Polsce w ciągu minionego półwiecza i kto za to odpowiada i co z tej odpowiedzialności dziś wynika.

Jerzy TUROWICZ

Polnische Buchhandlung
KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

KRAJ — BLOK WSCHODNI

5. 05. 94

Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim w Warszawie przekazała nieodpłatnie w okresie od lipca 1990 do marca 1994 500 tys. książek i czasopism do 4 tys. bibliotek w kraju i za granicą.

14. 05. 94

Kapituła Medalu św. Jerzego, ustanowionej przez Redakcję *Tygodnika Powszechnego*, przyznała swoje odznaczenie za rok 1994 Janinie Ochojskiej i Jackowi Kuroniowi. Pierwszym laureatem w ub. roku był ks. Arkadiusz Nowak za swoją pracę wśród zarażonych wirusem HIV

21. 05. 94

We Lwowie został otwarty polski konsul generalny. Kierownikiem został mianowany p. Henryk Litwin. Do tej pory we Lwowie od 1987 r. działała jedynie Polska Agencja Konsularna, filia konsulatu w Kijowie. ■ Nagroda kwartalnika *Przegląd Wschodni* za rok 1993 została przyznana *ex aequo* prof. Stanisławowi Sławomirowi Niciei za książkę „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie” oraz prof. Edmundowi Małachowiczowi za książkę „Cmentarz na Rossie w Wilnie”. Obie książki ukazały się nakładem Wydawnictwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu i dały początek serii poświęconej nekropoliom polskim. Nagroda wynosi 22 mln zł.

25. 05. 94

Zmarła nagle w Warszawie w wieku 72 lat Alina Ślesieńska, wybitna rzeźbiarka, uczennica Xawerego Dunikowskiego.

26. 05. 94

Zmarł w Krakowie w wieku 72 lat Juliusz Kydryński, pisarz, tłumacz, krytyk teatralny, publicysta.

28. 05. 94

Zmarł w Warszawie w wieku 71 lat Wilhelm Hollender, znany filmowiec.

6. 06. 94

Komisja Historyczna PAN oddział w Katowicach, Instytut Filozoficzno-Historyczny WSP w Częstochowie i Częstochowskie Towarzystwo Naukowe organizują w dniu 200-lecia bitwy pod Szczekocinami sesję naukową „Powstanie kościuszkowskie 1794”. Na sesji będą wygłoszone referaty m.in. prof. Henryka Kocója: „Mocarstwa europejskie wobec powstania kościuszkowskiego”, dr. Andrzeja Wasiaka: „Bitwa pod Szczekocinami”.

25. 06. 94

Staraniem Fundacji Stefana Batorego i redakcji miesięcznika *Res Pub-*

lica odbyła się w Warszawie międzynarodowa konferencja na temat „Nowe Niemcy w nowym świecie”.

30.06.94

Staraniem Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie odbyła się sesja naukowa poświęcona Unii Lubelskiej i tradycjom integracyjnym w Europie Środkowo-Wschodniej. Sesja pracowała w czterech sekcjach: Unia Lubelska, Losy Unii w XVII-XVIII w., Unia i inne plany integracyjne w XIX w., Problem Unii i planów integracyjnych w XX w.

ZACHÓD — EMIGRACJA

3.05.94

Podczas uroczystości 3-Majowych w Ambasadzie RP w Waszyngtonie *chargé d'affaires*, Maciej Kozłowski, wręczył odznaczenia przyznane przez prezydenta RP:

Krzyż Komandorski z Gwiazdą Polonia Restituta: Janowi Karskiemu; Krzyż Komandorski Polonia Restituta: Władysławowi Zachariasiewiczowi; Krzyż Oficerski Polonia Restituta: Włodzimierzowi Bączkowskiemu, Zofii Korbońskiej, Ryszardowi Mossinowi, Andrzejowi Pomianowi; Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Zasługi RP: Zygmuntowi Nagórskiemu i Tadeuszowi Walendowskiemu. ■ Ambasador RP w Canberze, Agnieszka Morawińska, udekorowała w Rowville odznaczeniami przyznanymi przez Prezydenta RP następujące osoby: Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Zasługi: Krzysztofa Łańcuckiego, Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi Józefa Kuszela, Janinę Czech, Jerzego Grot-Kwaśniewskiego.

16.05.94

W Domu Polskim im. Jana Pawła II w Rzymie odbyło się ósme zebranie Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata. Przyjęto nowy statut przygotowany przez Kongres Polonii Amerykańskiej. Powstała nowa organizacja, która jest kontynuacją Rady Koordynacyjnej PWS pod nazwą Rada Polonii Świata. Pierwszym przewodniczącym został wybrany p. Marek Malicki z Kanady.

22.05.94

Zmarł w Londynie w wieku 86 lat Antoni Józef Drwęski, dziennikarz. W latach 1944-54 pracował w londyńskim *Dzienniku Polskim*, a od 1964 r. w *Times* jako redaktor wiadomości zagranicznych.

25.05.94

W Ambasadzie RP w Paryżu ambasador Jerzy Łukaszewski wręczył odznaczenia przyznane przez Prezydenta RP: Krzyż Komandorski Orderu Zasługi RP otrzymali: Leszek Talko, Jan Winczakiewicz, Konstanty Wołosiewicz; Krzyż Oficerski Orderu Zasługi RP otrzymała Kalina Wołosiewicz; Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi RP otrzymali: Tadeusz Grochowski, Jerzy Holubowicz, Helena Kalinowska, Szczepan

Lewandowski, Jacek Machniewicz, Wincenty Nogal, Witold Nowosad, Krystyna Starnawska, Ksiądz Stefan Treuchel, Andrzej Wat.

1.06.94

Gustaw Herling-Grudziński otrzymał prestiżową nagrodę literacką we Włoszech: Premio Viareggio Internazionale. Nagroda wynosi 25 mln lirów.

3.06.94

W Waszyngtonie odbył się 52-gi doroczny zjazd Polskiego Instytutu Naukowego zorganizowany wspólnie z American University w Waszyngtonie. Zjazd został otwarty dwoma sesjami plenarnymi: pierwsza poświęcona kierunkom polskiej polityki zagranicznej, pod przewodnictwem prof. Piotra Wandycza, druga poświęcona tematowi NATO i Polska, pod przewodnictwem prof. Zbigniewa Brzezińskiego. Oprócz tych dwóch sesji plenarnych miało miejsce 21 sesji poświęconych różnym dyscyplinom, jak ekonomia, nauki polityczne, nauki medyczne, psychologia, muzyka, poezja, teatr, bibliotekoznawstwo.

11.06.94

Zmarł w Sztokholmie w wieku 85 lat Wiesław Patek, b. przedstawiciel Rządu R.P. na Uchodźstwie.

12.06.94

Zmarł w Londynie w wieku 82 lat Czesław Bednarczyk, poeta i twórca Oficyny Poetów i Malarzy.

20.06.94

Zmarł w Chicago w wieku 72 lat Zbigniew Chałko, poeta, pisarz, dziennikarz. Brał udział w kampanii wrześniowej 1939 i powstaniu warszawskim. Dwukrotnie odznaczony Orderem Virtuti Militari.

24.06.94

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór poświęcony pamięci ks. Janusza Pasierba. O zmarłym mówili Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki. Poprzednio w Centre du Dialogue miały miejsce następujące imprezy: 27.05 p. Aleksandra Viateau-Kwiatkowska wygłosiła odczyt „Dyplomatyczne reakcje Francuzów na powstanie warszawskie”; 10.06. dr Helena Pyz, lekarz w ośrodku dla trędowatych w Jeevodaya (Indie), którego założycielem był Pallotyn, ks. Adam Wiśniewski, mówiła o działalności ośrodka; 17.06. p. Krzysztof Czabański, redaktor naczelny *Expressu Wieczornego*, mówił na temat „Polska — wolne słowo a demokracja i dyktatura”.

27.06.94

Jury nagrody Tocqueville'a przyznało swoją ósmą nagrodę prof. Leszkowi Kołakowskiemu. Przewodniczącym jury jest Alain Peyrefitte. Nagrodę wynoszącą 100.000 franków wręczył prof. Kołakowskiemu lord Jenkins, kanclerz Uniwersytetu Oxfordzkiego.

Kronika kanadyjska

Formalnie polityka emigracyjna nie została zmieniona. Rząd zapewnia, że przyjmie do 20.000 uchodźców, z tym jednak iż tylko ponad 7.000 z państwowej gwarancji, pozostali będą musieli mieć bądź sponsorów bądź własne środki. Ubiegający się o pobyt uchodźcy mają wraz z aplikacją złożyć 500 dolarów. Przewiduje się podwyższenie wszystkich opłat za wizy turystyczne i przedłużenie tych wiz. Zasiłki dla imigrantów znajdujących się w potrzebie będą przyznawane tylko sponsorowanym przez rząd. ■ Rząd federalny uchyla się od podjęcia dyskusji na temat konstytucji, ściślej postulatów separatystów Quebecu. Prem. Chretien — jak i rzesznicy licznych organizacji, rządy poszczególnych prowincji — zgodnie wywodzą, że ludność Quebecu wypowie się sama na temat swojej przyszłości — jesienią w wyborach. Ewentualne zwycięstwo separatystów nie przesądza jednak losu prowincji, bo przewidziany jest plebiscyt. Rząd federalny nie pozostaje jednak bezczynny — prowadzi szeroko rozgałęzioną i wielorodną akcję w Quebecu: polityczną, socjalną i propagandową. ■ Na zaproszenie polonijnej organizacji — Zw. Narodowy Polski w Kanadzie — bawił w Toronto Antoni Macierewicz, b. min. spraw wew., gdzie 29 kwietnia przemawiał w sali parafialnej Credit Union do zebranej publiczności. Przedstawił obszernie sprawę oślawionej listy konfidentów SB, odpowiadał na pytania. ■ Obchód rocznicy Katynia wypadł w Toronto słabo. Pochód z kościoła po Mszy św. pod pomnik Katyński był zawstydzająco niski. Byli przedstawiciele władz, organizacji ale bardzo mało publiczności.

B. H.

Kronika szwedzka

Według oficjalnych statystyk w Szwecji jest 7,7% bezrobotnych, a ogólnie 13,9% ludzi znajduje się poza stałym rynkiem pracy. Nakłady na zwalczanie bezrobocia, największe w dotychczasowej historii Szwecji, obejmują 6,2% bezrobotnych zatrudnianych dorywczo i kształconych na koszt podatnika. Zmniejsza się bezrobocie wśród młodzieży, natomiast wzrasta wśród osób starszych. W przemyśle notuje się tendencję wychodzenia z okresu niskiej koniunktury porównywaną do kryzysu lat trzydziestych. ■ Urzędy ograniczyły zgodę na pracę cudzoziemców z dotychczasowych 40 tysięcy (rocznie) do 10 tysięcy osób rocznie. ■ Daniel Tarschys, 50-letni liberał, został wybrany generalnym sekretarzem Rady Europejskiej. ■ Szwecja, według deklaracji tutejszego MSZ,

będzie wspierała na forum międzynarodowym mniejszość estońską z okolic Peczory, dalej należącą do Rosji. ■ W obecnym budżecie przewidziano 50 milionów, a w następnym 60 mln koron na dalsze kształcenie oficerów z krajów bałtyckich. Szwecja, podpisując „Akt o partnerstwie” przy NATO, zadeklarowała również pomoc w kształceniu kadry oficerskiej z krajów postkomunistycznych. ■ W Göteborgu, w ramach obchodów święta 3-go Maja, w dniu 7 maja odsłonięto i poświęcono tablicę pamiątkową ku czci Tadeusza Kościuszki. Ustalono bowiem, że Kościuszko zatrzymał się w Göteborgu, w drodze do Ameryki, w domu pułkownika szwedzkiego A. Treffnera wraz z J.U. Niemcewiczem w okresie od marca do maja 1797 r. Tablicę zaprojektował artysta-rzeźbiarz, Mariusz Wasilewski z Krakowa. ■ Telewizja szwedzka wyświetliła dwukrotnie w czerwcu (w ogólnokrajowym kanale) film dokumentalny o powstaniu i działalności Teatru Ósmego Dnia z Poznania. ■ Na tutejszym firmamencie muzycznym coraz częściej pojawia się nazwisko wybitnego, młodego pianisty polskiego pochodzenia, Petera Jabłońskiego. ■ Według krytyków filmowych za najlepsze filmy w kwietniu i maju uznano „Niebieski” i „Biały” w reżyserii Krzysztofa Kiesłowskiego, natomiast wchodzący na ekrany „Czerwony” — ostatni z trylogii — spotkał się z chłodną krytyką.

Anna RIEDL

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOZ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególny dziennik zbliża się do autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego” bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288

Cena F. 145,00

List do Redakcji

Warszawa, 26 maja 1994

Szanowny Panie Redaktorze,

Mam zaszczyt poinformować Pana o powołaniu w Waszyngtonie nowej korporacji typu *non profit*, o nazwie RWE Inc., w całości finansowanej przez Kongres Stanów Zjednoczonych za pośrednictwem Rady Międzynarodowej Radiofonii BIB.

Głównym zadaniem RWE Inc., która została wyłączona ze struktur organizacyjnych Radia Wolna Europa/Radia Swoboda, jest tworzenie i nadawanie niekomercyjnego programu radiowego, maksymalnie zbliżonego do programu Rozgłośni Polskiej RWE, która jako jednostka organizacyjna zakończy działalność z dniem 30 czerwca bieżącego roku.

Zarząd RWE Inc. tworzą: Dan Mica, przewodniczący Rady Międzynarodowej Radiofonii, oraz dwóch innych członków BIB, Lane Kirkland — przewodniczący centrali związkowej AFL/CIO, oraz Kenneth Tomlinson — redaktor naczelny miesięcznika *Readers Digest*. Zarząd RWE Inc. powierzył mi funkcję dyrektora wykonawczego i redaktora naczelnego.

Z poważaniem

Piotr MROCYK

OŚWIADCZENIE

W numerze styczeń-luty 1991 *Kultura* paryska opublikowała na stronie 199 mój list do Redakcji na temat recenzji, którą pan Leon Grabowski z Adelaidy — Australia napisał o książce Lecha Paszkowskiego „Poles in Australia and Oceania”.

Przepraszam go za to, że w moim liście posłużyłem się względem niego uwagami natury osobistej i błędnie przedstawiłem czytelnikom pana Leona Grabowskiego w ujemnym świetle.

Jerzy ZUBRZYCKI

SESJA „KULTURY” W LUBLINIE

Zdzisław Kudelski:	<i>Spotkania z paryską „Kulturą”</i>	161
CI, CO ODESZLI		
Andrzej Ruskowski:	<i>Prof. Henri Mazaud</i>	169
KSIĄŻKI		
Piotr Daszkiewicz:	<i>Archiwum Biologii Słowińskiej</i>	172
Artur Zieliński:	<i>Materii wielkie pomieszenie</i>	180
Stefania Kossowska:	<i>Od Kijowa do Piccadilly</i>	184
M.A. Supruniuk:	<i>„Silva rerum”</i>	188
Jan Pieszczachowicz:	<i>Edward Stachura — łagodny buntownik</i>	190
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	192
POLEMIKI		
Jerzy Turowicz:	<i>W sprawie „doktryny odrzucenia”</i>	195
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki kana- dyjska i szwedzka</i>	201
•		
Piotr Mroczyk:	<i>List do Redakcji</i>	206
Jerzy Zubrzycki:	<i>Oświadczenie</i>	206

INSTITUT LITTÉRAIRE, 51, avenue de Polisy, Le Mesnil-le-Sec,
91600 MAISON-S-LEFFITE — C.C.P. PARIS 18 121-54 W (z Francji)



"Słownik synonimów"

autorstwa Andrzeja Dąbrowki, Ewy Geller i Ryszarda Turczyzna, opatrzone słowem wstępnym **prof. Jana Miodka**.
 - **nowoczesny** - uwzględnia najnowsze słownictwo
 - **wyczerpujący** - zawiera 53.000 haseł
 - **wszechstronny** - obejmuje wszystkie rejestry stylistyczne
 - **niezawodny** - precyzyjnie kieruje do konkretnych znaczeń
 - **bardzo trwała oprawa** zapewni długie użytkowanie

Zamówienia można kierować bezpośrednio do wydawcy:
 Cena: Europa - 15 USD; poza Europą - 20 USD (wliczony koszt wysyłki). Kwoty odpowiadające ilości zamawianych egzemplarzy prosimy wpłacać na nasz rachunek.

MCR S.C., Bank GLOB SA; 00-372 Warszawa; Foksal 16;
 r-k Nr 624990-502588-2511

Kopie wpłat prosimy przelać na adres wydawnictwa:
MCR S.C.; 01-446 Warszawa; Koszycka 1a
 Słowniki zostaną Państwu przesłane zaraz po otrzymaniu kopii wpłaty.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
 Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
 Commission Paritaire N° 60789.
 Dépôt légal: 3^e trimestre 1994.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
 42, av. de Wagram, 75008 Paris
 Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
 Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
 par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
 FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Przenumerata	
	1/2-roczna	roczna

Ceny na rok 1994

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 15,00	\$ A. 90,00	\$ A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Flh 20,00	Flh 110,00	Flh 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessestrasse 39/41, Postfach 34 01 08, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
 Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
 INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
 lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.
Str. 224 Cena F. 95,00



TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolda)

MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Str. 312 Cena F. 120,00



TOM 484 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO ÓSMY

zawiera opracowania: Bohdan W. Oppenheim: *Spółeczna rola Kościoła katolickiego w Polsce. Rozmowy i wypowiedzi*; Józef Łaptos, Grzegorz Mazur: *Stosunki państwo-Kościół w pierwszej połowie lat 50-tych w świetle raportów dyplomatów francuskich i belgijskich*; Tadeusz Wyrwa: *Oświata i propaganda rządu polskiego na emigracji podczas 2-jej wojny światowej*; M. Rolicka: *Polacy a tajemniczy problem epidemii w czasie wojny koreańskiej*; Piotr Wandycz: *O stosunkach polsko-czechosłowackich: garść refleksji*; Andrzej Friszke, Jerzy Poksiński: *Pomiędzy Londynem a Warszawą. Rozmowa z Marianem Utnikiem*; Danuta Mostwin: *Notatki z amerykańskiej prowincji (grudzień 1981 - styczeń 1982)*; Andrzej Bogusławski: *Przez Finlandię do Narviku — rok 1940*; Waldemar Żaba: *Moje wspomnienia z okresu wojny i okupacji*; H. Martynowa: *Dokumenty KGB*; T. Wyrwa: *Studia nad historią wojskowości krajowej i emigracyjnej*; E. Halicz: *Kwestia narodowa w Europie Wschodniej*; St. Lewandowska: *Audiatur et altera pars*; OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. Cena F. 90,00.

Cena 90 F